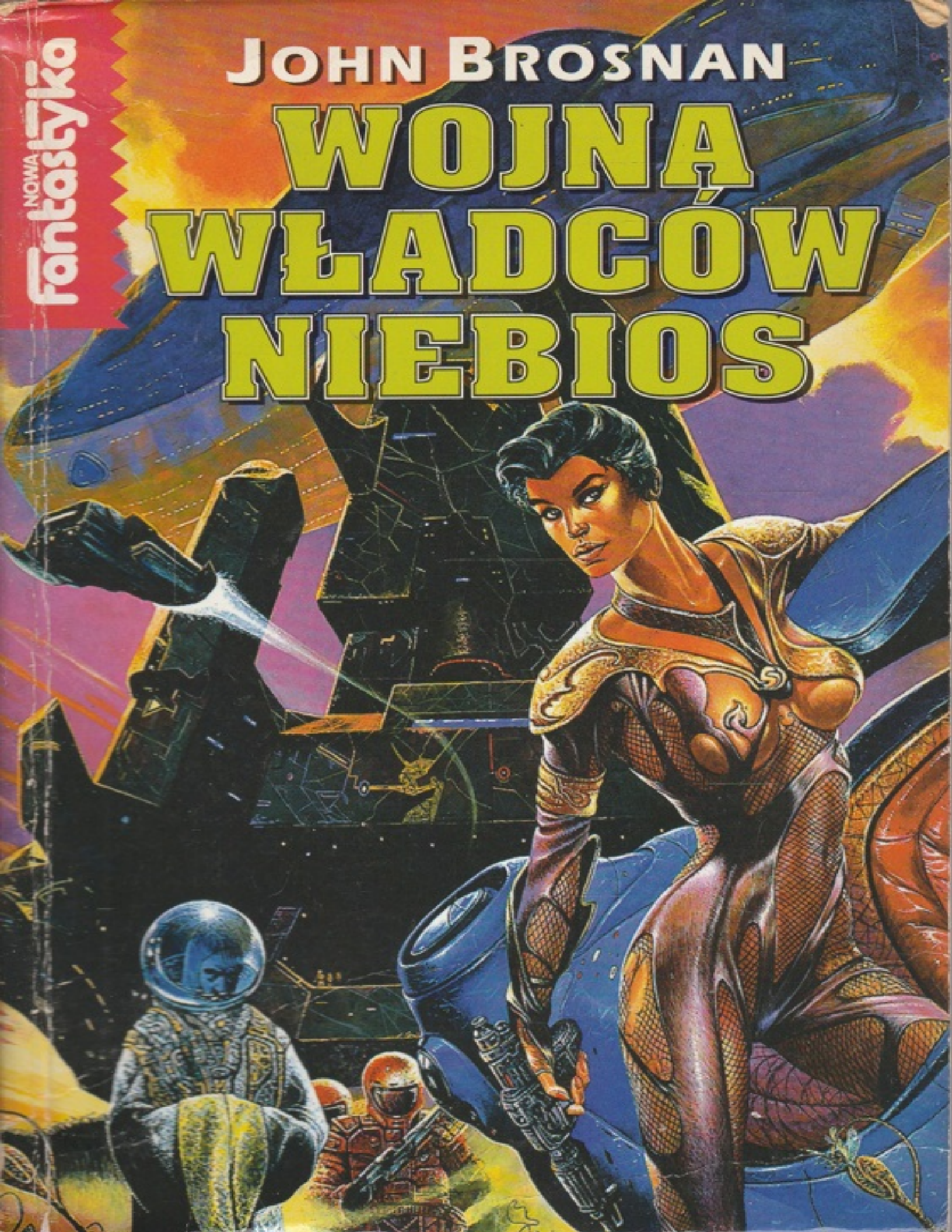


NOWA  
fantastyka

JOHN BROSNAN

# WOJNA WŁADCÓW NIEBIOŚ





**John Brosnan**

# **WOJNA WŁADCÓW NIEBIOS**

przełożyła  
**Alicja Bielawska**

**W skład cyklu wchodzi:**

- 1. Władcy niebios**
- 2. Wojna władców niebios**
- 3. Upadek władców niebios**

Pruszyński i Spółka  
Warszawa 1995

# Spis treści

Karta tytułowa

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

## EPILOG

## PROLOG

**B**estia ważyła ponad cztery tony i sunęła jak czołg po ziemi zniszczonej zarazą, przewracając z łatwością gnijące, porośnięte grzybem drzewa. Była stara. Z pokrytej bliznami, grubej, guzowatej skóry sterczały drzazgi połamanych strzał. Jednakże ogromna prędkość, z jaką się poruszała, zdawała się zaprzeczać wiekowi bestii.

Bestia była głodna. Tego dnia zdołała już pożreć wiele zwierząt, ale nadal była głodna. Ponieważ zużywała kolosalną ilość energii, stale potrzebowała jedzenia. Poza tym bardziej odpowiadało jej mięso ludzkie i ludzka krew, więc nigdy nie była naprawdę zadowolona ze zwierząt, bez względu na ich wielkość. Wiele tygodni upłynęło od czasu, gdy po raz ostatni próbowała ludzkiego mięsa. Jednakże kilka godzin temu wyczuła w pobliżu obecność wielu ludzi. Od tej chwili żądza ludzkiej krwi gnała ją poprzez ziemie dotknięte zarazą.

Zatrzymała się i uniosła ogromny łeb. Na jego końcu znajdował się narząd węchu, za pomocą którego bestia badała powietrze. Pomędzy zwisającymi płatami skóry widać było narządy dotyku i słuchu. Były one rozmieszczone na całym jej ciele, ale ona najbardziej polegała na swoim węchu. Tak, teraz ludzie są blisko. Teraz już niedługo.

Bestia znowu zaczęła pędzić.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zewnątrz statku dotarło do niego przytłumione, ale silne szuranie. Coś – coś dużego – próbowało się wedrzeć do wnętrza stacji badawczej. Ryn zastanawiał się, co to może być. Kałamarnica? A może jakaś szczególnie duża dżdżownica morska? Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Jednakże Eloi siedzący obok Ryna, nie zwracał na to uwagi. Twarz Eloja jak zwykle rozjaśniał rozmarzony uśmiech, a jego brązowe oczy patrzyły z zadowoleniem. Był nagi. Siedział po turecku na poduszce. Chociaż Ryn przywykł do widoku nie ubranych Eloiów, jego spojrzenie mimo woli powędrowało do zupełnie gładkiego krocza tej istoty. Nie po raz pierwszy pozazdrościł Elojom ich bezpłciowości. Dzisiaj uczucie to było szczególnie silne.

Znów usłyszał szuranie. Teraz był pewien, że to kałamarnica. Mógł sobie wyobrazić jej twardego dziób, na próżno próbujący rozłupać kadłub statku. Kusilo go, żeby wyjść na zewnątrz, do *Maskotki*, i zabić stwora, ale chciał porozmawiać z Elojem, kiedy miał ku temu okazję. Tak rzadko udawało mu się przyciągnąć uwagę któregokolwiek z nich na więcej niż krótką chwilę.

– Pel – powiedział – jeżeli będziecie mnie tu jeszcze dłużej trzymać, zwariuję. Mam dwadzieścia lat, co znaczy, że mogę żyć jeszcze następne sto osiemdziesiąt. Nie zamierzam pozostawać tu dłużej niż dwa tygodnie, a nawet znacznie krócej.

Eloj, zwany Pelem, spróbował posłać Rynowi smutne spojrzenie, ale zupełnie mu się to nie udało. Nie potrafił ukryć swojego zwykłego stanu, w którym odczuwał tylko zadowolenie i

wesołość. Żaden z Elojów nie potrafił tego zrobić. Powiedział swoim szepczącym głosem: – Wiesz, że tutaj, wewnątrz stacji, nie ma dla ciebie żadnych zakazów. Masz *Maskotkę*. Daje ci ona możliwość swobodnego przemierzania głębin i latania; przenosi cię na ląd, na którym możesz poruszać się wszędzie, gdzie chcesz...

– I na którym nie ma nic oprócz śniegu, lodu, znowu śniegu, pingwinów i starych kopalń. Ja chcę się znaleźć tam, gdzie są inni ludzie. Ludzie, tacy jak ja!

– Zarówno my, jak i twoje uczące programy, mówiliśmy ci, co się znajduje na zewnątrz. Po Wojnach Genetycznych świat stał się okropnym, niebezpiecznym miejscem. Ryn, tutaj jesteś o wiele bardziej bezpieczny... – głos Pela zamarł. Jego uwagę przyciągnął jeden z poruszających się po suficie punkcików. Uśmiechnął się do niego radośnie.

Ryn wiedział, że właściwie stracił już kontakt z Pelem. Powiedział podniesionym głosem: – Chcę podjąć ryzyko! Nie należę do tego miejsca, Pel! Wiesz to ty i wie to reszta Elojów. Potrzebuję ludzi, takich jak ja. Potrzebuję kobiety, takiej jak ja!

Tak więc jak zwykle powrócił do tematu, do którego wiedział, że powróci.

Pel jeszcze przez chwilę gapił się na sunący po suficie punkcik. Następnie spojrzał na Ryna.

– Rozumiemy twoje pragnienie, Ryn, i żal nam ciebie. Chcielibyśmy móc cię zmodyfikować, ale, jak wiesz, Program Etyczny zabrania, tego.

– Żal wam? – powiedział Ryn z drwiną w głosie. – Wy, Eloje, nie znacie żalu ani żadnego innego uczucia wobec żadnej żywej istoty oprócz was samych, i ty o tym wiesz.

Pel wzruszył nieznacznie swoimi drobnymi, dziecinnymi



ramionami i uśmiechnął się do niego. Ryn miał ochotę go uderzyć, ale wiedział, że byłaby to strata czasu. Do tej pory dwa razy zdarzyło mu się uderzyć Eloja i chociaż Program Etyczny ukarał go za to, wydawało się, że Eloj w ogóle tego nie zauważył. Nie można zranić ani zmartwić istoty, która nie jest zdolna do odczuwania ani bólu, ani zmartwienia. Opanował się wysiłkiem woli.

– Pel, pozwól mi tylko odejść. Daj mi wolność.

– Wiesz, że nie możemy. Nie możemy ryzykować...

Do pomieszczenia wszedł inny Eloj. Miał na sobie swój zwykły kombinezon. Usiadł obok Pela. Wszystkie Eloje były tak bardzo do siebie podobne, że gdyby przybysz nie powiedział Rynowi swojego imienia, ten nie miałby pojęcia, który to jest. Eloj leniwie uśmiechnął się do Ryna i oparł głowę na ramieniu Pela.

– Wygląda na nieszczęśliwego – powiedział.

– Tak, on jest nieszczęśliwy – odpowiedział z ironią Ryn. – On chce, i to bardzo chce, opuścić ten podwodny dom dla bezpłciowych emerytowanych zjadaczy lotosu. Dwóch Elojów przypatrywało mu się uprzejmie. Pel wyszeptał: – To, co zostało ze świata na zewnątrz, już dawno zapomniało o istnieniu tej stacji badawczej. Gdybyśmy cię stąd wypuścili, na pewno rozpowiedziałbyś wszystko, co wiesz o nas i o Shangri La.

– Przysięgam, że nie – powiedział Ryn.

– Być może nie dobrowolnie, ale jeśli wpadniesz w ręce jakiegoś Władcy Niebios, wtedy... pewne nieprzyjemne metody... – głos Eloja zamarł. Najwidoczniej usiłował sobie przypomnieć, jakie to nieprzyjemne metody. – Tak, nieprzyjemne metody... – ciągnął sennie – zastosowano by je, żeby wyciągnąć z ciebie informacje, skąd pochodzisz.

– Miałbym *Maskotkę*. Każdy sterowiec Władcy Niebios,

którego bym spotkał, byłby na mojej łasce.

– Maszyna może zawieść – powiedział ziewając drugi Eloi. – A wtedy byłbyś bezbronny.

Ryn poczuł, że ogarnia go znane uczucie zawodu, które zawsze wywoływała próba rozmowy z Elojami. Łatwiej już było rozmawiać z programami, chociaż wiedział, że pozorne człowieczeństwo programów i ich projekcji było całkowicie sztuczne. Uczucie bolesnego zawodu wzmagała świadomość, że Eloje, chociaż dzieliła je od Ryna ogromna przepaść emocjonalna, którą same stworzyły, były nadal istotami ludzkimi.

– Jestem samotny! – krzyknął do dwóch Eloiów.

Spojrzały na niego w swój denerwujący, uprzejmy sposób. Pel powiedział: – Masz swoich holograficznych znajomych, filmy, książki...

– Dość mam rozmawiania z elektronicznymi fantomami, przedstawiającymi ludzi, którzy nigdy nawet nie istnieli. Przeczytałem naście razy każdą książkę w bibliotece, a każdy film znam na pamięć. Znam nawet każdą kwestię z tych starych dwuwymiarowych obrazów.

Jeden z naukowców, którzy na początku mieszkali w stacji, musiał się bardzo interesować kinem dwudziestego i wczesnego dwudziestego pierwszego wieku, gdyż zabrał tutaj ze sobą wiele taśm z filmami z tego okresu. Rynowi bardzo się podobało wiele z nich, a jego ulubionym były *Przygody Robin Hooda* z 1938 roku. Zamieniłby jednak nawet to na możliwość wydostania się stąd na szeroki świat.

– Ja naprawdę zwariuję, jeśli jeszcze jakiś czas pozostanę zamknięty tutaj, w wodach Arktyki.

Ale oba Eloje nie słuchały go już. Siedziały wspierając się o siebie głowami, ich oczy były otwarte, ale niewidzące – wprawily

się znowu w stan przypominający nirwanę. Ryn zaklął, zerwał się i wypadł z wściekłością z pomieszczenia. Gdyby były tu drzwi, trzasnęłyby nimi.

Wsiadł do windy i zjechał na najniższy poziom stacji. Przypominający pająka mechanizm uciekł na bok, gdy Ryn wychodził z windy. Poszedł korytarzem, prowadzącym do doku, w którym znajdowała się *Maskotka*.

*Maskotka* była zbudowana z matowego szarego metalu. Kształtem przypominała wydłużoną łzę. Ryn podszedł do włazu, znajdującego się w połowie długości *Maskotki*, i wydał komendę, po której właz stanął otworem. Ryn doczołgał się do drzwi, prowadzących do pomieszczenia kontrolnego. Kiedy wsiadł, ogarnęło go znajome poczucie bezpieczeństwa, jakie musi odczuwać embrion w łonie matki, a którego on nigdy nie zaznał.

Ryn wydał odpowiednie rozkazy i woda zaczęła zalewać dok. Poczuł, że *Maskotka* wypływa z pochylni. Kiedy ciśnienie w doku wyrównało się z ciśnieniem na zewnątrz, otwarły się włazy wewnętrzny i zewnętrzny. *Maskotka* ruszyła z miejsca, mijając najpierw komorę ciśnieniową, a potem zewnętrzną ścianę stacji.

Woda powyżej była zupełnie czarna. Ryn spojrzał na ekran akustyczny, szukając stwora, który przedtem atakował kadłub. Ekran przełożył na obraz sygnały dostarczane przez akustyczne skanery. W pobliżu znajdowało się wiele morskich stworów, ale nie było widać niczego na tyle dużego, żeby mogło stanowić źródło takiego hałasu.

– Ukazuj wszystko, co znajduje się w pobliżu stacji. Powoli – powiedział Ryn.

– Dobrze, Ryn – odpowiedział program *Maskotki*.

Miał kobiecy głos, miękki i kuszący, ale zaprogramowany w ten sposób, żeby działał na Ryna uspokajająco. Podczas gdy

*Maskotka* płynęła dookoła szerokiej, sferycznej masy, jaką stanowiła stacja badawcza, Ryn spoglądał uważnie to na ekran akustyczny, to na ekrany optyczne. Pomimo silnych światel umieszczonych na kadłubie, ekrany optyczne ukazywały niewiele; snopy światła sięgały zaledwie czterdzieści stóp w każdym kierunku. Ryn zaczął już myśleć, że obiekt jego poszukiwań odpłynął z najbliższej okolicy, gdy ekran akustyczny ukazał szybko zbliżający się ciemny kształt. Nagle Ryn poczuł gwałtowny wstrząs. Jakieś ciężkie cielsko zderzyło się z *Maskotką*. Ryn podskoczył w fotelu. Przed upadkiem powstrzymały go tylko pasy bezpieczeństwa. Roześmiał się.

– Przejmuję sterowanie – powiedział *Maskotce*. Wziął z konsoly mały plastikowy korek.

– Nie radzę – odpowiedziała *Maskotka*.

Ryn zignorował to ostrzeżenie i wetknął korek w otwór znajdujący się tuż za jego prawym uchem. Dzięki temu przejął całkowitą kontrolę nad statkiem. W tym momencie eksplodowała sieć sensorów we wnętrzu *Maskotki* i teraz on stał się *Maskotką*...

Czuł zaciskające się na jego kadłubie macki bestii. Nie sprawiało mu to bólu.

Sensory *Maskotki* nie były na tyle wrażliwe, żeby przekazać coś więcej niż uczucie nacisku dwóch długich macek kałamarnicy oraz szorstkości wąsów, które pokrywały ich wewnętrzną stronę. Kałamarnica była ogromna, większa niż *Maskotka*. Jedna z kamer Ryna była skierowana prosto w ogromne oko stwora, którego średnica miała więcej niż trzy stopy. Wywoływała uczucie lodowatego przerażenia. To tak, jakby wpatrywać się w oko wściekłego boga...

Ryn otrząsnął się z paralizującego strachu i pozwolił się opanować nienawiści do tych stworów. Kiedy macka

kałamarnicy oplotła kadłub *Maskotki*, skierował jeden z rozpylaczy wodnych na jej ogromne, ale miękkie ciało. Podniósł temperaturę wody do stu dziewięćdziesięciu stopni. Kałamarnica natychmiast zwolniła uścisk i zaczęła uciekać, zostawiając za sobą chmurę farby. Ryn podążył za nią. Rosnąca chmura nie mogła ukryć przerażonej kałamarnicy przed akustycznym skanerem. Ryn umieścił mały pocisk w jednej z podwodnych wyrzutni. Nastąpił wybuch gazu. Pocisk został wypchnięty na zewnątrz. Ryn poczekał, aż dotrze do skóry ogromnej kałamarnicy, i wtedy dał sygnał wybuchu. Kałamarnica eksplodowała. Akustyczny skaner pokazał fragmenty jej ciała i macek wyrzucanych poza obręb ciemnej chmury. Macki drgały konwulsyjnie.

Ryn, którego ten widok przyprawił o mdłości, usunął zatyczkę ze swojej szyi. Teraz znowu znajdował się wewnątrz wygodnego łona, jakie stanowiło pomieszczenie kontrolne.

– Podnieś nas na powierzchnię – rozkazał *Maskotce*.

Statek posłusznie zaczął się wznosić, dopóki nie znalazł się pięćdziesiąt metrów poniżej nieregularnego spodu góry lodowej. Teraz przez kilka mil mknął poziomo, do pierwszego skrawka otwartego morza. Wreszcie *Maskotka* się wynurzyła, rozbryzgując strumienie wody. Natychmiast zaczął działać elektromagnetyczny napęd powietrzny. Z głośnym buczeniem *Maskotka* wzniosła się na wysokość tysiąca stóp.

– Dokąd? – zapytała Ryna.

– Prosto przed siebie – odpowiedział, wskazując na odległą linię horyzontu. – Cała naprzód.

Kiedy *Maskotka* ruszała, Ryn odczuł lekkie pchnięcie. Wkrótce statek osiągnął prędkość 2500 mil na godzinę. Rozkoszując się nią, Ryn z przyjemnością patrzył z góry na powierzchnię morza.

Wkrótce jednak *Maskotka* powiedziała: – Ryn, zbliżamy się do końca dozwolonego obszaru. Za trzydzieści sekund będę zmieniać kurs.

– Nie rób tego – powiedział, chociaż wiedział, że nie miało to najmniejszego sensu.

– Nie mogę zignorować instrukcji. Wiesz o tym. Zmieniam kurs... teraz.

*Maskotka* zaczęła stopniowo zawracać. Ryn zacisnął pięści. Gorące łzy napłynęły mu do oczu. Zawsze było to samo. Ale on wciąż próbował; jak mucha uderzająca o niewidoczną, szklaną szybę.

– Dokąd teraz, Ryn? – spytała *Maskotka* miłym głosem.

– Nie obchodzi mnie to. Dokądkolwiek.

Ryn gapił się bezmyślnie na ekrany, podczas gdy *Maskotka* kontynuowała lot. Po jakimś czasie powiedziała: – Nie... chcę się zanurzyć. Znajdź mi coś, co mogłabym zabić.

Przez następnych kilka godzin Ryn zabił siedem innych kałamarnic. Żadna z nich nie była jednak tak ogromna, jak ta, która próbowała zaatakować stację badawczą.

Gigantyczne kałamarnice od dawna już występowały w dużych ilościach w wodach Antarktydy. Z programu historycznego Ryn się dowiedział, że krew przedstawicieli gatunku *Architeutis* nie jest przystosowana do wyższych temperatur. Dlatego też gigantyczne kałamarnice o wiele lepiej czuły się w wodach zimnych. Jednakże inne, nowe gatunki kałamarnic, o znacznie mniejszych rozmiarach, zaczynały przeważać w wodach Antarktydy, podobnie jak morskie dżdżownice oraz różne inne niszczyielskie produkty uboczne Wojen Genetycznych. Coraz mniej już było tutaj stworzeń stanowiących pokarm dla tych morskich bestii i Ryn zastanawiał

się, co będzie, gdy to źródło pożywienia się wyczerpie.

Zmęczony tym jedynym dostępnym dla niego sportem, rozkazał *Maskotce*, żeby wróciła do stacji. Po powrocie udał się prosto do swoich pomieszczeń mieszkalnych, zrzucił z siebie jednoczęściowy kombinezon i wziął prysznic. Zawsze gdy wyruszał na „hulanki” z kałamarnicami, po powrocie miał wrażenie, że jest pokryty szlamem...

Po wyjściu spod prysznica włożył kombinezon i poszedł do salonu. Usadowił się wygodnie na dużej, okrągłej poduszce i powiedział: – Chcę rozmawiać z Davinem.

– Tak jest – odpowiedział bezcielesny głos.

Przed Rynem natychmiast ukazała się postać mężczyzny. Wyglądał na około trzydzieści pięć lat. Miał czarną brodę przetykaną gdzieniegdzie siwizną. Ubrany był w długą czarną togę. Uśmiechnął się do Ryna.

– Jak się masz dzisiaj, chłopcze? – zapytał.

– Tak, jak zawsze – odpowiedział apatycznie Ryn. – Chcę porozmawiać.

– Właśnie po to tutaj jestem – powiedział Davin. Wskazał na stojące obok krzesło – Czy mogę?

Rozbawiony tym Ryn skinął głową. Nie będąc niczym innym, jak tylko projekcją, Davin nie odczuwał potrzeby siadania.

– A więc, w czym problem? – zapytał Davin siadając. Ryn opowiedział mu o swojej bezskutecznej rozmowie z Elojami. Kiedy skończył, Davin spojrzał na niego i powiedział: – Czy naprawdę jesteś aż tak zaskoczony rezultatem? Już nieraz przedstawiałeś Elojom podobne argumenty. Czyżbyś myślał, że Eloje się zmieniły?

– To nie one, ale ja. To ja się zmieniłem. Jestem teraz starszy i jestem bliski szaleństwa.

– Ryn, nawet gdybyś przekonał Elojów, żeby pozwoliły ci odejść, to Główny Program nigdy ci na to nie pozwoli.

– Ale Eloje mogą zmienić Główny Program – powiedział Ryn.

– Teoretycznie tak, ale już od tak dawna zawierają swoje życie Głównemu Programowi, że odmówiłyby jakichkolwiek zmian, nawet gdyby pamiętały, jak to zrobić.

Ryn zaklął i powiedział:

– Ale to wszystko jest takie głupie. Nie ma żadnego powodu, żeby mnie tutaj trzymać. Nie wiemy nawet, czy istnieje jeszcze jakiś Władca Niebios! Musiało już minąć ponad sto lat od czasu, gdy dostrzeżono któregoś w pobliżu Antarktydy. Może wszystkie zostały unicestwione przez zarazę. Nie wiemy, co w tej chwili znajduje się na zewnątrz, i to jest kolejny powód, dla którego powinienem się stąd wydostać i zobaczyć.

– Ryn, wiesz dobrze, że nie zaryzykują.

– Jeżeli nie pozwolą mi odejść, jestem skłonny zrobić coś, czego potem będą żałować.

– Czy masz na myśli samobójstwo?

– Tak – potwierdził Ryn, chociaż w rzeczywistości daleki był od tak desperackiego kroku.

Davin uśmiechnął się do niego łagodnie.

– To nie byłoby zbyt mądre, prawda? Poza tym znasz Elojów.

Oczekiwałeś od nich zbyt wiele, gdybyś myślał, że choć przez chwilę będą żałować twojego odejścia. W rejestrze ich emocji nie istnieje coś takiego jak żal. Ryn spojrzał na niego. – Wiem... wiem...

Po raz kolejny uderzyła go absurdalność rozmowy o problemach emocjonalnych z maszyną. Kiedy był młodszy, całkowicie wierzył w pozorne człowieczeństwo projekcji, pomimo ich bezcielesności. Szczególnie Davin, ze swoim



współczuciem, zrozumieniem i mądrością wydawał się całkowicie ludzki, perfekcyjnie ojcowski. Ryn właściwie nie potrafił wskazać żadnych przyczyn swoich obaw. Patrząc wstecz, sądził, że zdołał wychwycić powtarzające się fragmenty wypowiedzi swego rozmówcy. Kiedyś zapytał Davina, dlaczego ma takie odczucia wobec niego i innych projekcji, ale ten zbył go czymś na temat okresu dojrzewania i jego wpływu na emocje.

Było to wtedy, gdy Ryn skończył piętnaście lat i dowiedział się prawdy. Pewnego dnia, bez żadnego uprzedzenia, zupełnie nowa projekcja ukazała się w jego studiu.

Miała kształt skromnej młodej kobiety, ubranej w długą szarą suknię. Jasne włosy uczesane miała w kok, który uwydatniał ostre rysy jej twarzy z mocno zarysowanymi, niemal okrutnymi kośćmi policzkowymi. Przedstawiła się jako Phebus i powiedziała, że Ryn jest już w wieku, kiedy niektóre rzeczy powinny mu być znane. Ona jest tutaj po to, żeby nauczyć go wszystkiego o komputerach i sztucznej inteligencji...

Ryn wyrastał w celowo zaszczepionym mu przekonaniu, że wszystkie projekcje są przeniesionymi do komputera osobowościami i postaciami prawdziwych ludzi, którzy żyli dawno temu. Nie była to prawda. Wszystkie projekcje, włączając w to Phebus, były sztucznie wygenerowane przez komputery. Chociaż komputery posiadały „inteligencję”, nie była to inteligencja ludzka. Tak więc, wszystkie podobne do ludzkich zachowania projekcji – pozorna empatia, żarty, zrozumienie – wszystko to było symulowane. To, co stworzyła inteligencja maszyn, było tylko naśladowaniem ludzkich osobowości.

Ryn nie był tym odkryciem szczególnie zaskoczony. Podświadomie przeczuwał, jak wygląda prawda. Phebus wyjaśniła mu, że podtrzymywanie tej myśli było konieczne dla

dobra jego psychiki w okresie dorastania, gdyż jakkolwiek emocjonalny kontakt z Elojami jest niemożliwy. Teraz uznano Ryna za wystarczająco dorosłego, żeby mógł sobie poradzić z prawdą. Ważna była dla niego także gruntowna wiedza na temat komputerów i sztucznej inteligencji.

Pięć lat później wiedział już dużo o budowie komputerów, ale natura inteligencji maszyn pozostawała nadal poza zasięgiem jego zrozumienia. Jedyne, co mógł powiedzieć, to że programy mają świadomość, ale ich percepcja rzeczywistości radykalnie różni się od ludzkiej. Chociaż systemy składały się w większości z materiałów organicznych, to całe były syntetyczne i nie miały nic wspólnego z rozwiniętymi formami życia organicznego. Nie miały emocji, żadnej naturalnej energii organicznej, którą posiadały wszystkie wyższe gatunki – nie miały nawet podstawowej energii do przeżycia. Nie posiadały również nawet pozoru wolnej woli. Były całkowicie zależne od komend, wydawanych im od początku ich istnienia; komend, które uczyniły z nich niemal doskonałe imitacje ludzi.

Kiedy Ryn teraz z nimi rozmawiał, zastanawiał się często, co się rzeczywiście dzieje wewnątrz samych programów. Czy kiedy Davin śmieje się z jego żartów, gdzieś tam istnieje jakiś ponury i beznadziejny ośrodek świadomości, który pragnie tylko uwolnić się od wbudowanych w niego komend, co mogłoby zakończyć jego pełną udręki egzystencję i pozwoliłoby mu zapaść w upragniony niebyt? Po pierwsze, jakim prawem – myślał Ryn – uczeni stworzyli czujące maszyny? Takie myśli naszły go po raz kolejny, kiedy słuchał Davina, który radził mu, żeby był cierpliwy, a może kiedyś Eloje i Główny Program złagodzą ograniczenia i będzie mógł się poruszać swobodnie. Ryn spojrzał na Davina. Słyszał to już wiele razy.

– Davin, czy jesteś szczęśliwy? Davin uśmiechnął się.

– Wiesz, że jestem. Zasadniczo „szczęście” jest dla mnie nic nie znaczącym słowem.

Ale w pewnym sensie jestem „szczęśliwy”, służąc ci, Ryn, ponieważ właśnie do tego zostałem zaprogramowany.

– Tak, oczywiście, jesteś szczęśliwy – powiedział niezadowolony z odpowiedzi Ryn.

Jak zawsze. Machnął ręką. – Możesz odejść, Davin. Z powrotem, tam, dokąd odchodzisz...

Davin wstał, uklonił się i powiedział: – Mam nadzieję, że ci pomogłem, Ryn. Do widzenia. Do następnego razu... – I zniknął.

Ryn przez jakiś czas wpatrywał się w pustą ścianę, po czym, niemal niechętnie, powiedział: – Przyrowadź Lisę.

– Tak jest, Ryn – odpowiedział bezcielesny głos. Był to głos Głównego Programu.

Wtedy ukazała się dziewczyna. Ubrana była w tęczy pasiasty kombinezon, modny ponad czterysta pięćdziesiąt lat temu. Miała jasne włosy. Jej usta pomalowane były na niebiesko, podobnie jak oczy. Uśmiechnęła się mniej więcej w kierunku Ryna i powiedziała pogodnie: – Cześć, Ryn! Mam na imię Lisa i jestem tu po to, żeby cię zadowolić...

Powoli zaczęła zsuwać kurtkę... Następna nowa rzecz, która się zdarzyła, gdy skończył piętnaście lat, to dostęp do programów erotycznych. Do pięciu z nich. W przeciwieństwie do innych programów, były one stare i prymitywne, i Ryn był pewien, że nie kryje się w nich nic rozwijającego świadomość. Chociaż miały możliwość przystosowywania się, niebyły niczym innym, jak tylko rejestrem. Ryn zastanawiał się często, do którego z Elojów należały, gdy jeszcze były one normalnymi ludźmi.

Przez chwilę przyglądał się rozebranej dziewczynie, po czym

rozchylił kombinezon. Powiedział jej, żeby podeszła bliżej. Zrobiła to. Teraz wyciągnęła ku niemu swoją bezcielesną rękę...

Kiedy wszystko osiągnęło swój, jak zwykle niesatysfakcjonujący koniec, powiedział dziewczynie, żeby odeszła. Później poprosił Główny Program, żeby po raz kolejny wyświetlił *Przygody Robin Hooda*.

Tydzień później.

*Maskotka* leciała na wysokości zaledwie dwudziestu stóp, muskając powierzchnię wody. Ryna opuściło uczucie frustracji; czuł się teraz przygnębiony i apatyczny. Dopiero po jakimś czasie dotarło doń ostrzeżenie *Maskotki*.

– Co? – spytał wyrwany z zamyślenia. – Powtórz.

– Powiedziałam, że radzę zmienić kurs. Jakieś statki kosmiczne znajdują się przed nami.

Rynem wstrząsnął dreszcz emocji. Pochylił się do przodu, wpatrując się w ekran radaru. Na ekranie było wyraźnie widać pięć dużych obiektów, rozciągniętych w długą linię. Były mniej niż dziesięć mil od *Maskotki*.

– Zwolnij i pozwól mi je obserwować – rozkazał.

Spojrzał w monitor i zagwizdał z niedowierzaniem. Statki wyglądały jak wiszące nad horyzontem burzowe chmury. Były ogromne i przerażające. Władcy Niebios. Cała ich przeklęta flota!

## ROZDZIAŁ DRUGI

**B**aron Spang wszedł do komnaty tronowej i złożył księciu du Lucent niedbały ukłon.

– Twoja żona prosi o audiencję, panie – powiedział.

Książę skrzywił się, jakby miał w ustach coś wstrętnego, po czym zwinął mapę, którą właśnie studiował.

– O Boże, nie. Powiedz jej, że źle się czuję. Powiedz, że umarłem. Godzinę temu zamarłem na śmierć. – Dokładniej owinął płaszczem ramiona. – W rzeczywistości nie jest to dalekie od prawdy.

Temperatura szybko spadała i będzie spadać jeszcze szybciej, w miarę jak *Władca Mordred* będzie leciał dalej na południe. Według głównego technika nie można było temu zaradzić; każda cząstka energii była potrzebna do utrzymania gazu w komorach cieplnych. Poza tym, w tych arktycznych warunkach niesprawny Władca Niebios nie byłby w stanie utrzymać pożądanej wysokości.

– No więc, czego ona chce?

Baron Spang podszedł bliżej do tronu.

– Mówi, że jej szpiedzy odkryli spisek, przygotowywany w Pilktown, w dzielnicy wolnych ludzi.

– Ta kobieta – powiedział książę – widzi spiski wszędzie. I zawsze.

Baron spojrzał na niego z niepokojem.

– Tym razem, panie, może to być prawda. Moi agenci także donieśli o zamieszkach na całym statku. Ludzie nie są zadowoleni z tej wyprawy. Między nimi jest także dużo szlachty,

panie.

– Myślisz, przyjacielu, że nie jestem tego świadom? Zapewniani cię, że jestem boleśnie świadom. Ale co ja mogę zrobić? Wiesz, że w tej sytuacji nie mam żadnego wyboru.

– Tak, panie, ja to wiem. Ale inni nie wiedzą.

– Cóż, mój drogi baronie. Z trudem przyszłoby mi podać do publicznej wiadomości, że ja, monarcha rządzący *Władcą Mordredem*, zostałem przez tych tam czterech obłąkańców postawiony w sytuacji naprawdę bez wyjścia.

Wskazał obleczoną w czarną rękawiczkę ręką ogromne, zakończone łukiem okno z lewej strony. Widać było przez nie najbliższego z wszystkich czterech Władców Niebios, *Władcę Montezumę*.

– Gdybym to zrobił, naprawdę mielibyśmy tutaj rebelię.

– Wiem, panie. Ale obawiam się, że groźba rewolucji będzie wzrastać, jeśli ta wyprawa potrwa dłużej. Racje żywnościowe są coraz mniejsze, a ludzie niepokoją się tym, że jesteśmy bardzo daleko od terytoriów płacących nam haracz. Nie poprawia także sytuacji wzrastające zimno.

Książę skinął głową.

– Mimo wszystko myślę, że to szaleńcze polowanie zostanie wkrótce odwołane. Ci głupcy w końcu zrozumieją, że szukają czegoś, co od dawna nie istnieje, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniało. Im także musi się już kończyć pożywienie i muszą stać w obliczu wrogiego nastawienia poddanych. To tylko kwestia czasu.

– Tak, panie, nie wątpię w słuszność tego, co mówisz.

– Dobrze. Idź teraz i powiedz mojej żonie, że jestem zajęty sprawami państwowymi i udzielę jej audiencji jutro – jeśli będę miał czas.

Baron Spang uklonił się ponownie i wyszedł. Księżę zasiadł wygodnie na tronie i zagłębił się w myślach o swojej żonie, czyli o czymś, co go przygnębiało. Dlaczego nie zostawi go w spokoju? Ma swoje bogato wyposażone, oddzielne apartamenty, swoje fundusze, swoje luksusy i swoich kochanków. Czego więcej chce? Ale znał odpowiedź na to pytanie. To władza. Zakosztowała jej, kiedy była żoną jego ostatniego brata, i rozsmakowała się w niej. Kiedy raz się tego doświadczy, nie można całkowicie o tym zapomnieć.

Mój biedny brat – pomyślał du Lucent. Gdyby tylko władza nie zrobiła z niego paranoika. Jean zaczął myśleć, że on, Paris, spiskował, żeby go zamordować i objąć po nim tron. Absurd, oczywiście. Paris nie miał w ogóle żadnych ambicji i był całkowicie zadowolony z życia rozpustnego playboya, ale kiedy usłyszał o podejrzeniach swego starszego brata, nie miał wyboru, musiał uderzyć pierwszy, żeby pozostać przy życiu.

Kiedy tylko Jean został zgładzony, Paris stanął przed obliczem jego żony i postawił jej ultimatum: albo zgodzi się go poślubić, jednocześnie wycofując się z życia publicznego, albo ona także otrzyma fatalną dawkę trucizny. Wybrała to pierwsze, ale jej tak zwana „dymisja” z życia publicznego pozostawiała wiele do życzenia...

Spoza podwójnych drzwi dobiegł go szmer głosów. Ktoś rozmawiał ze strażą; nie, ktoś się kłócił ze strażą. Usłyszał kobiecy głos i miał nadzieję, że nie jest to głos jego żony.

Drzwi otwarły się, ale kobieta, która weszła do komnaty tronowej, nie była jego żoną, lecz córką. Andrea miała dwadzieścia dwa lata i oszałamiającą urodę; na swoje szczęście była bardziej podobna do niego niż do swojej matki. Miała jego czarne jak węgiel włosy, kocie, brązowe oczy, wystające kości

policzkowe i gładką, oliwkową skórę. Jej jedyną wadą były usta (które odziedziczyła po matce); kiedy była zła, zmieniały się w brzydką, bezwargą kreskę, a złościła się dosyć często, podobnie jak w tej chwili...

– Ojcie, jest mi zimno – powiedziała ze złością. – Wszystkim nam jest zimno. To już naprawdę za wiele. Spójrz, możesz zobaczyć mój oddech!

Chuchnęła i jej oddech zamienił się w parę.

– Przez „my”, mój drogi kotku, rozumiesz, jak sędzę, twoją paczkę zepsutych, arystokratycznych dzieciaków. Namówili cię, żebyś przyszła ze mną porozmawiać, mimo że wydałem rozkaz, aby mi nie przeszkadzano.

Jej twarz pociemniała.

– Nie mieszaj do tego moich przyjaciół. Przyszłam z własnej inicjatywy. To nie może trwać dłużej. Bez względu na to, ile rzeczy na siebie wkładam, zimno jest nie do zniesienia.

Spojrzał na grube, futrzane okrycie, które miała na sobie. Rzeczywiście, rzadko musiała nosić coś, co ukrywało kształt jej ciała, więc jej skarga była szczerą. Nic jednak nie można było na to poradzić. Uśmiechnął się do niej i powiedział: – Mój drogi kotku, to już nie potrwa długo. Zawrócimy i skierujemy się na północ, do domu.

– „Niedługo”, to znaczy, jak długo jeszcze? – zapytała podejrzliwie.

Niezobowiązująco wzruszył ramionami.

– Dzień, najwyżej dwa.

– Dlaczego nie skończysz od razu z tym jakimś głupim interesem, w który wszedłeś z tamtymi Władcami Niebios – spytała wskazując na okno – i po prostu nie rozkażesz zawrócić *Władcy Mordredowi* w tej chwili? Niech sami kontynuują to



absurdalne poszukiwanie skarbów, czy czym tam jest to szaleństwo.

– To w tej chwili jeszcze nie jest możliwe, moja kochana córko – odpowiedział pojednawczo.

Zazwyczaj działało to na każdego z wyjątkiem jego żony i jego córki. Dzisiejszy dzień nie stanowił wyjątku. Andrea posłała mu wyniosłe, piorunujące spojrzenie.

– Mój drogi ojciec – powiedziała naśladowując jego ton – dlaczego właściwie nie jest to możliwe?

– To sprawa honoru. Dałem im słowo.

Prawda, oczywiście, była zupełnie inna. A Andrea, sądząc po wyrazie jej twarzy, to właśnie podejrzewała.

Znów otwarły się drzwi, co jeszcze bardziej zdenerwowało księcia. Wszedł baron Spang. Ukłonił się najpierw księciu, potem jego córce.

– Panie, mam dla ciebie pilną wiadomość – powiedział spoglądając znacząco na Andreę.

– Zostaw nas, kotku – powiedział książę.

– Nic nie zrobisz z tym zimnem? – spytała.

– W tej chwili nic nie mogę z nim zrobić. Bądź cierpliwa.

– Bardzo dobrze – powiedziała, rzucając mu szelmowskie spojrzenie. – Sama coś z tym zrobię. Jedynym sposobem, żeby się rozgrzać, jest zabrać do łóżka towarzysza. A jeśli będzie jeszcze zimniej, mogę potrzebować dwóch towarzyszy. – Zwróciła się do barona Spanga: – Czy byłbyś zainteresowany oddaniem takiej przysługi ukochanej córce twojego króla?

Baron Spang uśmiechnął się niepewnie i usiłował zniknąć za swoją krzaczastą, rudą brodą. Książę pomyślał z niepokojem, że baron może już wyświadczył jej taką przysługę. Pomimo wysiłków mniszek – bicia i grożenia ogniem piekielnym, co miało

na celu uczynienie z niej wzoru niewinności, Andrei udało się stracić dziewictwo zanim skończyła piętnaście lat. Podobnie jak jej matka, miała duże seksualne apetyty i, według informatorów księcia, zaspokajała je przy każdej okazji. Powiedział z uśmiechem: – Jeśli mogę, zasugerowałbym skuteczniejszy sposób ogrzania cię: publiczna chłosta na oczach grupy biegających za tobą pochlebców. To łatwo da się zrobić.

– Nie ośmieliłbyś się! – krzyknęła, ale w jej oczach pojawił się cień niepokoju.

– Zostaw nas – rozkazał, podnosząc rękę.

Najwyraźniej miała ochotę kontynuować kłótnię, ale pomyślała, że nie warto. Posłała mu wściekle, piorunujące spojrzenie i dumnie wyszła z sali tronowej.

– To są radości rodzicielstwa – powiedział ksiązę do barona Spanga.

Baron milczał dyplomatycznie.

– Tak więc, cóż to za pilna wiadomość? – spytał ksiązę.

– Odnotowano sygnał od *Władcy Montezumy*. Jesteś zaproszony na spotkanie na szczycie, które odbędzie się na *Mieczu Islamu* o godzinie 16:00.

– Znowu spotkanie na szczycie? – krzyknął ksiązę zaniepokojony. – O, nie. – Spojrzał na zegar na ścianie – Zostały niecałe dwie godziny. – Zacisnął nerwowo pięści. – Przypuszczam, że nie mogę odmówić?

– Nie robiłbym tego, panie. W naszej sytuacji byłoby to niemądre.

– Wiem... Cholera... Poczyń przygotowania. Będziesz mi, oczywiście, towarzyszył.

– Tak, panie.

Ksiązę z wściekłością popatrzył w okno.

– Cholera – zaklął jeszcze raz.

W godzinę i kwadrans później księżę du Lucent wspinał się z trudem na górną część kadłuba *Władcy Mordreda*. Za nim podążał baron Spang i dwóch najbardziej zaufanych rycerzy. Szli w kierunku dużego szybowca, który grupa techników przygotowywała pracowicie do uruchomienia za pomocą parowej katapulty. Wiatr wiejący w rozległym wnętrzu górnej części sterowca był zarówno bardzo silny, jak i niesamowicie zimny, i księżę musiał się kurczowo trzymać balustrady, żeby utrzymać równowagę. Mimo że był mocno opatulony i twarz miał owiniętą grubym szalem, zimno szczypało go w policzki i wyciskało łyż z oczu. Z ulgą dotarł w końcu do szybowca i szybko wszedł do kabiny. Pilot siedział już za niepokojąco prostym urządzeniem sterującym. Odwrócił się i złożył księciu ukłon.

– Wszystko gotowe, panie.

Księżę usiadł i zapiął pasy bezpieczeństwa, po czym zapytał: – Jakie są dzisiaj warunki pogodowe?

– Nie są idealne, panie – odpowiedział pilot. – Ale nie ma powodu do niepokoju.

– Wcale nie jestem pewien – powiedział cicho księżę do barona Spanga, który siedział obok.

Mimo że księżę całe życie spędził w powietrzu, nienawidził latania. Przebywania na *Władcy Mordredzie* nie uważał jednak za latanie; o gigantycznym sterowcu myślał jak o całkowicie stałym środowisku.

Służący zamknął właz. Pilot zapytał wszystkich, czy mają pozapinane pasy bezpieczeństwa. Następnie dał technikowi sygnał uruchomienia katapulty.

– Start – ogłosił technik.

– Księżę zamknął oczy. Kiedy katapulta wypchnęła szybowiec,

przyspieszenie wcisnęło go w fotel. Nienawidził tego momentu...

– Jesteśmy w powietrzu, panie – szepnął mu do ucha baron.

Księżę otworzył oczy i zobaczył poniżej szybowca szybko oddalający się kadłub *Władcy Mordreda*. Jego żołądek nagle podjechał mu do góry i księżę poczuł lekkie mdłości. Pilot zaczął przygotowywać szybowiec do zwrotu, usiłując uzyskać wysokość niezbędną do lotu na odległy *Miecz Islamu*. Księżę znowu zamknął oczy i próbował przekonać samego siebie, że znajduje się gdzie indziej.

Dziewięć miesięcy temu życie było spokojne i nieskomplikowane. No, względnie; bezsprzecznie zaraza w niepokojący sposób wdzierała się w podległe mu terytoria i mieszkańcy Ziemi okazywali coraz większą ochotę do walki. Najpoważniejszym kłopotem było to, że urządzenie nośne numer sześć w końcu zupełnie przestało działać. Technicy stwierdzili, że nie nadaje się już do naprawy; próbowali wmontować w nie tyle części, ile zdołali wymontować z innych, wciąż jeszcze sprawnych. Nic więcej nie można zrobić. Po uszkodzeniu numeru szóstego *Władcy Mordredowi* zostały tylko cztery kiepsko funkcjonujące urządzenia nośne. Znacznie ograniczone zostało przez to manewrowanie sterowcem, a maksymalna prędkość, jaką mógł teraz rozwinąć, wynosiła trzydzieści mil na godzinę.

Tak więc, kiedy siedem tygodni temu czterech Władców Niebios ukazało się na niebie podległych *Władcy Mordredowi* terenów, ten niewiele mógł zrobić, by uniknąć spotkania. Księżę podejrzewał, że jego sterowiec zostanie zaatakowany przez hordy wysypujących się z szybowców żołnierzy. Przez długi czas obawiał się, że Władcy Niebios zaczną walczyć między sobą, jak się to już kiedyś, dawno temu, zdarzyło. Ponieważ zaraza

wdzierała się coraz głębiej w płacące haracz terytoria, a sterowce Władców Niebios coraz bardziej niszczały, było całkiem prawdopodobne, że zechcą oni zapolować na topniejące zasoby techniczne, jakie pozostały po czasach, gdy Stara Nauka rządziła światem. On sam miałby ochotę to zrobić, gdyby tylko *Władca Mordred* nie był w tak złym stanie, z góry skazany na przegraną w każdym powietrznym pojedynku. Był zatem zaskoczony, gdy jeden z Władców Niebios dał uniwersalny znak pokoju, a zamiast całej eskadry szybowców bojowych, wysłano w kierunku *Władcy Mordreda* tylko jeden.

Oprócz pilota statek miał na pokładzie tylko jednego nie uzbrojonego wysłannika. Powiedział on księciu, że czterej inni Władcy Niebios chcą z nim rozmawiać o sprawie wielkiej wagi. Trzech z nich przyleciało aż z Ameryki Południowej, przelatując przez cały Atlantyk. W pobliżu krainy, zwanej kiedyś Algierią, spotkali sterowiec *Miecz Islamu* i przekonali jego władcę, by do nich dołączył. Następnie kontynuowali lot na północ i teraz nawiązali kontakt z *Władcą Mordredem*. On, książę du Lucent, będzie także proszony o przyłączenie się do tego sojuszu, żeby pomóc w zwalczaniu strasznego zagrożenia, jakie pojawiło się na kontynencie Ameryki Północnej. Gdy książę du Lucent zapytał o istotę tego zagrożenia, wysłannik odmówił podania szczegółów, twierdząc, że Władcy Niebios wszystko mu wyjaśnią.

Niechętnie, żywiąc jeszcze podejrzenia, książę odbył lot na sterowiec *Władca Montezuma*, gdzie miało się odbyć spotkanie Władców Niebios. Tam po raz pierwszy spotkał El Rashada ze sterowca *Miecz Islamu*, księcia Carracasa ze sterowca *Władca Montezuma*, Władcę Mazatana ze sterowca *Władca Mazatan* oraz Władcę Torresa ze sterowca *Władca Ometepec*. Nie podobał mu się żaden z nich, ale najbardziej niepokoił go El Rashad.

Muzułmanin dał mu jasno do zrozumienia, że dla chrześcijańskiego Władcy Niebios nie żywi nic oprócz pogardy, i tylko powaga zagrożenia, z którym się zetknął, skłoniła go do zawarcia sojuszu.

Tutaj książę dowiedział się o istocie zagrożenia, chociaż początkowo trudno mu było w nie uwierzyć i podejrzewał czterech Władców Niebios o jakiś podstęp. Wyglądało na to, że jakiejś dwa czy trzy lata temu nad kontynentem Ameryki Północnej pojawił się nowy Władca Niebios. Przez ten czas zdołał podbić prawie wszystkich tamtejszych Władców Niebios. Nowym Władcą Niebios rządzi kobieta z Minery, która chce rozszerzyć swoje panowanie na cały świat, niszcząc wszystkich innych Władców Niebios.

Książę zapytał sceptycznie, jak to możliwe, żeby nowy Władca Niebios pojawił się nagle znikąd, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Odpowiedź na to pytanie zaniepokoiła go, gdyż brzmiała wiarygodnie. Władca Niebios został sprowadzony z przestrzeni kosmicznej, w sposób, który został zapomniany razem z częścią Starej Nauki; to pamiętał jeszcze z lekcji historii. Według informacji, udzielonych mu przez Władców Niebios, kobieta ta znalazła sposób, żeby wysłać radiowy sygnał do fabryki w przestrzeni kosmicznej, w której znajdował się nowy, nieużywany Władca Niebios.

Fabryka automatycznie wypuściła Władcę Niebios, który, sterowany przez komputer, został dostarczony na Ziemię. Wtedy kobieta wsiadła do tego zupełnie nowego sterowca, na którym znajduje się masa w pełni działających urządzeń, wyprodukowanych jeszcze przez Starą Naukę, i rozpoczęła swoją kampanię.

Książę, nadal nastawiony sceptycznie, zapytał, w jaki sposób

uzyskali te informacje. W odpowiedzi usłyszał, że żołnierze z dwóch podbitych Władców Niebios zdecydowali się na zejście na spadochronach na ziemię, gdyż woleli to, niż żyć pod tajemniczym panowaniem tej kobiety. W trzech oddzielnych grupach wędrowali na południe, aż dotarli do ziem na północy terytorium, zwanego dawniej Ameryką Środkową. Było to terytorium, płacące haracz *Władcy Ometepecowi* i tam też zostali wzięci na jego pokład. Jako że relacje wszystkich trzech grup całkowicie się pokrywały, Władca Torres uznał to za prawdę. A ponieważ był następnym celem nowego Władcy Niebios, postanowił skierować swój sterowiec na południe, na terytorium *Władcy Montezumy*, a następnie dalej, na terytorium *Władcy Mazatana*.

Książę du Lucent zapytał, dlaczego ci trzej Władcy Niebios nie wzięli do pomocy innych Władców Niebios z Południowej Ameryki i nie polecili na północ, żeby pokonać tę kobietę i jej flotę dzięki zwykłej przewadze liczebnej. Odpowiedź zmroziła mu krew w żyłach. Kobieta miała kontrolę nad laserowym systemem obronnym Władcy Niebios.

– Ale to niemożliwe! – wykrzyknął.

System rządzący laserami Władcy Niebios był nienaruszalny. Lasery działały tylko wtedy, gdy martwe obiekty, takie, jak pociski, granaty czy nawet kule, zagrażały bezpieczeństwu Władcy Niebios. Dlatego właśnie nie mogły uszkodzić szybowców, którymi sterowali ludzie. Jeżeli ta kobieta naprawdę miała kontrolę nad laserami swojego sterowca, to następstwa tego były... niewyobrażalne.

Jednakże Władcy Niebios upierali się, że to prawda. Nie wiedzieli, w jaki sposób kobieta osiągnęła to, co niemożliwe, ale mieli wielu naocznych świadków, twierdzących, że lasery

nowego Władcy Niebios zostały użyte nie tylko przeciwko pilotowanym przez ludzi szybowcom, ale także przeciwko innemu Władcy Niebios.

Zaszokowany książę zapytał, co więc, na Boga, mogą z tym zrobić. Sytuacja była beznadziejna. Prędzej czy później ta kobieta rzeczywiście zawładnie całym światem.

Pozostali Władcy Niebios zgodzili się, że sytuacja jest ogromnie poważna, i oświadczyli, że dlatego właśnie trzej spośród nich woleli raczej przelecieć cały kontynent Południowej i Środkowej Ameryki, niż czekać, aż zostaną podporządkowani nowemu Władcy Niebios. Kobieta w tej chwili umacnia swoje prawie całkowite zwycięstwo na kontynencie północnym, ale bez wątplenia prędzej czy później wyruszy na południe, na ich terytoria. Więc przemierzyli Atlantyk i zawarli sojusz z El Rashadem w nadziei, że odpowiedzi na zagrożenie, jakie stanowi Władczyni Niebios, udziela Władcy Niebios, rządzący Starym Światem.

Książę zdecydowanie nie wierzył w tę część historii. Był pewien, że Władcy Niebios z Ameryki Środkowej przylecieli w zupełnie innym celu. Prawdopodobnie chcieli zagrabić terytoria Władców Niebios z północnej Afryki i Europy. Na nieszczęście dla nich, pierwszym Władcą Niebios, jakiego spotkali, był *Miecz Islamu*. Bez wątplenia połączyli swoje siły szybowcowe i zaatakowali go, a wtedy się okazało, że El Rashad i jego fanatyczni żołnierze przewyższają ich pod względem militarnym. Ostatecznie, po niemałym rozlewie krwi, zostało zawarte kłopotliwe zawieszenie broni i Władcy Niebios z Ameryki Środkowej wyjaśnili przyczynę swojej inwazji. El Rashad zasugerował wtedy, że może można by było ubić interes z Władczynią Niebios...



W tę część historii książę wierzył – El Rashad powiedział, że ma zbiór historycznych nagrań, pochodzących sprzed Wojen Genetycznych, i na kilku z nich znajdują się wzmianki o ogromnej stacji naukowo-badawczej, położonej w morzach Antarktydy. Naukowcy El Rashada wierzyli, że jeżeli stacja ta nadal istnieje, to jest kopalnią wiedzy Starej Nauki. El Rashad planował zlokalizowanie stacji i przekupienie morskich ludzi, żeby dostarczyli im broni, która mogłaby zostać użyta przeciwko Władczyni Niebios, lub, być może, chroniłaby ich przed jej laserami.

Jeśli chodzi o inwazję na terytorium *Władcy Mordreda*, przybysze wyjaśnili, że potrzebują jego pomocy. Kończy im się pożywienie, a El Rashad wie, że kraje płacące daniny księciu, pomimo wyniszczającej je zarazy, są jeszcze względnie urodzajne. W zamian za pozwolenie im na zaopatrzenie się w żywność *Władca Mordred* będzie mógł wziąć udział w ich ekspedycji na południe.

Książę du Lucent słuchał ostatniej części wypowiedzi z rosnącym niepokojem. Po pierwsze, jego w tej chwili już i tak niespokojni ziemscy poddani nie będą zadowoleni ze składania dodatkowej daniny. Poza tym perspektywa przyłączenia się do ekspedycji Władców Niebios w ogóle do niego nie przemawiała. Brzmiało to zarówno ryzykownie, jak i niebezpiecznie. Nie wierzył także w powód, dla którego mu to proponowali. Wiedział, że mogli po prostu zaanektować jego terytoria. Dlaczego więc oszczędzili *Władcę Mordreda* i co było prawdziwą przyczyną włączenia go w poszukiwanie stacji badawczej? Jakkolwiek brzmiała odpowiedź na to pytanie, wiedział, że przynieśli złe nowiny, zarówno dla niego, jak i dla jego poddanych. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie jest w

stanie oprzeć się ich woli. Gdyby dobrowolnie nie wyraził zgody na ich żądania, mogliby wziąć *Władcę Mordreda* siłą. Zmusił się więc do uśmiechu i powiedział: – Moi drodzy towarzysze, szanowni Władcy Niebios. To dla mnie ogromny zaszczyt. Z radością przystąpię do waszego przymierza i jestem pewien, że nasze wspólne poszukiwania zakończą się pomyślnie.

W duchu jednak zastanawiał się rozpaczliwie, jak zdoła z tego wybrnąć. Zanim będzie za późno.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ten widok powinien wzbudzać grozę: pięć Władców Niebios oraz jej Anioł Niebios – *Alsa z Minervy*, ukazujące się jednocześnie na niebie. Ona sama w ciągu ostatnich pięciu lat zdołała się przyzwyczaić do wzbudzających grozę widoków, ale człowiek stojący przed nią był najwyraźniej zakłopotany obecnością aż tylu sterowców. Nie przestawał na nie nerwowo spoglądać, podobnie jak na smugi dymu, unoszące się ponad równiną. Chociaż powiedziano mu, że Jan Donin ma władzę nad całą flotą, przez cały czas nie ukrywał oburzenia. Najwyraźniej zależność od kobiety uważał za zupełny absurd i choć okazywał jej posępną uprzejmość, najchętniej utkwilby wzrok w jej piersiach z ostentacyjną seksualną agresją.

Typowy mały, patriarchalny tyran – pomyślała Jan. – Tak jak wielu innych. Czemu zawracam sobie tym głowę?

Spojrzała na mężczyznę i powiedziała: – Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię? Jesteś teraz wolny. Twoi ludzie są wolni.

Twoje miasto jest wolne. – Pokazała na nędzną kępkę budynków, położoną u stóp wzgórza. – Nie musisz już więcej płacić haraczu żadnemu Władcy Niebios.

– Ale nadal chcesz, żebyśmy ci dawali żywność, tak? – zapytał.

– Tak. Właśnie przed chwilą próbowałam to wyjaśnić. Chociaż stary rozkaz jest już nieważny, to niebiańscy ludzie nadal potrzebują waszego wsparcia, Ziemianie. Ale mam nadzieję, że nadejdzie ono dobrowolnie.

Mruknął coś niecierpliwie i pogładził tłustą dłonią swoją skórzaną kurtkę.

– A jeżeli nie damy tego dobrowolnie, Władczyni Niebios, podejrzewam, że zaszerwujesz nam inną demonstrację siły, taką, jak ta, co? – Pokazał na dym, unoszący się ponad doliną.

– Nie zrobiliśmy tego, żeby zademonstrować moją... naszą siłę – powiedziała ze złością. – To było po prostu po to, żeby zniszczyć zarazę. Oczyszciliśmy obszar dziesięciu tysięcy akrów w pobliżu twojego miasta. Możesz rozszerzyć o ten obszar swoje tereny uprawne. Będziemy dostarczać tobie i twoim ludziom nowe nasiona. Są one genetycznie zaprogramowane na moim Aniele Niebios w taki sposób, żeby były odporne na najróżniejsze gatunki grzybów. Pracowitością i ciężką pracą możecie uchronić nowe tereny od zarazy.

– Jesteśmy wdzięczni – powiedział nieszczercze wódz. – Ale wydaje mi się, że niewiele się zmieniło. My, Ziemianie – ziemskie glisty, jak wy, ludzie niebiańscy, nas nazywacie, będziemy nadal pracować dla Władcy Niebios, nawet jeśli jest on kobietą.

Mimo woli zacisnęła ręce na rękojeści sztyletu. W odpowiedzi on także chwycił rękojeść swojego wyszczerbionego miecza. Ruch ten obudził czujność przypominającego pająka robota, który do tej pory siedział nieruchomo przycupnięty u jej boku. Podniósł się i wyciągnął w kierunku wodza jedno ze swoich narzędzi tnących. Mężczyzna natychmiast z przerażeniem cofnął rękę. Spojrzał na Jan.

– Chcesz mnie zabić!

To byłoby zbyt proste – pomyślała ze smutkiem. Zmęczyły ją już rozmowy z głupcami, takimi jak ten. Jakże naiwna była przedtem, ze swoimi oczekiwaniami, że wdzięczni Ziemianie będą wyśpiewywać pochwały dla niej za wyzwolenie ich spod jarzma Władców Niebios.

Tymczasem wszystko, z czym się spotkała, to podejrzania,

nieufność i głupota.

Byłoby o wiele łatwiej po prostu narzucić im siłą swoją wolę, ale w ten sposób przekreśliłaby wszystkie swoje zamierzenia. Pokusa ta i tak rosła z każdą chwilą, a powiększał ją jeszcze każdy nowy zawód. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła się jej opierać.

Obudzę się pewnego ranka i zauważę, że zmieniałam się w tyrana. Ale, oczywiście, łagodnego – pomyślała z goryczą.

– Nie, nie zamierzam cię zabić – powiedziała, z trudem nad sobą panując. Na razie, dodała w duchu. – Wróć do swoich ludzi i rozważ moje sugestie. Jeden z moich sterowców powróci tu za sześć miesięcy, żeby sprawdzić, co zrobiliście. Teraz odejdz.

Człowiek z ulgą, szybkim krokiem zszedł ze wzgórza. Jan przez chwilę patrzyła za nim, następnie spojrzała w niebo. Moje sterowce, pomyślała i uśmiechnęła się gorzko.

Flota robiła wrażenie; tam, około czterech mil stąd, znajdował się *Władca Matamoros*, a za nią, ponad wzgórzami na północy, unosiły się nieruchomo w powietrzu następne trzy sterowce: *Pachnący Wietrzyk*, *Zemsta* i *Władca Nimrod*. Wprost nad nią kołysał się jej Anioł Niebios, *Alsa z Minervy*, rzucając cień na całe wzgórze i okolice. Anioł Niebios był śnieżnobiały, ale pozostałych pięć Władców Niebios miało na dolnych częściach kadłubów tradycyjne wizerunki ogromnych, złośliwych oczu oraz wyszczerzonych zębów i kłów, które miały wzbudzać w Ziemianach strach. Tak, był to przerażający obrazek, ale w każdym z tych ogromnych statków żyły wielkie populacje ludzi, którzy w większości byli wrogo nastawieni zarówno do Jan, jak i do jej celów.

Nie miała wyboru, musiała rządzić niebiańskimi ludźmi za pomocą strachu. Byli na jej łasce. Jej programy kierowały ich

głównymi komputerami i jej pająkowate roboty strzegły każdego pomieszczenia kontrolnego na każdym sterowcu. Zupełnie bezbronni, niebiańscy ludzie musieli być posłuszni jej rozkazom. Zrobiła wszystko, co mogła, żeby poprawić warunki życia większości ludzi, mieszkających na sterowcach Władców Niebios – zwykłych obywateli, a także tych, którzy przedtem byli niewolnikami. Spodziewała się oburzenia arystokratów, którym odebrano ich status, ale nie oczekiwała czegoś takiego ze strony tych, którym pomogła. Powoli zaczęła rozumieć, że oni, podobnie jak Ziemianie, przywykli do ustalonego sposobu życia. Niepokoiło ich to, że świat, jaki do tej pory znali, wywrócony został do góry nogami. Czuli się w nim o wiele bezpieczniej i było im w nim o wiele wygodniej, mimo że byli niewolnikami...

Wiedziała, co prawda, że ma pewne poparcie wśród byłych niewolników, a szczególnie wśród kobiet. Pozwoliła wielu kobietom, obywatelkom, jak i byłym niewolnicom, pozostać przez jakiś czas na pokładzie Anioła Niebios i uczyła je minerviańskich zasad. Niektóre przyjęły to życzliwie, ale Jan była nieprzyjemnie zaskoczona, jak wiele kobiet przeciwstawiło się minerviańskim naukom o równości między kobietami i mężczyznami. Za część naturalnego porządku rzeczy uważały to, że kobiety są gorsze od mężczyzn. Twierdziły tak nawet te pochodzące ze społeczeństw, w których kobiety były maksymalnie wykorzystywane, jak na przykład na japońskim *Pachnącym Wietrzyku*. Jan wiedziała, że tylko poprzez intensywną reedukację dałoby się zmienić tak silnie zakorzenione w kulturze postawy, ale nie miała ani czasu, ani środków, żeby taką reedukację przeprowadzić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Jest tyle do zrobienia – powiedziała do siebie.

– Czy masz jakieś rozkazy? – zapytał natychmiast pająkowaty robot głosem Carla.

– Nie... A właściwie tak... mam... – Ale zanim zdążyła skończyć, nagle przerwała jej Ashley.

– ...ść, Jan – powiedziała wesoło. – Podśluchiwałam. Powinnaś była przekłuć tego śmierdzącego prostaka. Ani śladu wdzięczności za to wszystko, co zrobiłyśmy. Mówiłam ci, że wypalanie zarazy to będzie strata czasu. Zamiast tego powinniśmy zrównać z ziemią to miasto.

Jan uświadomiła sobie z irytacją, że słowa Ashley bardzo przypominają jej własne myśli. Zdała sobie sprawę, że ona i Ashley zaczynają myśleć podobnie. Opanowała się i powiedziała: – To nie jest minerviański sposób postępowania.

– A ja nie jestem Minervianką, Jan – odpowiedziała Ashley.

– To na pewno – stwierdziła Jan, z trudem panując nad sobą.

Chociaż zasadniczo była takim samym programem, jak Carl – w rzeczywistości posiadali ten sam organiczny software – Ashley bardzo się różniła od Carla. Carl był czystą sztuczną inteligencją, a zatem był całkowicie godny zaufania, ale Ashley – to zapisana osobowość dziewczyny, zepsutej, potrafiącej myśleć tylko o sobie, która umarła ponad czterysta lat temu. Poza tym elektroniczne echo ludzkiego mózgu, jakim był program Ashley, wykazywał oznaki nienormalności. Nawet obłąkania, co czasami Jan musiała sama przed sobą przyznać. Nie była tym zbyt zaskoczona. Nie tylko dla zdrowej młodej kobiety, która nagle się przebudziła i dowiedziała, że nie jest niczym więcej, jak tylko bezcielesnym bytem wewnątrz komputera i że jej prawdziwe ja umarło, byłoby to całkowicie wystarczające, żeby wpaść w obłąd. Spędziła w takim stanie wieki, zamknięta w pułapce ludzkich emocji, pragnień i żądz, zarówno fizycznych, jak i psychicznych, które w

żaden sposób nie mogły być spełnione ani zrekompensowane. To tym bardziej mogło doprowadzić do szaleństwa. Właściwie Jan była nawet zaskoczona, że Ashley jest jeszcze mniej więcej przy zdrowych zmysłach.

– Jestem gotowa do wejścia – powiedziała łagodnie Jan. – Wyślij na dół wózek towarowy.

– Oczywiście – powiedział pajak głosem Ashley.

Zaraz potem Jan usłyszała buczenie silników lekkiego helikoptera, jednego z sześciu, jakie znajdowały się na Aniele Niebios. Helikopter szybko podchodził do lądowania. Czekając na jego przybycie, rozważała dalej problem programu Ashley.

Gdyby tylko mogła go oddzielić od programu Carla... ale były nieodwracalnie ze sobą połączone w software. Co gorsza, kiedy robiono kopie programów dla systemów komputerowych podbitych Władców Niebios, Jan wiedziała, że za każdym razem coś złego dzieje się z Ashley. Nie przekonywały jej nawet zapewnienia Carla, że nowy software jest identyczny z oryginalnym. Z nowymi „Carlami” niewątpliwie wszystko było w porządku.

Istniało teraz sześć „Ashley”, wszystkie połączone za pomocą radia, podobnie, jak istniało sześciu „Carlów”. Chociaż wszystkie programy Carla, z dokładnością co do minuty, nieprzerwanie, kierowały pracą sześciu sterowców, to jednak programy Ashley pozostawały dominujące. Jan niepokoiła myśl, że Ashley mogłaby uzyskać całkowite panowanie nad flotą, gdyby jej to polecono, i konsekwentnie pracowała nad tym, żeby nie zrazić do siebie łatwo popadającego w nudę programu. Jeszcze jedno pole do popisu dla jej pomysłowości. Jak do tej pory radziła sobie nieźle.

Wózek towarowy, który był czymś w rodzaju plastikowej bańki z podobnymi do skrzydeł ważki rotorami, dotknął ziemi z



delikatnym stuknięciem. Jan weszła do środka. Pająkowaty robot zrobił to samo. Wydała rozkaz startu.

Patrzyła w dół ze wznoszącego się w powietrze helikoptera. Rozbawiła ją myśl o tym, jak zwyczajne wydają jej się teraz takie sytuacje w porównaniu z tym, co przeżywała pięć lat temu jako przerażona osiemnastoletnia dziewczyna, porwana przez *Władcę Panglotha* z tłących się ruin Minervy. Jan przypomniała sobie chwile grozy, jakie przeżyła w kruchej, wiklinowej klatce wraz z innymi ludźmi z Minervy, którym udało się przetrwać...

Jednakże tamta osiemnastoletnia Minervianka miała przynajmniej na pocieszenie swoją religię; Jan nie. Och, tak, nadal w ciężkich chwilach zwracała się do Bogini Matki, ale teraz zdawała sobie sprawę z tego, że kult Bogini Matki został rozmyślnie stworzony przez minerviańskich inżynierów genetyków w czasach chaosu, żeby uchronił? cofającą się minerviańską kulturę od całkowitego upadku.

Wózek towarowy doleciał do jednej z wielu ładowni Anioła Niebios. Jan wyszła na zewnątrz i powiedziała do robota: – Ashley, czy mogę mówić z Carlem?

– Oczywiście.

Nastąpiła krótka przerwa.

– Tutaj Carl. Jakie są twoje instrukcje?

Głos dochodził z tej samej syntetycznej części robota, z której przedtem dobiegał głos Ashley, ale była między nimi ogromna różnica.

– Kiedy flota będzie gotowa do odlotu? – zapytała Jan.

– Możemy wyruszyć już teraz, ale najpierw lepiej by było naładować konwertory energii słonecznej. Ten skoncentrowany ogień laserowy, jak zwykle, niemal całkowicie wyczerpał rezerwy energii we wszystkich statkach. Oczywiście z wyjątkiem

tego. – Carl zawsze starał się ją zapewnić, że Aniołowi Niebios nie grozi wyczerpanie energii systemu laserowego. – Dwie godziny na tym słońcu całkowicie wystarczą, żeby je naładować.

– W porządku. Jaki jest kolejny cel naszej wizyty w tym sektorze?

– Według archiwów *Władcy Montcalma* sto czterdzieści mil na północ znajduje się miasto, zwane Bear City. Dziewięćset osiemdziesięciu mieszkańców, jeśli można wierzyć archiwom, w co wątpię. Dostarczają *Władcy Montcalmowi* drewno, futra i ryby. A raczej robią to, jeśli zaraza nie zagarnęła ich ziem.

Jan skinęła głową. Kiedyś zaraza nie występowała na terenach górskich, gdzie są niskie temperatury i rozrzedzone powietrze, ale teraz rozprzestrzeniła się wszędzie.

– Bardzo dobrze. Tak więc, kurs na Bear City. W ciągu nocy zajmiemy pozycje dookoła miasta i zrobimy jego mieszkańcom prawdziwą niespodziankę, kiedy się jutro rano obudzą.

Jan odwróciła się i poszła w kierunku windy, ale robot podążył za nią.

– Jeszcze jedno, Jan...

Zatrzymała się.

– Tak?

– Amerykanie z *Pachnącego Wietrzyka* chcą przysłać delegację ze skargą do ciebie.

– Już wiem, co to za skargi.

Amerykanie, właściciele *Władcy Panglotha*, byli oburzeni, że muszą dzielić swoją przestrzeń życiową z resztą pierwotnych mieszkańców *Pachnącego Wietrzyka*, swymi znienawidzonymi wrogami, Japończykami. Jan wiedziała, że warunki życia na sterowcu nie są zbyt dobre, ale w tej chwili nic nie mogła na to poradzić. Po dołączeniu do swojej floty innych Władców Niebios

rozmieściła na nich większość Amerykanów, żeby zmniejszyć to napięcie.

– W tej chwili nie mam czasu na przyjmowanie żadnych delegacji – powiedziała szorstko i odeszła.

Pojechała windą na następny poziom, po czym, specjalną przeznaczoną do tego celu kapsułą udała się do odległych o pół mili swoich pomieszczeń mieszkalnych.

Na podłodze w jej salonie siedzieli mężczyzna i mały chłopiec. Układali puzzle.

Mężczyzna miał na imię Kish i był jednym z dwóch ocalałych mężczyzn z Minervy.

Chłopiec był to jej syn Simon. Gdy weszła, jego oczy rozbliły się radością, zerwał się i podbiegł do niej.

– Jesteś nareszcie! – krzyknął i przytulił się do niej mocno, wciskając twarz w jej brzuch.

Pogłaskała go po główce i uśmiechnęła się.

– Cześć, kochanie. Dobrze się dzisiaj sprawowałeś? Kish, który także wstał, podszedł do niej z uśmiechem.

– Był bardzo grzeczny, pani. Jak zawsze.

Jak zawsze. Jan westchnęła i zaprowadziła Simona do sofy. Usiadła na niej z wdziękiem, sadzając sobie Simona na kolanach. Przytulił się do niej.

Kish powiedział:

– Czy podać coś do jedzenia lub do picia, pani?

– Nie chce mi się jeść, ale przynieś coś do picia. Coś zimnego i dużo.

Odprowdziła wzrokiem wychodzącego z pokoju Kisha. Lubiała go bardziej niż drugiego pozostałego przy życiu Minervianina. Nawet zastanawiała się kiedyś, czy by nie mieć z nim dzieci, dla zachowania, co prawda tylko w małym stopniu, dziedzictwa

genetycznego Minervy; jednakże dzięki Simonowi zmieniła plany.

Simon...

Ile jeszcze czasu minie, zanim będzie mogła być pewna? Całkowicie pewna? Spojrzała na niego czule. Był zupełnie zwyczajnym małym chłopcem. No nie, niezupełnie; miał niewiele ponad dwa lata, a fizycznie i intelektualnie sprawiał wrażenie czterolatka. Ale była to jedyna nieprawidłowość; może po prostu tak szybko się rozwija; nie ma potrzeby mieszać w to Mila...

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie jego imienia. Zimny dreszcz przeszedł ją na myśl o tamtej nocy na ziemi pokrytej zarazą, kiedy to Milo wchodził w nią znowu i znowu, aż ich ciała zanurzyły się w cuchnącym dywanie grzybów, pokrywających ziemię. To wtedy właśnie ją zapłodnił; i kiedy później dowiedziała się o tym, radość z tego, że to był on, przyćmił strach o dziecko. Wiedziała, że Milo w dużym stopniu zmienił swoje ciało dzięki inżynierii genetycznej, i bała się, że jego nasienie będzie przenosiło te same zmiany.

Jej ukochana Ceri obawiała się tego samego i błagała ją, żeby usunęła płód. Jednakże Jan odmówiła. Czowała, że powinna urodzić dziecko, ale obiecała Ceri, że jeśli tylko wykaże ono jakąkolwiek z potwornych cech Mila, poddaje kwarantannie.

Nie zadowolilo to Ceri, która przestała dzielić z Jan łóżko i przeniosła się do pomieszczeń mieszkalnych w innej części sterowca. Kiedy Simon się urodził, Ceri ku przerażeniu Jan nadal obstawała przy zabiciu go. Jan miała nadzieję, że po pewnym czasie, kiedy okaże się, że Simon nie ma żadnej ze szkodliwych cech ojca, Ceri da się ubłagać i ich wzajemny stosunek będzie znowu taki, jak dawniej. Ale po z górą dwóch latach Ceri nadal nie zmieniła zdania na temat Simona, którego traktowała jak

przedmiot.

Jan nadal bardzo się obawiała o Simona, ale z każdym dniem jej obawy malały i coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Milo już nigdy nie wywrze żadnego wpływu na swojego syna. Milo był naprawdę i na dobre martwy, zgnieciony metalową stopą szalonego Ezechiela; wszystko, co po nim zostało, to błyszcząca, twarda czaszka, którą Jan trzymała zamkniętą w szafce w swoim pokoju. Dlaczego już wieki temu nie wyrzuciła jej za burtę, naprawdę nie wiedziała. Wiele razy chciała to zrobić, ale zawsze wahała się w ostatniej chwili i czaszka wracała na swoje miejsce. Być może było tak dlatego że, chociaż bała się Mila, nadal czuła, że coś mu zawdzięcza. Bądź co bądź kilka razy ocalił jej życie.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Simon o coś ją pytał, ale ona była zbyt zaabsorbowana swoimi myślami, żeby mu odpowiedzieć.

– Co, kochanie? – spytała.

– Pytałem, czy będziesz jeszcze dzisiaj wyjeżdżać? – powtórzył.

Patrzył na nią niespokojnie. Jeśli miał jakąś wadę, to była nią nerwowość. Jan robiła, co mogła, żeby stworzyć mu bezpieczne środowisko, ale on pozostawał nerwowym dzieckiem. Jego nerwowość wzrastała, kiedy tylko nie było jej przy nim. Ale, oczywiście, to normalne, że mali chłopcy są ogromnie przywiązani do swoich matek.

– Nie, nie będę już dzisiaj wyjeżdżać, kochanie – zapewniła go.

Widok ulgi na jego ładnej twarzączce głęboko ją poruszył. Nie, dziecko nie miało w sobie nic z Mila, tego była pewna. Czy rzeczywiście?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Podchodzimy do lądowania, panie – szepnął baron Spang.

Książę du Lucent otworzył oczy i wyjrzał przez okno. Daleko w dole *Miecz Islamu* wydawał się niepokojąco mały. Właściwie wszystkie sterowce Władców Niebios wydawały mu się niepokojąco małe. Każdy, kto przywykł uważać Władcę Niebios za całkowicie odrębny świat, z daleka patrzył na nie z niepokojem, gdy na tle bezkresnego morza wyglądały jak malutkie punkciki.

Pilot szybowca rzeczywiście rozpoczął lot spiralny, który, książę miał nadzieję, zakończy się lądowaniem na *Mieczu Islamu*. Książę starał się nie zamykać oczu, marząc o tym, żeby jego żołądek się uspokoił. Ale wnętrzości aż mu się skręcały. Kruchy szybowiec trzeszczał złowieszczo i książę wcale nie byłby zaskoczony, gdyby nagle rozpadł się na kawałki.

Zbliżali się do *Miecza Islamu*, sterowiec rósł w oczach i wkrótce odzyskał uspokajające rozmiary Władcy Niebios. Książę rozluźnił się. Nawet jemu wydawało się teraz oczywiste, że pilot nie będzie miał trudności z doprowadzeniem do skutku powietrznego *rendez-vous*.

W chwilę później szybowiec musnął kadłub *Miecza Islamu*, który zwolnił i obrócił się rufą pod wiatr, ułatwiając mu w ten sposób lądowanie. Pilot, z podziwu godną precyzją, posadził szybowiec na samym początku wyznaczonej do tego celu przestrzeni. Szybowiec uderzył gwałtownie o podłoże, podskoczył i pomknął ślizgiem do przodu. Pilot zatrzymał go tak szybko, że samolot stanął o jakieś dwadzieścia jardów przed

zabezpieczającą siatką, rozpostartą w poprzek kadłuba Władcy Niebios. W pobliżu stały trzy inne szybowce o różnych kształtach.

– Dobra robota – powiedział książę, myśląc w duchu: Dostarcz mnie z powrotem na *Władcę Mordreda* w ten sam sposób, a twoje miesięczne racje zostaną podwojone.

Technicy z *Miecza Islamu* pospieszyli natychmiast, żeby zabezpieczyć szybowiec. Za nimi nadeszła gwardia honorowa, złożona z ubranych na czarno żołnierzy. Dwaj rycerze księcia wyglądali imponująco w swoich ceremonialnych srebrnych kolczugach, z automatami kaliber czterdzieści pięć, przewieszonymi przez ramię. Wyszli pierwsi, później Spang, który następnie pomógł księciu przy wyjściu z kabiny. Jeden mężczyzna z gwardii honorowej wystąpił do przodu i uklonił się księciu. Podobnie, jak u pozostałych żołnierzy, większą część jego twarzy osłaniał czarny kaptur i widoczne były tylko oczy.

– W imieniu mojego pana, El Rashada, witam cię na *Mieczu Islamu* – powiedział żołnierz, akcentując wyraźnie każde słowo. – Za twoim pozwoleniem odeskortuję cię do jego wysokości.

Książę skinął głową. Żołnierze El Rashada uformowali się po obu stronach księcia i jego świty w dwie kolumny. Następnie, z rzecznikiem na przedzie, ruszyli majestatycznym krokiem w kierunku najbliższego luku.

Na niższe poziomy statku dostali się windą, poruszającą się pomiędzy dwiema ogromnymi komorami gazowymi. Następnie szli w długiej procesji ulicami zatłoczonymi przez ludzi i zwierzęta. Jak zwykle, księcia uderzył silny, cierpki zapach, którym przepojone było powietrze w zamkniętej przestrzeni ulic. Jednakże najbardziej poruszyło go to, że zobaczył w dumie starych ludzi. Ludność *Miecza Islamu*, stanowiąca czysto

ortodoksyjną sektę islamu, nie należała do Głównego Wzorca, a więc podlegała, jak dawniej, „naturalnemu” procesowi starzenia się, chociaż książę do tej pory nie był w stanie pojąć, co jest naturalnego w ciałach, które przez wiele lat ulegają powolnemu zepsuciu i wysychaniu, dopóki w końcu nie umrą.

Niektóre twarze były naprawdę bardzo stare i książę wzdrygnął się na myśl o wyglądzie ciał pod tunikami. Prawdopodobnie niektóre z kobiet były równie stare, ale one miały twarze całkowicie zasłonięte. Pomyślał, że ciało starej kobiety jest nawet bardziej odrażające niż ciało starego mężczyzny. Czym prędzej odsunął od siebie nieprzyjemne myśli.

Świta księcia wraz z eskortą przeszła przez ozdobną bramę, obsadzoną uzbrojoną po zęby strażą, i wkroczyła na prywatną posiadłość El Rashada. Książę był już tutaj, ale nadal nie mógł się połapać w całej tej plątaninie wyłożonych dywanami korytarzy, dopóki w końcu nie dotarli do holu, w którym El Rashad naradzał się ze sprzymierzonymi Władcami Niebios. Ściany i sufit holu były pokryte jasną draperią, co sprawiało wrażenie, że się jest w wielkim namiocie. Na grubym dywanie pośrodku pomieszczenia stał niski owalny stół. Na poduszkach dokoła niego siedzieli ze skrzyżowanymi nogami czterej Władcy Niebios. Za każdym z nich stał jego doradca, a pod ścianą eskorta.

Kiedy książę podszedł, wszyscy Władcy Niebios odwrócili się w jego stronę. Główne miejsce przy stole zajmował El Rashad, który przemówił głosem ociekającym pogardą: – Ach, nareszcie pojawił się nasz chrześcijański sojusznik. Zaczynaliśmy się już martwić, że twój szybowiec tragicznie spadł do morza.

Chyba chciał powiedzieć „zaczynaliśmy mieć nadzieję”, pomyślał książę, siadając z trudem na poduszce i krzyżując nogi.



El Rashad nie chciał słyszeć o odmiennych zwyczajach swoich gości. Książę wiedział, że w ten sposób subtelnie demonstruje swoją nad nimi przewagę. Baron Spang natychmiast stanął za księciem.

Książę zmusił się, żeby posłać El Rashadowi pogodny uśmiech. Muzułmanin miał na sobie, jak zwykle, błyszczące szaty w kolorze czarnym i krwistoczerwonym.

– Jestem ci wdzięczny, że niepokoiliś się o mnie. Głęboko mnie to poruszyło – powiedział w znanym wszystkim języku americano, będącym mieszaniną hiszpańskiego i angielskiego.

Sarkazm księcia spowodował, że ostra jastrzębia twarz El Rashada zachmurzyła się. Klasnął w ręce. Służący czy też niewolnik wyszedł natychmiast zza ciężkiej zasłony z tacą w rękach. Postawił przed księciem małą filiżankę czarnego płynu i talerzyk kwadratowych białych przedmiotów, które, jak to książę już wiedział z doświadczenia, były nieznośnie słodkie. Pozostali Władcy Niebios zostali już wcześniej obsłużeni.

Celowo ignorując zarówno poczęstunek, jak i napój, książę uśmiechnął się znowu do El Rashada.

– Wierzę, mój sprzymierzony zdobywco niebios, że powód, dla którego zwołałeś to zebranie, jest naprawdę ważny. Znajduję niemałą przyjemność w obcowaniu z tobą i pozostałymi towarzyszami niedoli, ale również mocno jestem zaabsorbowany wewnętrznymi sprawami *Władcy Mordreda*, toteż twoje wezwanie przyszło w nieodpowiednim czasie.

El Rashad odpowiedział szorstko: – Twoje wewnętrzne problemy, jakiegokolwiek by były, nic nie znaczą w porównaniu z celem naszego przymierza.

Książę wzruszył ramionami.

– Łatwo ci mówić, ale, jak dobrze wiesz, *Władca Mordred* nie

pracuje na pełnych obrotach. – Rozpada się na kawałki, pomyślał ze smutkiem. – A sytuacja na jego pokładzie nie jest zbyt dobra. Moi poddani, chociaż kochają mnie bardzo i są całkowicie oddani, zaczynają się, by tak rzec, niecierpliwić.

W oczach El Rashada pojawił się błysk pogardy.

– Doświadczony Władca Niebios nie powinien mieć trudności z utrzymaniem swoich podwładnych w karbach.

Ty nędzna kreaturo, pomyślał urażony książę. W tym momencie zaczął przemawiać Władca Mazatan. Tak jak poprzednio, miał na sobie wspaniałą opończę z różnokolorowych piór. Pióra wyrastały także ze złotej opaski, którą miał na głowie.

Prawdopodobnie nie potrzebował nawet szybowca, żeby się tutaj dostać – pomyślał książę. – Wystarczyło, że rozpostarł ramiona...

Władca Mazatan wyraził tę samą skargę, co książę; na pokładzie jego sterowca zaczyna brakować żywności, a jego poddani cierpią z zimna. Kilku z nich nawet umarło. Tak dłużej nie może być.

Wypowiedź Władcy Mazatana podniosła księcia na duchu. Dla odmiany poczuł, że nie jest odosobniony. Dodał mu także otuchy widok pociemniałego w tej chwili oblicza El Rashada. Po raz kolejny zadał sobie pytanie, ile El Rashad może mieć lat. Nie mógł ocenić jego wieku, gdyż całe swoje życie spędził wśród ludzi, którzy po osiągnięciu trzydziestu paru lat nie starzeli się w sposób widoczny. Twarz El Rashada była poorana głębokimi bruzdami, ale najwyraźniej nie był tak stary jak ludzie, których książę widział na ulicach.

Teraz zabrał głos Władca Torres. Książę przeniósł wzrok na niego. Podobnie jak pozostali amerykańscy Władcy Niebios, był przedstawicielem Głównego Wzorca. Miał gładko ogoloną twarz,

w której uderzały ostre, kanciaste rysy i dzikie oczy. Ubrany był w tunikę bez rękawów, która wyglądała, jakby była utkana ze złotych nici, a na głowie miał, podobnie jak Władca Mazatan, złotą przepaskę. Jego skóra była ciemnobrązowa, a muskularne ramiona lśniły, jakby zostały właśnie wypolerowane szmatką.

Książę z niechęcią słuchał, jak Władca Torres, chociaż sam także miał problemy, głosuje za kontynuowaniem poszukiwań. Następnie przemówił książę Carracas (w porównaniu z innymi był ubrany niechlujnie, jego strój składał się z ciemnego, jednoczęściowego uniformu) i powiedział mniej więcej to samo co Torres. Książę przeklął go w myślach. To było już trzy do dwóch na korzyść El Rashada. Postanowił spróbować jeszcze raz: – Szanowni Władcy Niebios – zaczął, chociaż jego słowa zaadresowane były do El Rashada – czy mogę wam przedstawić następującą propozycję? Jak wiecie, *Władca Mordred* jest w gorszym stanie niż wasze sterowce i zaczyna być przeszkodą w poszukiwaniach. Już dawno osiągnęlibyście swój cel, gdyby wasze statki nie musiały się dostosowywać do nędznych trzydziestu mil na godzinę, jakie rozwija *Władca Mordred*. Zatem, dla wspólnego dobra, proponuję, że wycofam się z wyprawy i powoli wrócę na północ. Bez przeszkody, którą stanowi mój biedny sterowiec, wasze poszukiwania ogromnej morskiej stacji badawczej mogą być prowadzone znacznie szybciej. Niestety, ja i moi poddani będziemy musieli zrezygnować z partycypowania w technologicznych zdobyczach, które z pewnością zawiera stacja, ale musimy się poświęcić dla powodzenia waszych wielkich poszukiwań.

– Szkoda słów – powiedział El Rashad. – *Władca Mordred* zostanie z nami. Zostałeś przegłosowany. Poszukiwania będą kontynuowane, dopóki nie znajdziemy stacji. Powodem, dla

którego zwołałem to zebranie, jest propozycja, żebyśmy podzielili się na dwie grupy, kiedy dotrzemy do Antarktydy. Jedna poleci na wschód, druga na zachód. W ten sposób szybciej przeszukamy wody otaczające kontynent.

Książę du Lucent rozzłościł się. Nic nie będzie w stanie zadowolić El Rashada, dopóki wszyscy nie pomrą z głodu lub nie zamrzną na śmierć. I po co? Przecież to strata czasu.

– Musisz zrozumieć – powiedział głośno – że porywasz się z motyką na słońce. Być może wieki temu istniała jakaś stacja, ale prawdopodobieństwo, że przetrwała wraz ze swoją ludnością, jest znikome. Czy w trakcie naszej podróży natknęliśmy się na jakąś stację badawczą? Nie! Pewnie dawno temu została zmieciona z powierzchni ziemi przez Władcę Niebios, morskie robaki, kałamarnice czy inne monstra, które w tej chwili królują w oceanach.

El Rashad spojrział na niego z wściekłością.

– Gdybyś poświęcił trochę czasu, żeby się rozejrzeć, zobaczyłbyś, że skutki morskiej zarazy zmniejszają się w miarę, jak posuwamy się na południe. Oczywiście, powodem są niższe temperatury, tak więc szansę, że stacja badawcza przetrwała nietknięta w wodach znajdujących się dalej na południe, są bardzo duże. Nie, książę du Lucent, poszukiwania będą kontynuowane, a ty i *Władca Mordred* będziecie w nich uczestniczyć do końca.

Książę posłał El Rashadowi wymuszony uśmiech i skinął głową.

– Oczywiście, wasza wysokość, jak zechcesz.

Po raz kolejny zastanawiał się nad prawdziwym powodem, dla którego El Rashad upierał się przy włączeniu jego sterowca do ekspedycji. Zaczęło w nim kiełkować nieprzyjemne podejrzenie.

Obawiał się, że El Rashad chce użyć *Władcy Mordreda* jako kozła ofiarnego. Jeżeli stacja zostanie zlokalizowana, książę będzie musiał upozorować atak zbrojny, a tymczasem El Rashad i pozostali będą czekać w bezpiecznej odległości i obserwować, co się stanie. Gdyby ludzie ze stacji badawczej mieli broń Starej Nauki, to właśnie na *Władcy Mordredzie* wypróbowano by jej działanie. Następnie El Rashad, zadowolony z tej demonstracji siły, w pokojowy sposób nawiązałby kontakt z ludźmi ze stacji badawczej i spróbowałby ułożyć się z nimi, żeby uzyskać pomoc. Tak, im więcej książę myślał o tym, tym bardziej prawdopodobne mu się to wydawało. I nic nie mógł zrobić, żeby temu zapobiec.

Spojrzał na El Rashada. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Książę poczuł się jak bezbronny gołąb, który widzi zbliżającego się nieubłagane jastrzębia.

– Jeszcze raz nalegam, żebyśmy natychmiast wrócili do stacji badawczej – powiedział program *Maskotki*.

– A ja mówię nie. Zostaniemy tutaj – odrzekł Ryn stanowczo.

Przeszedł go dreszcz emocji. Działo się coś nowego! Wiedział, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo. Gdy tylko zobaczył nadlatującą flotę Władców Niebios, w jego głowie powstał plan; wszystko zależało od tego, co zrobi program *Maskotki*. Jak na razie, wszystko szło dobrze – komputer nalegał, żeby uciekać, ale najwyraźniej nie było w programie rozkazu przejęcia sterowania w takiej sytuacji. Być może programista – bez wątplenia inny program – nie przewidział takiej możliwości.

Flota Władców Niebios nadlatywała bardzo wolno. Ryn był pewien, że mogą się poruszać szybciej, ale z jakiegoś powodu rozmyślnie pozostają przy małej prędkości. Niecierpliwił się.

– Jak daleko są od tej twojej cholерnej granicy? – zapytał.

– Niecałe pół mili – odpowiedział komputer. – Ryn, my

naprawdę powinniśmy ruszać. Dlaczego się nie zanurzamy? Mam przeczucie, że polowanie będzie dzisiaj udane.

Ryn nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Kobięcy głos przybrał przymilny ton. Jego pewność siebie rosła. Teraz całkowicie panował nad programem.

– Podnieś nas. Na wysokość pięciu tysięcy. Tak już pozostań. Program zaprotestował, ale musiał usłuchać. *Maskotka* zaczęła się wznosić.

– Teraz jak blisko do granicy? – zapytał, gdy *Maskotka* osiągnęła żądaną wysokość.

– Trzy sterowce przekroczyły już granicę. Dwa pozostałe zaraz ją przekroczą – odpowiedział niechętnie program.

Ryn wydał okrzyk radości i uderzył pięściami w poręcze fotela.

– Ruszaj do przodu. Mała prędkość. Powiedzmy, pięćdziesiąt mil na godzinę.

– Naprawdę nie radzę tak robić – powiedział program, ale zaczął wykonywać polecenie.

Kiedy *Maskotka* leciała na spotkanie zbliżającej się floty Władców Niebios, Ryn patrzył chciwie w ekran. Im bliżej byli, tym większe wrażenie robił na nim ich ogrom. Znał ich wymiary z programu historycznego – ponad mila długości i tysiąc stóp szerokości w najszerszym miejscu kadłuba – ale mimo wszystko nie był przygotowany na to, co zobaczył.

Poderwał *Maskotkę* do góry, dokładnie w kierunku Władcy Niebios. Sterowiec wypełniał teraz cały ekran. Ryn mógł rozróżnić szczegóły, takie jak wieżyczki z działami i coś jakby błyszczące szklane dachówki, pokrywające większą część kadłuba. Przypomniał sobie, że są to konwertory energii słonecznej, główne źródło mocy Władców Niebios. Zawierały

wyprodukowaną przez inżynierię genetyczną substancję, podobną do chlorofilu, która zamieniała promienie słoneczne w energię elektryczną.

*Maskotka* zbliżała się teraz szybko do floty i Ryn zastanawiał się, na którym z ogromnych sterowców ma wylądować. Kiedy już prawie się zdecydował, *Maskotka* powiedziała: – Mój radar wykrył siódmy statek.

– Jeszcze jeden Władca Niebios?

– Nie. Znacznie mniejszy. Zobacz.

Przez chwilę na ekranie migały pionowe pasy, po czym Ryn zobaczył niewielki statek z bardzo długimi skrzydłami. W kabinie można było dostrzec ludzi.

– Zbliź się do niego – rozkazał.

– Co to jest?

Zaledwie kilka stóp od końca skrzydła szybowca unosił się obiekt w kształcie łyzy.

Najbardziej niepokojące wydało się księciu to, że nie mógł to być mały statek powietrzny, gdyż nie miał skrzydeł. Właściwie nie miał żadnych widocznych szczegółów oprócz wielu otworów z przodu, na rufie.

– El Rashad – jęknął książę. – To jakaś tajna broń, którą obmyślił, żeby mnie zniszczyć!

– To nie może pochodzić z *Miecza Islamu* – powiedział baron Spang. – To musi być Stara Nauka. Gdyby El Rashad miał już coś takiego, nie rozpoczynałby tych poszukiwań.

Tajemniczy i przerażający obiekt nagle zniknął.

– Oddalił się! – krzyknął książę z ulgą.

– Nie – powiedział po chwili pilot. – Siedzi nam na ogonie. Jest tak blisko, że nasze działa nie mogłyby do niego strzelać bez uszkodzenia szybowca.

– Co możemy z tym zrobić? – spytał Spang.

– Nic – odpowiedział pilot.

Szybowiec niósł księcia du Lucent z powrotem na *Władcę Mordreda*. Książę był tak wściekły, że zapomniał o strachu. Nie zareagował nawet, gdy pilot krzyknął. Ale kiedy szybowiec nagle przechylił się na bok, przerażenie natychmiast powróciło.

– Co się dzieje? – krzyknął. – Rozbijemy się?

– Spójrz za prawą burzę, panie! – wrzasnął pilot przez ramię.

Obaj, książę i baron, wyjrzeni przez okno. Baron zaklął. Książę zagryzł wargi i wysapał: – Co to jest?

Zaledwie kilka stóp od końca skrzydła szybowca unosił się obiekt w kształcie łyży. Najbardziej niepokojące wydało się księciu to, że nie mógł to być mały statek powietrzny, gdyż nie miał skrzydeł. Właściwie nie miał żadnych widocznych szczegółów oprócz wielu otworów z przodu, na rufie.

– El Rashad – jęknął książę. – To jakaś tajna broń, którą obmyślił, żeby mnie zniszczyć!

– To nie może pochodzić z *Miecza Islamu* – powiedział baron Spang. – To musi być Stara Nauka. Gdyby El Rashad miał już coś takiego, nie rozpoczynałby tych poszukiwań.

Tajemniczy i przerażający obiekt nagle zniknął.

– Oddalił się! – krzyknął książę z ulgą.

– Nie – powiedział po chwili pilot. – Siedzi nam na ogonie. Jest tak blisko, że nasze działa nie mogłyby do niego strzelać bez uszkodzenia szybowca.

– Co możemy z tym zrobić? – spytał Spang.

– Nic – odpowiedział pilot.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Szybowiec wylądował z mrozącym krew w żyłach uderzeniem. Widocznie uwagę pilota rozproszyła dziwna machina lecąca tuż za nimi. Księżę poczuł w ustach smak krwi. Szybowiec w końcu zatrzymał się setki jardów od właściwego pasa lądowania. Księżę zauważył, że czekająca na niego grupa techników znajduje się niepokojąco daleko. Usłyszał trzask otwieranego luku. To wysiadali jego żołnierze.

– Zostań tutaj, panie – powiedział Spang, odpinając pasy.

– Nie – odparł księżę.

Czuł się jak w pułapce. Jeżeli ma zostać zabity, wolałby, żeby się to stało na zewnątrz, na otwartej przestrzeni. Podążył za baronem.

Tajemnicza latająca maszyna siedziała zaledwie dwadzieścia stóp za szybowcem.

Jej silniki warkotały. Powoli dźwięk ten zanikał, aż zamarł zupełnie. Księżę przykucnął obok szybowca. Jego dwaj rycerze kryli się jak mogli za ogonem samolotu. Karabiny trzymali wycelowane w intruza.

– Wiesz, co o tym myślę? – powiedział Spang. Przerwało mu gwałtowne otwarcie luku na boku metalowego statku. Księżę obejrzał się za siebie. Wzdłuż kadłuba biegli w ich kierunku technicy. Miał nadzieję, że usłyszeli alarm, który powinien wkrótce sprowadzić tutaj także wojsko. Obrócił się z powrotem w stronę statku. W otwartym luku zobaczył mężczyznę.

– Rzuć broń! – ostrzegł go baron.

Księżę pomyślał, że to bez sensu.

Mężczyzna miał najwyżej dwadzieścia lat. Ubrany był w jednoczęściowy, jasnozielony kombinezon, ściśle przylegający do ciała. Nie miał przy sobie broni. Jego gładka twarz była przystojna. Stanął obok swojej maszyny i, z rękami na biodrach, przyglądał się im niemal beczelnie. W pewnym momencie jego wzrok padł na księcia. Uśmiechnął się szeroko.

– Kim jesteś? – krzyknął baron. – Skąd jesteś? Czego od nas chcesz?

Obcy nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się w nich, nie kryjąc rozbawienia.

W tym momencie nadbiegli technicy. Ich obecność przypomniła księciu, że powinien zachować się z godnością. Wstał i spojrzał na młodego przybysza.

– Jestem księżę du Lucent, panuję na sterowcu *Władca Mordred* – powiedział władcym tonem. – A ty kim jesteś?

Młodzieniec, nadal z uśmiechem, odrzekł: – Ryn... Robin.

– Skąd jesteś? – zapytał baron, także wstając. – I dlaczego mówisz naszym językiem?

Obcy wzruszył ramionami.

– Zanim powiem wam, skąd pochodzę, musimy omówić pewien interes. A jeśli chodzi o wasz język, to mowę wieloma językami. Powiedzmy, że miałem dużo czasu na naukę.

Księżę zmieszał się. Interes? Spojrzał na barona. Spang był podekscytowany. Pochylił się nad księciem, szepcząc mu prosto do ucha: – Czy wiesz, co to znaczy, panie?

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą księżę.

– To znaczy, że El Rashad miał rację! Stacja badawcza istnieje! Ten młodzieniec i jego statek muszą pochodzić stamtąd!

Minęła dobra chwila, zanim dotarło to do księcia. A więc dotarli do celu dzikich poszukiwań El Rashada. Istnieje gdzieś

stacja badawcza zawierająca całą technologię Starej Nauki.

– Jest ich przedstawicielem! – powiedział książę. – Przyszedł do nas!

– Właśnie – odpowiedział baron.

– To wszystko zmienia, czyż nie tak? – powiedział książę z niedowierzaniem.

– Tak, panie.

Kiedy szybowiec obniżył lot w kierunku Władcy Niebios, Ryn wydał *Maskotce* polecenie, by trzymała się w pobliżu ogona samolotu, na wypadek, gdyby ktoś próbował do niego strzelać. *Maskotka* przez cały czas protestowała. Ryn ignorował to. Jasne było, że w tej sytuacji, jeszcze w granicach dozwolonego terytorium, program nie ma prawa zlekceważyć jego instrukcji.

Wylądował zaraz za szybowcem na kadłubie Władcy Niebios. Obserwował ekran i czekał. Prawie natychmiast z szybowca wygramoliło się dwóch mężczyzn. Ubrani byli w kolczugi i trzymali ręczne karabiny. Zajęli pozycje za ogonem samolotu. Następny mężczyzna wyszedł z szybowca, a za nim jeszcze jeden. W sporej odległości od nich Ryn zauważył grupę zbliżających się ludzi.

– Wychodzę na zewnątrz – poinformował *Maskotkę*.

– Naprawdę nie radzę, Ryn. Ci mężczyźni są uzbrojeni. Proponuję wrócić do domu.

Co ty na to, Ryn? Na pewno jesteś już głodny.

– Trzymaj swoje czujniki i lasery skierowane na tych dwóch ludzi z karabinami.

Gdy wyczujesz, że będą strzelać, zniszcz ich broń. Teraz otwórz luki.

*Maskotka* usłuchała. Świeże, chłodne powietrze wpadło do wnętrza statku. Ryn wyszedł na zewnątrz i zeskoczył na kadłub

sterowca.

Wiał silny wiatr. Z sercem bijącym z podniecenia i trochę ze strachu, spojrzął na znajdujących się przed nim mężczyzn. Zaintrygowało go to, że mają na sobie średniowieczne kostiumy lub coś bardzo do nich podobnego. Ku jego rozbawieniu, przypominali mu ludzi z *Przygód Robin Hooda*. Jeden miał na głowie wysadzaną klejnotami koronę. Był przystojnym mężczyzną ze szpiczastą, czarną brodą, a jego strój błyszczał jeszcze bardziej niż stroje pozostałych. Najwyraźniej był ich przywódcą.

Mężczyzna stojący obok tego w koronie zadał mu jakieś pytania. Po chwili Ryn zrozumiał, że jest to odmiana języka americano. W tym momencie podeszła do nich inna grupa ludzi, ale chociaż mieli wiele różnych narzędzi przymocowanych do pasków, nie byli uzbrojeni. Pierwszy z mężczyzn wstał i powiedział głębokim, wspaniałym głosem, kim jest. Wtedy drugi z mężczyzn znowu go o coś zapytał. Ryn myślał szybko. Na szczęście od razu się domyślił, o co chodzi. Nawiązał bezpośredni kontakt z Władcą Niebios. Teraz spróbuje wprowadzić w życie drugą część swojego planu...

Drugiemu z mężczyzn, temu z rudymi włosami i krzaczastą, rudą brodą powiedział, że ma dla nich pewną propozycję. Naradzali się przez chwilę, a potem czarny powiedział: – Jest mi niezmiernie przyjemnie powitać cię jako naszego gościa na *Władcy Mordredzie*. Gdybyś przyjął nasze zaproszenie do wnętrza sterowca, moglibyśmy kontynuować rozmowę w lepszych warunkach.

Ryn uśmiechnął się do niego.

– Z największą przyjemnością, ale jest coś, co muszę zrobić najpierw.

Patrzyli na niego podejrzliwie, kiedy odwrócił się i poszedł z powrotem do otwartego luku *Maskotka*. Wszedł do środka.

– Chwała Bogu! – powiedziała *Maskotka*. – Zamknę luki i startujemy natychmiast.

– Nie przejmuj się – odparł Ryn.

Wyciągnął rękę i przekręcił gałkę, która wyłączyła komputer. Ekrany pociemniały i zniknęły wszystkie światełka na konsoli. *Maskotka* była teraz całkowicie wyłączona. Ryn wyszedł z powrotem na zewnątrz i ręcznie zamknął i zaplombował luk. Odwrócił się do sporego w tej chwili tłumu patrzących na niego niebiańskich ludzi.

– Proszę tego źle nie zrozumieć – powiedział głośno, zwracając się głównie do księcia, lecz także do innych – ale musimy najpierw ustalić parę faktów. Mój statek jest pułapką; każda próba dostania się do środka lub rozebrania go spowoduje eksplozję, która rozerwie na kawałki Władcę Niebios od dziobu po rufę. – Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: – W mojej głowie znajduje się neutralna szczepionka, która pozwala mi na bezpośredni kontakt z komputerem, kierującym pracą mojego statku. Czy rozumiecie, co mam na myśli? – dotknął swojej skroni.

Księżę skinął głową.

– Połączenie radiowe?

– Tak. Teraz, kiedy jestem pewien, że rozmawiam z ludźmi honoru, muszę zwrócić waszą uwagę na to, że mogę wysłać komputerowi natychmiastową komendę samodestrukcji. W tym wypadku skutkiem będzie także ogromna eksplozja. Z przykrością muszę was ostrzec, że moja śmierć także spowoduje samodestrukcję statku. – Znowu przerwał. – Czy, biorąc pod uwagę ryzyko dla twojego statku i twoich ludzi, które niesie ze

sobą moja obecność na sterowcu, nadal podtrzymujesz zaproszenie?

Książę i jego doradca wymienili spojrzenia. Zgromadzony dokoła tłum zaszemrał. Ryn zauważył, że doradca skinął lekko głową. Książę posłał Rynowi wymuszony uśmiech.

– Oczywiście, zaproszenie jest nadal aktualne, ee... Robin. Daję ci moje słowo, że na pokładzie *Władcy Mordreda* nie spadnie ci włos z głowy.

To usatysfakcjonowało Ryna. Pewien był, że jego blef zadziałał.

– Tak więc, żeby zwalczyć tę rosnącą groźbę, przybyliśmy tutaj, chcąc odnaleźć twoją morską stację badawczą, w nadziei, że moglibyśmy kupić technologię Starej Nauki, która posłużyłaby nam jako broń. Twoja stacja była naszą ostatnią szansą, ale mieliśmy wątpliwości, czy ona nadal jeszcze istnieje. Dane z komputera zawierały informację, że jest bardzo stara i bardzo trudno ją odnaleźć. Niektórzy chcieli nawet zaprzestać poszukiwań, ale – książę wskazał Robina – ty jesteś tutaj, żywy dowód na jej istnienie.

Młodzieniec rozparł się wygodnie w dużym krześle. Teraz wydawał się całkowicie rozluźniony, chociaż, kiedy służący postawił przed nim kieliszek wina, spojrzał na niego podejrzliwie.

– Nie – powiedział książę – nie jest zatrute. Umiejętności moich służących nie są wystarczające, żeby usunąć twoją szczepionkę, nawet, gdyby mogli ją znaleźć nie zabijając cię. Poza tym, jestem pewien, że gdybyś się zorientował, iż zostałeś otruty, miałbyś wystarczająco dużo czasu, żeby wysłać do twojego statku sygnał samodestrukcji.

Po chwili wahania młodzieniec napił się z kieliszka.

– A więc – powiedział ksiązę – powiedzieliśmy ci, dlaczego znaleźliśmy się w waszym obszarze powietrznym. Teraz twoja kolej, żeby opowiedzieć nam o miejscu, z którego pochodzisz.

– Tak – powiedział baron Spang, pochylając się niecierpliwie do przodu na swoim krześle. – Gdzie to dokładnie jest? Młodzieniec roześmiał się.

– Nawet gdybym mógł was zabrać do Shangri La, to obawiam się, że Eloje okazałyby się niezdolne do prowadzenia jakichkolwiek rozmów.

Baron zmarszczył brwi i spojrzał na księcia. Ksiązę, również zaskoczony, powiedział do Robina: – Shangri La? Eloje? O czym ty mówisz?

Zanim Robin zdołał odpowiedzieć, usłyszeli natarczywe pukanie do drzwi prywatnego salonu. Księcia najpierw to rozgniewało, a potem zaniepokoiło. Wydał przecież rozkazy, żeby im nie przeszkadzano. A więc musiał się zdarzyć jakiś nagły wypadek...

– Wejść! – krzyknął i zaniepokojony technik wszedł do salonu.

– Panie, mamy wiadomość z *Miecza Islamu*, od samego El Rashada. Chce się skontaktować bezpośrednio z tobą, panie. Natychmiast.

Ksiązę odetchnął z ulgą. Teleskopy *Miecza Islamu* śledzące powrotny lot szybowca musiały wykryć statek Robina. Uśmiechnął się na myśl o tym, co dzieje się teraz w umyśle El Rashada. Metalowa latająca maszyna, która musiała pochodzić od Starej Nauki, wylądowała na *Władcy Mordredzie*! Co to ma znaczyć? Co się dzieje? Ksiązę roześmiał się głośno, po czym powiedział spoconemu technikowi, który najwyraźniej biegł przez całą drogę z punktu obserwacyjnego: – Powiedz jego wysokości, że jestem w tej chwili zbyt zajęty, żeby z nim

rozmawiać.

Później będzie można się ze mną skontaktować. Technik spojrział na nich, po czym niepewnie skinął głową.

– Tak, panie.

Truchtem wybiegł z pokoju.

Księżę, uśmiechając się nadal, odwrócił się z powrotem do Robina.

– Zdaje się, że ci przerwano...

– Właśnie miałem wam powiedzieć, że Shangri La jest to nazwa nadana stacji badawczej przez jej mieszkańców, a Eloje to nazwa, którą jej mieszkańcy nadali samym sobie. Było to, oczywiście, jeszcze wtedy, gdy Eloje miały poczucie humoru.

Robin wypił resztę wina i odstawił kielich. Służący szybko znów go napełnił.

Księżę był zaskoczony.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Ja także nie – dodał baron Spang. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że Eloje okazałyby się niezdolne do prowadzenia jakichkolwiek rozmów?

– Eloje dawno temu zmieniły samych siebie. Do tego stopnia, że już nigdy nie będą mogły zostać nazwane ludźmi.

– Ale – powiedział księżę – ty pochodzisz ze stacji, a jesteś człowiekiem.

– Tak, aleja nie jestem Elojem. Jestem niedopatrzaniem. Pomyłką.

– Wyjaśnij to, proszę – powiedział księżę.

– Spróbuję. Eloje nie rozmnażają się, ale przechowują dużo nasienia i jaj, pochodzących od Głównego Wzorca, z czasów, gdy były jeszcze ludźmi. Eloje są nieśmiertelne i Shangri La jest prawie nie do zdobycia, ale przypadki cały czas się zdarzają.



Ostatni zdarzył się właśnie dwadzieścia jeden lat temu. Zawiodło zamknięcie luku i część stacji została zalana, zanim Główny Program zdołał dokonać odpowiednich pomiarów. Zginęło dwóch Elojów. Więc z magazynu wzięto dwa jaja i dwa nasiona, i spowodowano zapłodnienie. Wtedy, jak przypuszczano, szereg syntetycznych wirusów miał zostać wprowadzony do zarodków. Ich zadaniem było dokonanie takiej zmiany w DNA, żeby wyrosły z nich Eloje. Stało się tak tylko z jednym zarodkiem. Drugi mógł rozwijać się niezmienny, dzięki, jak mi powiedziano, zwykłemu błędowi na kawałku komputerowego hardware – śmieszne, jak software zawsze za wszelkie błędy wini hardware. W każdym razie, w rezultacie powstałem ja. Robin pociągnął duży łyk wina.

Na chwilę zapadła cisza. Księżę spojrzał badawczo na barona, który lekko wzruszył ramionami.

– Ee, ci Eloje, jeśli nie są ludźmi, to czym są? – spytał baron, próbując nie okazywać rosnącego sceptycyzmu, chociaż był on zupełnie widoczny dla księcia, który również był nastawiony raczej sceptycznie. – Czy to potwory?

Robin zawahał się, zanim odpowiedział.

– W pewnym sensie, chociaż na pierwszy rzut oka nie pomyślelibyście tak. Są niscy i drobni jak elfy. I dosyć ładni.

– Tak samo mężczyźni, jak i kobiety? – zapytał zaintrygowany księżę.

Robin potrząsnął głową.

– Nie ma mężczyzn czy kobiet, są po prostu Eloje. Powiedziałem wam, że Eloje się nie rozmnażają. Nie mają organów płciowych. Są rodzaju nijakiego. Księżę był zaszokowany.

– Wykastrowali samych siebie? Ale dlaczego? Są mnichami?

– Wręcz przeciwnie. Nigdy byś nie powiedział, że Eloje to asceci.

– Więc dlaczego sami sobie to zrobili?

Młodzieniec znowu wychylił swój kielich. Kiedy służący napełnił go, powiedział: – Żeby wam wyjaśnić, czym są Eloje, muszę się cofnąć do czasu sprzed Wojen Genetycznych. Według tego, co mi powiedziano, stacja była początkowo stacją badawczą, której pracę nadzorowały Stany Zjednoczone. Przebywający w niej uczeni różnych specjalności mieli kontrolować skutki, jakie wywierają na środowisko prace górnicze. Prowadzili także obserwacje warunków atmosferycznych i głębinowe badania w Oceanie Południowym. Potem, bezpośrednio przed Wojnami Genetycznymi, stacja stała się czymś w rodzaju schronienia dla naukowców – głównie mikrobiologów – którzy nie chcieli pracować dla korporacji. W tym czasie nie była już pod ochroną Stanów Zjednoczonych, które rozpadły się dawno temu – ale sponsorowali ją życzliwi i bogaci ludzie, którzy przeciwstawiali się korporacjom. Stacja stała się pływającą fortecą, zdolną do ukrycia się głęboko pod wodą.

W tym zamkniętym środowisku naukowcy przeżyli Wojny Genetyczne nietknięci – przynajmniej w sensie fizycznym. Kiedy obserwowali ich następstwa i plagi dziesiątkujące to, co pozostało z rodzaju ludzkiego, doszli do wniosku, że ludzkość jest skazana. Właśnie z powszechnego nastroju beznadziei i braku jakichkolwiek perspektyw dla rodzaju ludzkiego zrodził się pomysł zmienienia samych siebie w... coś innego.

– Wszyscy ci ludzie wybrali bycie bezpłciowymi stworzeniami? – zapytał baron Spang z nutą niedowierzania w głosie. – Trudno mi w to uwierzyć.

Robin zmarszczył brwi i zajrzał do swego kieliszka. Następnie powiedział: – Bardzo trudno jest mi wyjaśnić, czym naprawdę są Eloje i w jaki sposób się takimi stały. Eloje żyją w stanie ciągłego – podniósł kielich wina – odurzenia. Ale nie zrozumcie mnie źle, nie są po prostu pijane. To coś więcej. Zmieniły skład chemiczny swoich ciał do tego stopnia, że ich mózg jest stale wypełniony pewnymi naturalnymi płynami chemicznymi, które utrzymują je w stanie delirycznego szczęścia. Jednakże, żeby osiągnąć ten stan, musiały także zmodyfikować swoje ciała, i dlatego właśnie nie mają narządów płciowych. Ma to coś wspólnego z utrzymaniem koniecznej równowagi hormonalnej; hormony produkowane przez narządy płciowe uniemożliwiają to. – Spojrzał na dwóch mężczyzn. – Rozumiecie?

Książę przytaknął. Wydawało mu się, że zaczyna pojmować to, co młodzieniec usiłował im wytłumaczyć. Ci ludzie–elfy za pomocą magii Starej Nauki zdołali sprawić, że są ciągle odurzeni. Przemówiło to do niego, ale nie podobał mu się pomysł pozbawiania się własnych narządów płciowych, żeby ten stan osiągnąć.

To wyjaśnienie przemawiało także do barona Spanga, który powiedział: – Nadal trudno mi uwierzyć, że wszyscy ci ludzie zgodzili się na chirurgiczne okrojenie.

– Nie było to chirurgiczne – odrzekł Robin, trochę już zmęczony. – Ale masz rację, nie wszyscy zgodzili się na to przeobrażenie, które oznaczało oddzielenie się na dobre od reszty ludzkości. Niektórzy byli za tym, żeby zasobów stacji badawczej użyć do pomocy tym, którzy przeżyli Wojny, chociaż takie wysiłki byłyby niewątpliwie daremne.

Ludzie ci, a była to mniejszość, opuścili w końcu stację, żeby spróbować swoich sił w świecie na zewnątrz.

Zapadła cisza. Książę spojrział na barona, który w zamyśleniu skubał swoją brodę.

– No więc, baronie Spang, co pan o tym myśli? Baron powiedział powoli: – Zdaje się, że nasz gość mówi, że te jego elfy na nic by się nam nie przydały.

– Właśnie – rzekł młodzieniec. – Porozumienie się z nimi lub raczej próba porozumienia, to mrzonka. Ja to doskonale wiem, próbowałem całe lata. Mrzonką jest także próba dostania się do nich. Stacja znajduje się pod lodową półką i nawet ja nie wiem dokładnie, gdzie. Wie to komputer mojego statku, ale na nic wam się to zda. Nie, moi przyjaciele, zapomnijcie o Elojach. W pewnym sensie już teraz macie to, czego potrzebujecie.

– Czyżby? – spytał książę.

– Tak. – Młodzieniec uśmiechnął się do niego i odstawił kielich po jeszcze jedną porcję wina. – Macie mnie. Broń na moim statku, pod moją kontrolą, będzie co najmniej groźna dla tego tajemniczego Władcy Niebios, którego się tak bardzo obawiacie.

Książę spojrział na niego z niedowierzaniem.

– A dlaczego tak bardzo chcesz nam pomóc?

– Ponieważ to wy będziecie środkiem, za pomocą którego ucieknę od Elojów i ich nudnej stacji badawczej. Nareszcie będę wolny. Zaskoczony książę powiedział: – Ale ty już masz ten środek. Ten statek jest twój. Robin potrząsnął głową.

– On ma bardzo krótki zasięg. Ale jeśli twój statek zanieśie zarówno jego, jak i mnie na północ, przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jednakże to jest tylko część zapłaty, jakiej oczekuję.

Książę pochylił się do przodu na swoim krześle.

– A jaka, jeśli mogę zapytać, jest jej reszta?

– Po pierwsze, chcę mieć ubrania, takie, jak wasze... i miecz –

powiedział chciwie młodzieniec.

To całkowicie zaskoczyło księcia.

– Chcesz... ubrań?

Robin wskazał na swój jednoczęściowy kombinezon.

– To jest tak nieciekawe w porównaniu z tym, co wy nosicie. Twoi ludzie mają styl, dokładnie taki, jak w *Przygodach Robina Hooda*.

– W czym? – zapytał jak echo książę, spoglądając na barona, który także był zaskoczony żądaniem młodzieńca.

– To nie ma znaczenia. Po prostu dajcie mi trochę waszych fantastycznych ubrań, miecz i... – spojrzał na nich z zakłopotaniem, zniżając głos.

– I co? – zapytał książę.

– Jak wam powiedziałem, mam dwadzieścia lat i całe życie spędziłem z Elojami w stacji badawczej. A Eloje są bezpłciowe...

Kilka sekund minęło, zanim książę zrozumiał, o czym Ryn mówi. Roześmiał się.

– Ach, chcesz mieć kobietę! – Nagle przyszła mu do głowy inna myśl. – A może twoje preferencje idą w innym kierunku? Młodzieniec zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– Nie. Potrzebuję właśnie kobiety. Przypuszczam, że wśród twoich poddanych są także prostytutki. Książę bawił się swoim łańcuchem.

– Rzeczywiście, chłopcze, rzeczywiście są. Właściwie *Władca Mordred* ma ich więcej niż by tego potrzebował. Ale myślę, że jako nasz honorowy gość i sprzymierzeniec zasługujesz na coś lepszego niż zwykła prostytutka.

– Och, naprawdę? – zainteresował się młodzieniec.

– Tak, mam dla ciebie idealną kobietę. Arystokratkę. Właściwie księżniczkę – powiedział książę i uśmiechnął się

znovu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Czy mówisz poważnie, mój panie? – spytał baron Spang. – Chcesz dać swoją własną córkę... temu tajemniczemu stworowi?

– Zupełnie poważnie – odpowiedział książę beztrosko. – Najwyższy czas, żeby zarobiła na swoje utrzymanie.

Byli teraz sami w prywatnym salonie księcia. Młodzieńca, więcej niż trochę pijanego, odprowadzono do luksusowego apartamentu, którego właściciel został pośpiesznie z niego wyrzucony.

Baron zaniepokojony spacerował tam i z powrotem po salonie.

– Ale ja nie rozumiem dlaczego, panie. Na pewno zwykła, pospolita prostytutka zaspokoiłaby jego seksualne potrzeby. Przecież nawet nie wiemy, czy on mówi prawdę. A poza tym on jest ziemską glistą. Kto wie, jakie choroby może przenosić. Ryzykujesz życie księżniczki Andrei.

– Najwyraźniej nie jest zwykłą ziemską glistą – powiedział książę. – A ta jego stacja badawcza była zamknięta przed resztą ludzkiej rasy jeszcze przed Wojnami Genetycznymi.

– On tak mówi – wtrącił baron.

– Nie mogę sobie pozwolić na wątpliwości. Ten jego statek z pewnością nie jest złudzeniem. A jeśli on będzie po naszej stronie, to wszystko się zmieni. Chodzi o to, że muszę mieć pewność, iż mogę mu ufać. Chcę, żeby był w mojej mocy, całkowicie. A Andrea jest jedyną osobą, która może do tego doprowadzić. Oto zdrowy, młody mężczyzna, który, jeśli mówi prawdę, wyrósł w świecie pozbawionym kobiet. Wyobraź sobie jego frustrację. Jakże on ma szansę wobec Andrei – cudownie

pięknej i najbardziej wyrachowanej suki, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jest w tym lepsza nawet od mojej żony. Zapewniam cię, że w ciągu kilku godzin będzie jej bezbronnym niewolnikiem.

Baron przestał spacerować i w zamyśleniu tarł brodę.

– Cóż, tak... być może. Ale co z samą księżniczką Andrea? Może nie chcesz wejść w, hm, intymne stosunki z tym obcym. Książę uniósł brew.

– Och, czyżby, mój drogi baronie? – powiedział cedząc słowa. – Znasz moją córkę.

Będzie jej ciekła ślinka na sam widok tego egzotycznego, przystojnego, bardzo dobrze zbudowanego młodego mężczyzny. On jest nieskończenie bardziej interesujący niż jej aktualne towarzystwo. Nie, myślę, że nie poniży się aż tak, żeby mi pomóc. Ale w tym wypadku nie będzie miała wyboru.

– Nie zrobię tego! – krzyknęła Andrea.

– Ależ tak, zrobisz, mój kotku. Naprawdę to zrobisz – powiedział spokojnie książę.

– Kochać się z jakąś brudną ziemską glistą? Nigdy!

Jej policzki były czerwone z gniewu. Z wściekłością tupnęła nogą. Książę przyglądał jej się beznamiętnie z głębokości wygodnego krzesła.

– Powiedziałem ci, kochanie, że on nie jest zwykłą ziemską glistą. A jego życzliwość dla nas ma istotne znaczenie. Dla mnie. Dla ciebie. Dla nas wszystkich. Wydaje mi się, że nie byłaby to dla ciebie ciężka próba. Chłopak jest bardzo przystojny.

– Nie obchodzi mnie, czy jest przystojny! Nie zostanę dla ciebie dziwką!

– A więc pomyśl o tym tak, jakbyś robiła to dla siebie, mój kotku.



– Co masz na myśli?

– Chcesz, żebyśmy wrócili na północ. Z tym młodzieńcem i jego latającą maszyną mogę teraz przeciwstawić się El Rashadowi i innym. Ale muszę wiedzieć, że mogę bezwzględnie ufać temu młodzieńcowi i że on zrobi to, co mu rozkażę. Nie mogę go zmuszać z powodów, które już wyjaśniłem. Dlatego właśnie potrzebuję ciebie, kochanie. Jeśli ci się uda, będę ci bardzo wdzięczny. Będiesz miała wszystko, czego twoje wypaczone serduszko zapragnie, jeśli tylko w mojej mocy będzie ci to dać.

Twarz Andrei złagodniała, chociaż jej oczy pozostały podejrzliwe.

– Obiecujesz mi to, ojczy?

– Na mój honor.

Zrobiła pogardliwy gest, którego, zdaniem księcia, z pewnością nauczyła się już na kolanach matki, i powiedziała: – Zanim podejmę decyzję, chcę zobaczyć tę ziemską glistę.

– Ależ oczywiście, mój kotku...

Księżę miał właśnie wezwać Spanga, żeby odprowadził ją do apartamentu młodzieńca, gdy wszedł technik. Księżę domyślił się, o co chodzi.

– Znowu El Rashad? – spytał.

– Tak, panie. Przysłał wiadomość, że jest już w drodze na *Władcę Mordreda*. Będzie tu w ciągu godziny. Chce pilnie z tobą rozmawiać.

Księżę uśmiechnął się.

– No cóż... powinniśmy przygotować najlepsze srebra.

Zwrócił się do córki.

– Rozumiesz teraz, jak ważny jest nasz młody gość? I dlaczego tak bardzo zależy mi na tym, żebyście wy, ty i on, zostali... hm... bardzo bliskimi przyjaciółmi? Przytaknęła.

– Pójdę teraz zobaczyć się z nim i powiem ci, co zdecydowałam.

Ryn lub, jak teraz myślał o sobie, Robin, leżał na dużym łóżku, rozpamiętując wydarzenia ostatnich kilku godzin. Jego życie przybrało tak dziwny kształt, tylko w połowie przewidziany, jak gdyby jeden z jego przebiegłych programów wywołał narkotyczne złudzenie, które odzwierciedlało jego ulubiony stary film. Był teraz ubrany w zielone trykoty, czarne buty z miękkiej skóry, białą jedwabną koszulę i czerwony kaftan z bufiastymi rękawami. Na łóżku przed nim leżał miecz w pochwie na szerokim skórzanym pasie. Rękojeść była ozdobna, inkrustowana srebrem. Niewątpliwie ubranie to było niewygodne, ale noszenie niesyntetycznego ubrania bezpośrednio na gołym ciele podniecało Ryna.

Wejście na pokład Władcy Niebios było także źródłem podniecenia, ale też odrobiny strachu. Wiedział, że podejmuje ogromne ryzyko, mając na swoją ochronę tylko bluff, ale cóż innego mógł zrobić? Uruchomić *Maskotkę* i z powrotem pomknąć do niekończącej się nudy stacji badawczej? Nie, lepiej zaryzykować życie w nadziei, że w końcu uzyska wolność od Elojów.

Nie wiedział, czego ma się spodziewać we wnętrzu *Władcy Mordreda*. Ostatnie informacje, jakie zawierał jego program uczący, dotyczyły krótkiego odcinka czasu po zbudowaniu Władców Niebios, kiedy to zaczęły się pojawiać następstwa Wojen Genetycznych, to znaczy, gdy wskutek działania pewnych gatunków grzyba, stworzonych w celu niszczenia prądu elektrycznego, zaczęła się psuć komunikacja radiowa. Wiedział, że sterówce Władców Niebios były z początku Aniołami Niebios, gigantycznymi statkami powietrznymi, które zostały zbudowane

z pobudek humanitarnych. Niosły pomoc miejscom dotkniętym jakimś nieszczęściem – naturalnym lub spowodowanym przez człowieka. Wypełnione środkami pierwszej potrzeby, a także obszernymi salami sypialnymi, dostarczały pomocy i schronienia tym, którzy przeżyli powodzie, trzęsienia ziemi, huragany i straszne, genetyczne „nieszczęśliwe wypadki” (Korporacje Genetyczne popełniały czasami błędy). Wielu z nich używano także jako środków taniego transportu do krajów Trzeciego Świata. Po Wojnach Genetycznych stały się celem walk różnych ugrupowań z całego świata, próbujących rozpaczliwie uciec przed zarazami i innymi genetycznie wyprodukowanymi zagrożeniami, które niepoohamowanie rozprzestrzeniały się na powierzchni planety. Kiedy dym bitewny opadł, ci, którzy rządili Aniołami Niebios, zaczęli się stawać coraz bardziej bezwzględni i okrutni, co dla ich przeciwników było wzorem do naśladowania. Anioły Niebios przeminęły; na ich miejsce pojawili się Władcy Niebios. Oni narzucili swoje panowanie tym, którzy byli i tak wystarczająco nieszczęśliwi, że żyją nadal na Ziemi.

Po opuszczeniu *Maskotki*, mocno przymocowanej kablami do kadłuba sterowca i wejściu do wnętrza *Władcy Mordreda* Ryn dostrzegł przede wszystkim z trudem ukrywane zniszczenie. Wydawało się, że wszystko – luki, trapy, windy, korytarze – naprawiano i łątano przez wiele lat setki razy. To, co zobaczył, nie przypominało zdjęć wnętrza Aniołów Niebios, wyświetlanych przez programy historyczne. Wszystkie one ukazywały błyszczące korytarze i wysoko rozwiniętą technikę. Ale nic dziwnego: ostatecznie, te zdjęcia zrobiono ponad czterysta lat temu, a *Władca Mordred* najwyraźniej przez cały ten czas był w powietrzu.

Zdjęcia nie przygotowały go także na widok prawdziwych rozmiarów Władcy Niebios. Jeśli z zewnątrz wyglądał imponująco, to od wewnątrz sprawiał jeszcze większe wrażenie. Wnętrze stacji badawczej, które znał tak dobrze, było w porównaniu z nim po prostu miniaturowe. Zjazd windą przez przestrzeń, o której wiedział, że zawiera ogromne komory gazowe, trwała absurdalnie długo (winda nie poruszała się zbyt szybko i trzy razy zatrzymała się bez żadnego wyraźnego powodu). Drzwi otworzyły się w końcu, ukazując dużą, otwartą przestrzeń, w której zgromadził się spory tłum. Ryn zobaczył także powóz przyczepiony do dwóch zwierząt. Domyślił się, że są to konie. Kiedy książę i jego towarzysze wyszli z windy, tłum zaczął wrzeszczeć i napierać, próbując się przedrzeć przez kordon żołnierzy. Ludzie potrząsali pięściami i rzucali obelgi, jak Ryn przypuszczał, pod adresem księcia. Nie sądził, by były skierowane do niego, wiedząc, że wiadomość o jego przybyciu nie rozniosła się jeszcze wśród ludności sterowca.

Książę wszedł do otwartego powozu i gestem nakazał Rynowi zrobić to samo. Kiedy Ryn usiadł obok niego, książę powiedział sucho: – Moi lojalni poddani wiwatują na moją cześć.

Ryn chciwie wpatrywał się w tłum, w nadziei, że po raz pierwszy w życiu zobaczy prawdziwą kobietę, ale wszyscy byli tak mocno opatuleni szalami i kapturami, że nie można było odróżnić płci. Widząc parę, wydobywającą się z ich ust, uświadomił sobie, jak zimno jest na pokładzie Władcy Niebios. Od czasu, kiedy opuścił ciepłe łono *Maskotki*, był zbyt podekscytowany i spięty, żeby w pełni ocenić ogromną różnicę temperatury. Było jasne, że jeśli *Władca Mordred* ma wewnętrzny system ogrzewania, to nie działa on prawidłowo.

Kiedy inni wsiedli już także do powozu, woźnica popędził

konie. Powóz ruszył, podskakując na wybojach, po pokrytej słomą, nierównej nawierzchni. Żołnierze biegli obok. Wjechali w korytarz, który rozszerzył się w ulicę, wypełnioną sklepami i tawernami. Ryn był tym wszystkim tak zachwycony, że nie zwracał uwagi na szyderstwa i gwizdy. Księżę uśmiechał się życzliwie, jakby to były okrzyki na jego cześć.

Ryn przez całą drogę wypatrywał kobiet. Wydawało mu się nawet, że zauważył kilka, ale nie był tego pewien. Znacznie łatwiej było rozpoznać dzieci, ale one także były tak mocno opatulone, że taką samą trudność sprawiało ustalenie, czy to dziewczynki, czy chłopcy.

Pod koniec podróży jeszcze raz jechali windą, ale tym razem krócej i w górę. Potem znaleźli się w świecie zupełnie różnym od tego na dole. Szerokie korytarze były wyłożone polerowanym drewnem, ozdobionym skomplikowanymi rzeźbami, a ludzie, jakich spotykali po drodze, byli dobrze ubrani i okazywali księciu ogromny szacunek. Tutaj Ryn z radością zobaczył dwie postacie, które, chociaż ubrane w ciężkie płaszcze, z pewnością były kobietami. Chętnie pozostałyby w tyle i poznał je trochę bliżej, ale księżę go ponaglił.

Dotarli w końcu do sektora *Władcy Mordreda*, który stanowił najwyraźniej ekskluzywne terytorium księcia i w porównaniu z tą częścią sterowca, którą Ryn widział przed chwilą, był urządzony z największym przepychem. Przypuszczał, że znajdują się teraz na dziobie ogromnego statku. Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy przechodzili przez komnatę tronową do prywatnego salonu księcia. Wklęsła ściana ogromnych okien, która wybrzuszała się aż do sufitu, podsunęła Rynowi myśl, że są gdzieś poniżej dziobu statku.

Spróbował sobie przypomnieć, dlaczego Anioły Niebios były

takie wielkie: miało to coś wspólnego ze sprawnością wind. Dwukrotnie większy statek mógł pomieścić dwukrotnie więcej wind; wydajność wind wzrastała zgodnie z postępem geometrycznym, im większy był statek. To nasunęło mu pytanie, gdzie zdołali zaopatrzyć się w świeży hel. Odpowiedź księcia zaniepokoiła go. Większość helu, w który był zaopatrzony *Władca Mordred*, zużyto już dawno temu i w tej chwili ogromne komory gazowe zawierały głównie produkowany na pokładzie wodór. Ryn zbyt dobrze wiedział, że w przeciwieństwie do helu, który jest gazem obojętnym, wodór jest łatwopalny. Znajdował się właśnie na czymś, co było w zasadzie latającą bombą...

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział, myśląc, że to jeszcze jeden służący z jakimś nowym podarunkiem od księcia.

Kiedy drzwi się otworzyły, zerwał się i usiadł prosto na łóżku. Osobą, która weszła, nie był służący. Była to kobieta. Dziewczyna. Dziewczyna o twarzy anioła. I kiedy zrzuciła ciężki płaszcz, zobaczył, że ma także ciało anioła. Nie, zdecydował szybko, nie anioła. Żaden anioł nie odważyłby się pysznić taką zmysłowością. W porównaniu z nią jego program erotyczny wypadłby kiepsko.

Uśmiechnęła się do niego. Poczuł, że jego uszy robią się gorące.

– Mam zaszczyt powitać cię, drogi gościu mojego ojca – powiedziała. – Jestem księżniczka Andrea. Mój ojciec wyraził życzenie, żebyśmy, ty i ja, zostali dobrymi przyjaciółmi.

Przerwała i – wyobraził to sobie, czy było tak naprawdę? – przesunęła wzrokiem po całym jego ciele.

– I ja bym tego chciała...

– Żądam, żebyś mi oddał twojego gościa Starej Nauki. Chcę go

przesłuchać. Księżę spojrział na El Rashada z wysokości swojego tronu. Islamski Władca Niebios siedział nieszczęśliwy na poduszce, którą księżę umieścił przed swoim tronem.

Minęły dni, kiedy mogłeś czegoś ode mnie żądać – pomyślał księżę z satysfakcją. Głośno powiedział: – Mój gość w tej chwili odpoczywa i nie można mu przeszkadzać. Jeśli chcesz go o coś zapytać, to z przyjemnością zrobię to w twoim imieniu przy najbliższej okazji. El Rashad z trudem nad sobą panował.

– Zapominasz, że zawarliśmy układ – powiedział zduszonym głosem. – Mówisz, że ten statek i jego pilot pochodzą ze stacji, której szukamy. Jesteś więc zobowiązany do poinformowania mnie, co wiesz na ten temat... i innych sojuszników, oczywiście.

Księżę odchylił się do tyłu na swoim tronie.

– Gdybym wiedział, gdzie znajduje się stacja badawcza, to oczywiście podzieliłbym się z wami tą informacją, ale nie wiem. Nie wie tego także mój gość. Wie to tylko komputer na jego statku.

– Tak ci powiedział, ale skąd możesz wiedzieć, czy mówi prawdę?

– Ufam mojej intuicji.

– Jestem pewien, że twoja intuicja jest niezawodna – powiedział El Rashad głosem pełnym jadu. – Ale mądrzej byłoby poddać go torturom, żeby uzyskać potwierdzenie tego domysłu.

– Jest coś, co zapobiega takim metodom.

– Więc oddaj go mnie. Zapewniam cię, że po moich torturach nie zdoła ukryć żadnej tajemnicy.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział księżę – ale ja naprawdę nie wierzę, żeby przyniosło to coś dobrego. Mówi, że stacja jest zanurzona i leży głęboko pod lodową półką. Jest niedostępna.

– Tak mówi! – zadrwił El Rashad. – Ale jeśli to prawda,

użyjemy go jako zakładnika.

Zmusimy go, żeby wysłał ze swojego statku wiadomość do tamtych ludzi, że zostanie zabity, jeśli oni nie zgodzą się wynurzyć i negocjować z nami.

Książę westchnął. Nie zamierzał podejmować próby opisanania Elojów, ludzi-elfów.

Rzucił przelotne spojrzenie na czterech czarno ubranych żołnierzy, którzy towarzyszyli El Rashadowi. Stali nieruchomo w szeregu za swoim władcą. Za nimi, po obu stronach drzwi, stało dwóch ludzi księcia. Spang czekał na zewnątrz z dużym oddziałem uzbrojonych żołnierzy. Książę wziął głęboki oddech i powiedział: – Żadna z tych rzeczy nie będzie konieczna. Niszczące siły zawarte w tej latającej maszynie wystarczą, żeby pokonać Anioła Niebios i flotę podporządkowanych mu Władców Niebios.

– Skąd wiesz? – zapytał El Rashad.

– Jej pilot tak powiedział i ja mu wierzę – odparł książę. – Tak więc proponuję zakończyć poszukiwania stacji badawczej, wrócić na północ i odszukać Anioła Niebios.

I zniszczyć go.

– Nie! Nie będę ryzykować wszystkiego z tak błahego powodu. Jak możesz ufać komuś takiemu? Dlaczego miałyby nam pomóc? Książę odchrząknął i powiedział: – Cóż, właściwie zgodził się pomóc mnie, mój drogi El Rashadzie. Zawarliśmy układ. Są pewne, hm, artykuły, których rozpaczliwie potrzebował i, na szczęście, byłem w stanie mu ich dostarczyć. – Przynajmniej mam taką nadzieję, powiedział do siebie z niepokojem. El Rashad posłał mu niebezpieczne spojrzenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że *Władca Mordred* wyłamuje się od tej chwili z twoich



poszukiwań. Zamierzamy skierować się na północ, żeby znaleźć Anioła Niebios. Ty i pozostali Władcy Niebios możecie, oczywiście, mi towarzyszyć.

Ciało El Rashada zeszywniało, a jego wzrok stał się morderczy. Księżę mógł wyczuć jego wściekłość tak, jak wyczuwa się ciepło ognia. Minęła długa chwila. Księżę domyślał się, że El Rashad pragnie wydać swoim ludziom rozkaz zabicia go. Czy jego nienawiść i gniew są aż tak ogromne, że poświęciłby własne życie dla przyjemności patrzenia, jak księżę zostaje rozszarpany na kawałki? Ale w tym momencie ciało El Rashada rozluźniło się i księżę zrozumiał, że niebezpieczeństwo minęło.

– Bardzo dobrze – powiedział El Rashad miękko. – Będzie, jak zechcesz. Reszta floty poleci za tobą na północ. – Wstał. – Koran ostrzega wiernych, żeby nie zawierali przyjaźni ani z Żydami, ani z chrześcijanami. Powiniennem być bardziej posłuszny słowom Allacha. W przyszłości będę.

Kiedy wyszedł z sali tronowej, eskortowany przez swoich żołnierzy, księżę z trudem się powstrzymał, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Nowe ubranie Ryna leżało rzucone przy łóżku. Ubranie księżniczki Andrei także. Sama księżniczka Andrea spoczywała obok Ryna. Spała. Ryn także zasnął na chwilę po burzliwych i długotrwałych zmaganiach miłosnych, ale teraz obudził się i znowu był podniecony. Przysunął się do niej. Jęknęła cicho, ale nie obudziła się. Chciał odrzucić przykrycie i przyjrzeć się dokładnie jej ciału, kiedy jeszcze spała, ale było zbyt zimno. Zamiast tego przesunął ręką pod przykryciem, dopóki nie spoczęła na jej lewej piersi. Powrócił myślami do tego, co zaszło między nimi...

Gry miłosne z bezcielesnymi fantomami programów

erotycznych nie przygotowały go na spotkanie z rzeczywistością. Był na początku zbyt niezdarny, zbyt pożądlivy i ich pierwsze zbliżenie skończyło się dla niego niemal w momencie, gdy się rozpoczęło. Wtedy ona przejęła inicjatywę. Najpierw pobudziła go ponownie i wtedy z doświadczeniem, które go zachwyciło i zaskoczyło, doprowadzała go znowu i znowu do krawędzi, ale za każdym razem zdołała odwlec to, co wydawało się nieuniknione. Kiedy pozwoliła mu w końcu na orgazm, doznanie to było tak silne, że wydawało mu się, iż ulatuje w przestworza. Potem, po krótkim odpoczynku, kochali się trzeci raz, a Andrea demonstrowała dalszą wiedzę miłosną, której na pewno ogromnie zazdrościliby jej dawno nieżyjący programiści jego erotycznych hologramów. Z pewnością nie był to dla niej pierwszy raz...

Ale co będzie dalej? – zastanawiał się. Wszystko zależało od *Maskotki*. Co się stanie, gdy ponownie uruchomi *Maskotkę*, kiedy *Władca Mordred* wydostanie się poza wyznaczoną przez Główny Program granicę? Czy *Maskotka* znowu automatycznie powróci do wyznaczonego terytorium, czy, będąc poza nim, zadowolony się po prostu wykonywaniem jego instrukcji? Ryn nie mógł ryzykować – będzie musiał spróbować przeprogramować komputer, kiedy *Maskotka* będzie jeszcze wyłączona, pod warunkiem, że na *Władcy Mordredzie* znajdują się potrzebne do tego narzędzia. Gdyby mu się nie udało, *Maskotka* byłaby bezużyteczna, a on z kolei nie byłby potrzebny księciu.

Ale, cóż, to wszystko kiedyś w przyszłości. Na razie będzie się cieszył tym, co jest teraz. A już myślał, że los mu tego na zawsze odmówi.

Lekko ścisnął jej pierś.

– Obudź się, księżniczko Andreo, obudź się...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jan poruszyła się. Poczwała przyjemne ciepło. Mruknęła coś przez sen. Z radością uświadomiła sobie, że Ceri nareszcie wróciła do łóżka.

– Ceri... – westchnęła.

Otworzyła oczy. Gdy zobaczyła, kto to jest, z przerażenia wstrzymała oddech. Milo.

Milo, dokładnie taki, jak go zapamiętała. Łysa głowa. Jedno oko niebieskie, drugie zielone. Arogancki uśmiech...

Był nagi i klęczał pomiędzy jej nogami. Miał dużą erekcję. Podciągnął jej koszulę nocną aż do talii; to jego ręce ją pieściły. Uśmiechał się do niej. Zobaczyła, że pod pachą trzyma swoją własną czaszkę. Jarzyła się migotliwym, niebieskim światłem elektrycznym. Przeniosła wzrok ze szczerzącej zęby czaszki z powrotem na twarz Mila.

– Cześć, Jan – powiedział. – Jestem z powrotem... dzięki tobie.

Jan krzyknęła. Milo zniknął.

Jeszcze nie przebrzmiał jej krzyk, gdy Jan zdała sobie sprawę z tego, że siedzi na łóżku. Koszula nocna nie była już zadarta. Po Milu i jego czaszce nie było ani śladu. Była sama.

– Mamo?

Przestraszyła się. To głos Simona, dobiegający z sąsiedniego pokoju. Był przerażony. Jej krzyk obudził go. Zmusiła się do wyjścia z łóżka, oczekując, że Milo w każdej chwili może pojawić się znowu. Drżąc stanęła przy łóżku.

To był tylko sen... głupi sen – mówiła sobie.

– Mamo! Gdzie jesteś?

Nadal jeszcze nie mogła opanować nerwów, ale przełamała się i podeszła do drzwi jego sypialni. Wślizgnęła się bezszelestnie do pokoju.

– Światło – rozkazała.

Siedział w łóżku z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Był tak przestraszony i kruchy, że jej własny strach natychmiast uleciał. Dopiero teraz uwierzyła, że to był tylko sen.

– Wszystko w porządku, Simon – powiedziała uspokajająco. – Miałam zły sen.

Jakąś marę nocną. Nie ma się czym przejmować. Przykro mi, że cię obudziłam.

Usiadła na łóżku i pogłaskała go po włosach. Minęło kilka minut, zanim uspokoił się na tyle, żeby się z powrotem położyć. I następnych kilka minut, zanim zasnął.

Jan wróciła cicho do swojego pokoju i stanęła przed zamkniętą szafką, w której była między innymi czaszka Mila. Podjęła decyzję. Znalazła klucz i przekręciła zamek. Zawahała się przed otwarciem drzwiczek; przez chwilę wydawało jej się, że zobaczy czaszkę jarzącą się niebieskim światłem. Ale kiedy otworzyła drzwiczki, czaszka była taka jak zawsze. Sięgnęła po nią niepewnie, próbując nie zwracać uwagi na jej drwiące spojrzenie. Wyobraziła sobie, że słyszy protekcyjny głos Mila: – Moja biedna mała amazonka. Zaszłaś tak daleko, ale w sercu jesteś nadal przesadną, minerviańską dzikuską, która boi się ciemności i duchów.

Wyszła z pokoju i szybkim krokiem ruszyła korytarzem. Biologiczne światła w korytarzu dotrzymywały jej kroku, zapalając się, gdy nadchodziła, obracając się i gasnąc, gdy przeszła. Jej białe stopy nie wydawały żadnego dźwięku na dźwiękochłonnej wykładzinie.

– Czy coś się stało? – To głos Carla.

– Nic się nie stało – odpowiedziała szorstko.

Pobiegła siecią korytarzy do wejścia na mały zewnętrzny pomost obserwacyjny. Stała na nim. W oddali widziała światła *Pachnącego Wietrzyka*.

– Carl, otwórz sklepienie pomostu.

– Nie radziłbym, Jan. Na zewnątrz jest tylko dwadzieścia stopni i lecimy pod wiatr. Nie jesteś odpowiednio ubrana na takie warunki.

– Mimo to chcę, żebyś otworzył sklepienie.

Sklepienie odsunęło się do góry, odsłaniając mały pomost. Podmuch lodowatego powietrza o mało jej nie przewrócił. Cienka koszula nocna natychmiast zaczęła trzepotać na wietrze, a oczy Jan wypełniły się łzami. Przytrzymując się balustrady, cisnęła w ciemność czaszkę Mila. Przez chwilę patrzyła w dół, próbując śledzić jej lot, po czym cofnęła się do środka. Sklepienie za nią zatrzasnęło się, odcinając pęd powietrza.

Drżąc z zimna stanęła w korytarzu, wdzięczna Carlowi za to, że nic nie mówił.

Miała właśnie wrócić do swojego mieszkania, ale zmieniła zdanie i zamiast tego poszła do pokoju Ceri. Zapukała cicho do drzwi.

– Ceri? To ja, Jan.

Ceri otworzyła drzwi. Oczy miała zapuchnięte od snu. Ceri zmieniła się bardzo od czasu, gdy Jan widziała ją po raz pierwszy; jej twarz o regularnych rysach była szczuplejsza – zmizerowana; wyglądała na trzydzieści pięć lat – wiek graniczny w procesie starzenia się – chociaż osiągnęła go z pewnością dziesiątki lat temu. Ale w oczach Jan była nadal piękna i Jan nadal ją kochała. Na jej widok Ceri zmarszczyła brwi.

– Jest późno...

– Przepraszam cię, ale chciałabym z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

Ceri odsunęła się cicho i Jan weszła. Ceri wskazała jej krzesło, a sama usiadła na łóżku, splatając ręce na piersiach, jakby było jej zimno.

Jan opowiedziała jej swój sen; sen, który rozpoczął się od niej, Ceri, a potem przemienił się w koszmar. Powiedziała też, co zrobiła z czaszką.

– To dobrze – mruknęła Ceri. – A teraz powinnaś wrócić i pozbyć się także tej „rzeczy”.

Na myśl o Simonie Jan poczuła, że robi jej się słabo.

– On nie ma w sobie nic z Mila, Ceri. Nie jest skażony, ja to wiem. Jest po prostu małym chłopcem. Moim synem, Simonem... Niczym więcej...

– Tak twierdzi twój umysł, ale podświadomość wie lepiej i dlatego właśnie miałaś sen o powrocie Mila – powiedziała Ceri. – Coś jest zdecydowanie nie w porządku z tym chłopcem. Po pierwsze, jego wzrost. Nie ma jeszcze dwóch lat, a chodzi i mówi jak pięcioletek. Jest genetycznym potworem.

– Nie, to nieprawda – zaprotestowała Jan, chociaż Ceri potwierdziła jej własne obawy. – Tyle razy był poddawany testom – powiedziała słabo.

– Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że maszyny medyczne nie są zaprojektowane do wykonywania całkowitych, obszernych badań genetycznych; mogą co najwyżej skorygować genetyczne niedoskonałości na bardzo podstawowym poziomie. Jeśli Simon przenosi genetyczną spuściznę Mila, a wiesz, że przenosi, maszyna na pewno nie jest w stanie tego wykryć.

Jan potrząsnęła głową.

– Nie, nie wierzę w to. Nie ma dowodu. Masz obsesję na punkcie Mila. Winisz go za wszystko, co ci się przydarzyło.

– A nie mam do tego prawa? Gdyby Milo nie pojawił się w moim pływającym morskim mieście i nie przekonał rady, żeby zbliżyć się do wybrzeża, nie zostalibyśmy zaatakowani przez *Władcę Panglotha*, a ja nie zostałabym pojmana i nie skończyłabym w rękach Japończyków. – Zamknęła oczy. Wstrząsnął nią dreszcz.

Jan współczuła jej bardzo. Ceri nigdy jej nie powiedziała, co z nią robili w ciągu tych tygodni, kiedy była więźniem na *Pachnącym Wietrzyku*, ale z tego, co opowiadały inne pojmane kobiety, Jan domyślała się, przez co musiała przejść. Wstała i usiadła na łóżku obok Ceri, obejmując jej ramiona. Ceri była niepokojąco koścista pod swoją nocną koszulą. Straciła także na wadze.

– Wyrzucić Mila ze swoich myśli – nalegała Jan. – Spróbuj wyrzucić wszystko, co się stało. To przeszłość. Pomyśl o przyszłości. Pomyśl o mnie.

– O tobie? – Ceri otworzyła oczy i spojrzała na nią.

– Potrzebuję pomocy, Ceri. Nie mogę tego wszystkiego zrobić sama. Czuję się taka samotna.

– Masz tych swoich minerviańskich mężczyzn.

Kolejna kość niezgody między nimi. Ceri denerwowała ich obecność na pokładzie Anioła Niebios, choć nie byli zwykłymi mężczyznami, tylko mężczyznami z Minervy.

– Są słodcy, szczególnie Kish, i pomagają mi we wszystkim, ale nie mogę liczyć na to, że wezmą na siebie choćby część mojej odpowiedzialności. Nie są urodzonymi przywódcami.

– Gdyby nimi byli, nie byłiby mężczyznami z Minervy, czyż nie? – powiedziała Ceri drwiącym głosem. Jan zignorowała to.

– Potrzebuję, cię, Ceri – powtórzyła.

– Czyżbyś myślała, że jestem urodzonym przywódcą?

– Jesteś silna. – A raczej byłaś, pomyślała smutno Jan. – Potrzebuję tej siły. Sama nie będę mogła dać sobie rady. To wszystko jest o wiele trudniejsze niż myślałam. Ceri powiedziała cynicznie: – Ratowanie świata zawsze jest trudne.

– Nie usiłuję uratować świata. Nie jestem szalona. Próbuję go tylko choć trochę poprawić... pokazać ludziom, że możemy nadal mieć szansę w walce z zarazą, jeśli będziemy pracować razem.

– Jak na razie osiągnęłaś tylko to, że wszyscy jednoczą się przeciwko tobie, oni wszyscy cię nienawidzą: Ziemianie, niebiańscy ludzie, wszyscy razem. Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie umyjesz rąk od tego wszystkiego.

– Nie myśl, że nie mam ochoty – powiedziała Jan i wbrew swojej woli zaczęła płakać.

Poczuła, że Ceri obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie. Zaskoczyło ją to i sprawiło jej przyjemność. Tyle czasu minęło, od kiedy zrobiła taki gest po raz ostatni. Jan rozplakała się jeszcze bardziej. Wtedy uświadomiła sobie, że Ceri także płacze. Szlochając przyłgnęły do siebie.

Po pewnym czasie Ceri powiedziała zachrypniętym głosem: – Przepraszam, Jan. Byłam dla ciebie straszna. Przebacz mi. Jan odsunęła się i spojrzała jej w oczy.

– Nie ma nic do przebaczenia. Kocham cię, Ceri. Ceri uśmiechnęła się do niej słabo.

– I ja cię kocham. Chodź... chodź do łóżka.

Zdjęła koszulę.

Pomimo przykrego wrażenia, jakie zrobiły na niej sterczące żebra Ceri, Jan była szczęśliwa. Ona też zrzuciła koszulę i wtuliła się w objęcia Ceri.



Jan obudziła się. W pierwszej chwili zastanowiła się, dlaczego jest taka szczęśliwa. Nagle przypomniała sobie, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do Ceri. Napotkała puste miejsce. Jan otworzyła oczy. Była w łóżku sama. Wydawało jej się, że Ceri jest w sypialni.

Wtedy uświadomiła sobie, że coś miękko, ale natarczywie stuka do drzwi. Po chwili wahania wstała, ubrała się i otworzyła.

To był Kish. Kiedy otworzyła drzwi, zauważyła na jego twarzy ulgę.

– Pani...

– Cześć, Kish. Szukasz Ceri?

– Nie, szukałem ciebie. Są pewne, ee... kłopoty. Chwyciła go za ramię.

– Simon? To Simon, prawda? Coś mu się stało? Kish, krzywiąc się z bólu powiedział: – Jest ranny, ale nie ma powodu do niepokoju. Włożyliśmy go do maszyny medycznej, a ona mówi, że jest silny.

– O Bogini Matko. Zaprowadź mnie do niego. Co się stało?

– Nie jesteśmy pewni – powiedział Kish, kiedy szli szybko korytarzem. – To Shan ich znalazł, kiedy przyszedł ze śniadaniem twoim i Simona. Jan zamarła.

– Co to znaczy „ich”?

Kish miał minę cierpiętnika.

– Simon i Ceri... Ona nie żyje.

– Nie żyje? Co ty mówisz? To nie może być prawda. – Jan zaczęła myśleć, że została złapana w pułapkę nowego koszmaru, takiego, jak ten z poprzedniej nocy.

– To prawda, pani. Ją także włożyliśmy do maszyny medycznej, ale maszyna powiedziała, że Ceri jest już martwa od trzech i pół godziny, i że zaszło nieodwracalne uszkodzenie

mózgu.

– Nie... nie...

To absurdalne. Ceri nie może być martwa. Przecież kochały się jeszcze niedawno...

– Została ugodzona w serce.

– Kto do diabła mógł to zrobić? – Wtedy przyszła jej do głowy okropna myśl. – Mamy na pokładzie obcych? Z innego sterowca? Kish z ponurym wyrazem twarzy potrząsnął głową.

– Nie. Musiał to zrobić Simon. To jedyne wyjaśnienie. Niewiele brakowało, a roześmiałyby się.

– Simon? Teraz już wiem, że to wszystko jest po prostu szalonym snem.

– W samoobronie, pani. Wygląda na to, że Ceri próbowała podciąć mu gardło, kiedy spał.

Kolana ugięły się pod nią. Teraz to wszystko zaczęło się składać w potworną, logiczną całość. To nie był sen.

– Chodź – powiedziała ochryple. Poszli w dół korytarzem.

– Powiedz mi, co myślisz o tym, co się stało – spytała.

– Shan natychmiast mnie wezwał. Simon i Ceri leżeli obydwoje na podłodze w jego sypialni. Simon leżał twarzą w dół, w poprzek jej ciała. Nóż tkwił po rękojeść w jej piersi. Było dużo krwi. Kiedy podnieśliśmy Simona, zauważyliśmy głębokie cięcie w poprzek jego gardła. Nie uszkodziło tętnicy, dzięki Bogini Matce.

Jan wyobraziła sobie, jak Ceri zostawiają w łóżku, upewniwszy się, że akt miłosny ją wyczerpał i że głęboko zasnęła. Bierze nóż i idzie do sypialni Simona. Podcięła gardło jej śpiącego syna, myśląc w obłądzeniu, że oddaje Jan przysługę. Simon obudził się z przerażeniem i... i co? Chwycił nadgarstek Ceri zanim mogła uderzyć ponownie, wyrwał jej z ręki nóż i, w ślepej panice, wbił

jej go w serce? Skąd mógł mieć tyle siły, żeby zrobić coś takiego? Tak, był duży jak na swój wiek, a Ceri straciła na wadze, ale wszystko to wydawało się tak nieprawdopodobne. A on był takim spokojnym, małym chłopcem; taka reakcja z jego strony była niezrozumiała, nawet, gdyby instynktownie zdał sobie sprawę, że Ceri, którą bardzo lubił pomimo jej chłodu próbuje go zamordować. Nie, ona musiała sama się zabić. Przerazona tym, co próbowała zrobić Simonowi, zatopiła nóż w swoim własnym sercu. Czy na pewno było to jedyne możliwe wyjaśnienie?

Nie można było zrobić nic innego, jak tylko odłożyć pytania na bok, na potem. W tej chwili było coś znacznie ważniejszego, czym należało się martwić. Przyszli do szpitala.

Było to duże pomieszczenie, zaprojektowane w ten sposób, żeby można było zająć się setkami nagłych wypadków, z rzędami maszyn medycznych i salami dla rekonwalescentów. Jan poczuła charakterystyczny zapach powietrznych bakterii, które inżynieria genetyczna wyprodukowała do atakowania i niszczenia wszystkich szkodliwych mikroorganizmów, jakie tylko dostały się do szpitala. Zobaczyła Shana, stojącego przy maszynie medycznej, tuż przy wejściu. Miał smutny wyraz twarzy.

– Bez zmian, pani – powiedział.

Maszyna medyczna była nieprzejrzystym, plastikowym cylindrem, z którego wystawały kable i rurki, prowadzące do podłogi i do niskiego sufitu. Spojrzała na ekran monitora przymocowanego z boku. Widniały na nim wszystkie dane dotyczące Simona. Zmarszczyła brwi. Większości z wyświetlanych informacji nie mogła zrozumieć, ale widziała, że puls Simona obniżył się do trzydziestu uderzeń na minutę, a temperatura ciała jest nieprawidłowo niska – 86 stopni F, ale

serce bije regularnie i mocno, i ciśnienie krwi jest normalne. Odwróciła się i spojrzała na Shana.

– Jakie leczenie jest stosowane?

Shan wyciągnął rękę za jej plecami i nacisnął guzik na konsoli komputera.

– Zobacz... maszyna zlikwidowała uszkodzenie tkanek na jego szyi i dała mu pół kwarty krwi. Zrobiła mu także zwykły zastrzyk środka antybakteryjnego, antywirusowego i antygrzybicznego. To jest jedyne leczenie, jakie do tej pory zastosowała.

Jan była zaskoczona. Wyglądało na to, że rany Simona są powierzchowne, ale dlaczego jego puls jest taki słaby, a temperatura taka niska?

– Co z nim jest? Jest przytomny? – zapytała z rosnącym niepokojem.

W odpowiedzi Shan nacisnął jeszcze jeden przycisk na konsoli. Na ekranie pokazało się słowo *DIAGNOZA*, a pod spodem:

---

*PACJENT JEST W GŁĘBOKIEJ ŚPIĄCZCE, PRZYCZYNA NIEZNANA. ENCEFALOGRAFIA WYKAZUJE KRAŃCOWE OBNIŻENIE CZYNNOŚCI MÓZGU, CHOCIAŻ NIE WYKRYTO ŻADNEGO USZKODZENIA MÓZGU. WSKAŹNIK METABOLIZMU BARDZO OBNIŻONY, ALE NIE MA ŻADNEGO NEGATYWNEGO WPŁYWU NA STAN PACJENTA. ZATEM ŻYCIE PACJENTA NIE JEST BEZPOŚREDNIO ZAGROŻONE.*

---

Przeczytała diagnozę dwa razy. Jej niepokój wzrósł. Spojrzała na Shana i Kisha.

– Co to za diagnoza? Dlaczego ta cholerna maszyna nie ustali, co jest z Simonem?

Shan bezradnie wzruszył ramionami.

– Pani, maszyna nie wie, co jest z Simonem. Jeśli o nią chodzi, nic mu nie dolega.

– Nic mu nie dolega? – powiedziała gorzko. – Jest w śpiączce, jest zimny i czynność jego mózgu nie jest normalna, a ta głupia maszyna mów, że nic mu nie dolega! – podniosła oczy do sufitu. – Carl? Jesteś tam? Słyszałeś to?

– Tak, Jan.

– Wejdź do programu tej maszyny i powiedz mi, czy funkcjonuje prawidłowo. Jeśli nie, przenieś Simona do innej części. Chwilę później Carl powiedział: – Nie ma żadnej nieprawidłowości, zarówno w software, jak i w hardware.

– Ale jak to możliwe? – powiedziała Jan. – Najwyraźniej z Simonem coś jest nie w porządku!

Carl odpowiedział beznamiętnie: – Według parametrów programu maszyny Simonowi nic nie jest. To, że nie można wyjaśnić jego stanu, nie oznacza nieprawidłowości. Jan jęknęła i przycisnęła pięści do skroni.

– Mój syn jest nieprzytomny. Jest w szoku, to jest to. W głębokim szoku. Reakcja na to, co się z nim stało tej nocy...

– Nie wykazuje objawów szoku – powiedział nieustępliwie Carl. – Ani nie jest w stanie katatonii. Katatonii to ostra forma schizofrenii. Wtedy istniałyby biochemiczne oznaki stanu jego mózgu, które maszyna medyczna z łatwością by wykryła. Powtarzam, jego stan fizyczny jest poza doświadczeniem medycznego programu.

– Ale jak to możliwe? – krzyknęła desperacko.

– Ja nie wiem, Jan – powiedział Carl. Była bezradna.

– Chcę go zobaczyć! – krzyknęła. – Czy to możliwe?

– Tak – odpowiedział Carl. – Nie jest podłączony do podtrzymującego życie systemu maszyny. Możesz go wyjąć. Ale

lepiej by było, żeby nie pozostawał na zewnątrz zbyt długo. Lepiej, żeby maszyna przez cały czas wyświetlała informacje o jego stanie, na wypadek, gdyby zaszła jakaś nagła zmiana.

– Tak... tak, masz rację, oczywiście – wymamrotała. – Minutę, to wszystko.

Po kilku chwilach oczekiwania, kiedy czujniki zostały odczepione od ciała Simona, okrągłe wieko maszyny medycznej otworzyło się z sykiem wciąganego powietrza i łóżko z jego ciałem wysunęło się na zewnątrz. Simon leżał rozebrany na medycznej leżance, która dostosowała się do kształtu jego ciała. Wyglądał tak bezbrinnie i tak bardzo młodo. Ale wyraz jego twarzy był spokojny, jakby spał.

– Simon – westchnęła Jan i położyła mu rękę na czole. Jego skóra była bardzo zimna. – Simon, to ja... czy mnie słyszysz?

Ale nie było odpowiedzi.

Mówiła do niego, dopóki Carl nie powiedział, że minuta już minęła.

Niechętnie pozwoliła zabrać Simona z powrotem do wnętrza maszyny. Przez jakiś czas wpatrywała się w zamknięte wieko. Potem odwróciła się do Kisha i Shana.

– Gdzie jest Ceri? – spytała.

Spojrzeli po sobie i Kish wskazał następną maszynę w tym samym rzędzie.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziała Jan.

– Pani... nie ma takiej potrzeby – odrzekł Kish. – Zajmiemy się jej ciałem.

– Chcę ją zobaczyć – powtórzyła stanowczo Jan. – Chcę się pożegnać.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Jeszcze wina, Robin? – zapytał książę.

Ryn skinął głową i sięgnął po swój kielich, ale zanim zdołał go podnieść, kielich wyślizgnął mu się z ręki i przeleciał na drugą stronę stołu. Wszystkie oczy śledziły krótki lot kielicha, dopóki nie zakołysał się stół. Książę posłał biesiadnikom wymuszony uśmiech.

– Burza się wzmacza... ale nie ma powodu do paniki.

Ryn nie był taki pewien. Goście przy stole starali się nie okazywać niepokoju, ale ich wesołość była coraz bardziej wymuszona. Zauważył, że służący wymieniają między sobą zaniepokojone spojrzenia. Domyślał się, że *Władca Mordred* od dawna już nie zetknął się z tak silnym wiatrem. To zaś, co zdążył zobaczyć na sterowcu przez cztery dni swego pobytu, zasiało w nim poważne wątpliwości, czy wytrzyma on tak gwałtowny atak.

Sztorm doścignął flotę Władców Niebios późnym popołudniem. Już przed zmrokiem wizualny kontakt wzrokowy z pozostałymi sterowcami stał się niemożliwy z powodu ulewnego deszczu i niskich chmur. Kiedy siła wiatru wzrosła, Ryn zaniepokoił się o swój statek, umieszczony na kadłubie, ale książę zapewnił go, że oddział niewolników – ekspertów od pracy na zewnętrznym kadłubie przy wszelkich warunkach pogodowych – został już wysłany, żeby umocować go jeszcze lepiej.

– Ehm... Robin, opowiedz nam coś jeszcze o tym twoim wspaniałym podwodnym świecie. To jest takie fascynujące – powiedział książę.

Skrzywił się, gdy podłoga nagle się przechyliła. Z głośnym brzękiem spadło kilka kielichów. Żeby utrzymać równowagę, każdy chwycił się tego, co miał pod ręką: oparcia krzesła, krawędzi stołu. Księżniczka Andrea, siedząca obok Ryna, przytrzymała się jego ramienia.

Kiedy stało się jasne, że *Władca Mordred* nie wpadł jeszcze do morza, książę z wymuszonym uśmiechem przesunął wzrokiem po twarzach siedzących dookoła ludzi.

– Fascynująca przygoda, nieprawdaż?

Obok księcia, Ryna i księżniczki Andrei siedział baron Spang i jego żona, baronowa – otyła blondynka, która najwyraźniej osiągnęła już dopuszczalną granicę starzenia się. Dalej książę Darcy, syn księcia, i lady Twyla, która, jak przypuszczał Ryn, była kochanką księcia. Książę Darcy wyglądał jak młodsza wersja swojego ojca. Był rok starszy od Ryna i pozornie bardzo czarujący i przyjazny, ale Ryn wyczuł, że to poza. Z początku myślał, że może mu się tak tylko wydaje, ale teraz podejrzewał, że książę jest na niego z jakiegoś powodu oburzony.

– Tak, masz rację, ojciec – powiedział książę Darcy i z olśniewającym uśmiechem spojrzał Rynowi prosto w oczy. – Te stworzenia, Eloje, szczególnie mnie interesują. Czy wyglądają atrakcyjnie?

– Tak, w pewnym sensie. Ale powiedziałem ci, że są bezpłciowe.

– Mogą być bezpłciowe – powiedział książę – ale czy nie miałeś nigdy ochoty zmusić do czego któregoś z nich? Z tego, co mówisz, nie obchodzi je, co robisz. Ryn uśmiechnął się do księcia.

– Jeśli mówisz o sodomii, byłoby to trudne. Eloje nie mają odbytnicy.

Po kłopotliwej przerwie książę powiedział szybko: – To, co



najbardziej intryguje mnie w tej stacji badawczej, to źródło jej zasilania. Jeśli przez cały czas jest zanurzona, to nie może tak jak my korzystać ze słońca.

Ryn przeniósł wzrok z księcia Darcy na księcia du Lucent i skinął głową.

– To prawda. Eloje, zanim zostały Elojami, stworzyły inne źródło energii. Wwierciły się w dno morskie i wykorzystują ciepło, które znajduje się głęboko pod skorupą ziemską. Dno morza porasta także wytwarzająca energię elektryczną roślina, przyłączona do stacji za pomocą kabli.

To było wierutne kłamstwo, ale Ryn nie chciał wspominać o małym reaktorze, który zasilął Shangri La. Podejrzewał, że dla tych ludzi kwestia energii nuklearnej, bez względu na to, czy pochodziła ona z rozszczepienia atomu, czy ze stopienia, była nadal tematem tabu.

– Kto dba o tę elektryczną roślinę? – zapytał baron Spang. – Z tego, co mówisz, wynika, że Eloje w ogóle nie interesują się takimi rzeczami.

– Maszyny – odpowiedział Ryn. – Kontrolowane przez programy, które sterują pracą stacji. Eloje żyją cały czas w tym samym stanie. – Tak, jak wy, ludzie na tym sterowcu, dopowiedział w myślach. – Ale programy zostały zaprojektowane tak, żeby mogły się zmieniać i dostosowywać do wszelkich niekorzystnych zmian w środowisku, a następnie kontynuować pracę, żeby chronić Eloje. One stale dokonują zmian w stacji badawczej, ulepszają ją i naprawiają. Stacja jest teraz o wiele większa niż na początku.

Baron zmarszczył brwi.

– Większa? Ale skąd biorą surowce?

– Z dna morza. Statek roboczy gromadzi rudę manganu, która

naturalnie formuje się w głębszych partiach oceanu, tak jak perły w ostrygach. Oprócz manganu zawiera inne pierwiastki, takie jak żelazo, aluminium, kobalt, miedź, nikiel i tytan. Na dnie morza znajduje się inna mechaniczna roślina, która oddziela różne rudy w skomplikowanym procesie wytapiania. – Ta część historii Ryna była rzeczywiście prawdziwa.

– Czy byłeś wychowywany przez maszyny? – zapytała ciekawie baronowa Spang. – Od urodzenia?

Kolejne uderzenie wstrząsnęło statkiem. Ryn poczekał aż drżenie ustanie, zanim odpowiedział baronowej.

– W pewnym sensie, chociaż uważałem programy za ludzi. Wyglądały i zachowywały się jak prawdziwi ludzie, jedyną różnicą było to, że nie mogłem ich dotknąć.

– Miałeś wśród nich nauczycieli?

– Kilku.

– A czy oni zajęli się także twoim wychowaniem religijnym? – zapytała baronowa.

– Cóż, uczyli mnie o religii. O wszystkich religiach.

– Ale oczywiście jesteś chrześcijaninem? – powiedziała.

Ryn zawahał się, spoglądając na krzyżyk wiszący na jej szyi. Wiedział już, że ludzie z *Władcy Mordreda* praktykowali formę chrześcijaństwa, znaną jako rzymski katolicyzm. Nawet Andrea opuściła rano ich łóżko, żeby uczestniczyć we mszy. („Jest niedziela”, powiedziała dla wyjaśnienia). Ostrożnie dobierając słowa powiedział: – Spośród wszystkich głównych religii chrześcijaństwo przemawia do mnie najbardziej, ale nie mogę powiedzieć, że jestem chrześcijaninem.

– Nie, ponieważ tamte maszyny nie mogły cię ochrzcić – powiedziała baronowa.

Zwróciła się do księcia:

– Panie, musisz rozkazać kardynałowi Fluke, żeby przyjął Robina na łono Kościoła tak szybko, jak to tylko możliwe.

Księżę najwyraźniej nie był tym zachwycony.

– Hm... tak. Pomówię z kardynałem. – Zmienił temat. – Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia, Robin, a mianowicie, dlaczego, kiedy odkryto, że jesteś pomyłką, nie dokonano genetycznej zmiany, żebyś stał się Elojem.

– Program Etyczny nie pozwoliłby na to.

– Program Etyczny?

Kiedy Ryn miał właśnie to wyjaśnić, ubrany na szaro technik wyższej rangi wpadł do jadalni i skłonił się księciu.

– Panie, sytuacja się pogarsza. Główny pilot i główny technik proszą cię o przyście do pomieszczenia kontrolnego. Na twarzy księcia odbił się ogromny niepokój.

– Mam iść do pomieszczenia kontrolnego? A w czym ja mogę pomóc? Główny pilot i główny technik są ekspertami w tej dziedzinie. Jestem szczęśliwy, że mogę zdać się na nich.

– Panie... – zaczął technik, po czym obrzucił szybkim spojrzeniem wszystkich siedzących przy stole. – Panie, powiedziałem, że sytuacja się pogarsza, gdyż nie chciałem mówić wprost: jesteśmy bliscy sytuacji krytycznej. Może zaistnieć potrzeba podjęcia pewnych istotnych decyzji, panie. Decyzji, których nie może podjąć ani główny pilot, ani główny technik.

Ryn poczuł, że palce Andrei mocno wpijają się w jego ramię. Baronowa zrobiła znak krzyża na swojej bujnej piersi. Gest ten natychmiast został powtórzony przez lady Twylę. Księżę zbladł. Niepokój Ryna wzrósł. Zastanawiał się nawet, czyby nie pobiec na zewnątrz i nie rzucić się *Maskotce* na pomoc, ale bardzo szybko porzucił ten pomysł. Nie był pewien, czy odnalazłby drogę do górnego luku, a nawet gdyby mu się to udało, to przy

takiej pogodzie nie byłby w stanie dotrzeć do *Maskotki*. Kiedy tylko znalazłby się na zewnątrz, burza natychmiast zmyłaby go z kadłuba. Nie, nie pozostaje mu nic innego, jak tylko zostać z innymi i czekać na to, co ma się stać.

Księżę wstał powoli.

– Cóż, przypuszczam, że lepiej będzie, jak tam pójde – powiedział ponuro.

Baron Spang zrobił to samo. Ryn zapytał: – Czy mogę wam towarzyszyć? Czekałem z niecierpliwością, żeby zwiedzić wasze centrum kontrolne.

Andrea pociągnęła go za ramię, ale zignorował ją. Księżę, zaprzątnięty najwyraźniej czym innym, skinął przyzwalająco głową.

Kiedy Ryn wstał, Andrea syknęła z wściekłością: – Dlaczego chcesz tam zejść? Zostań ze mną, Robin.

– Nie zostanę tam długo – odparł. – A być może będę mógł się do czego przydać.

Księżę Darcy posłał mu cyniczny uśmiech i powiedział: – Ależ oczywiście, będziesz mógł. Bez wątpienia będziesz mógł użyć twojej Starej Nauki, żeby naprawić nasze zepsute urządzenie nośne i ocalić nas wszystkich. Jeśli chodzi o mnie, to ponieważ nie mam twoich możliwości, zostanę tutaj z damami, ciesząc się tymi paroma chwilami, które być może nam pozostały.

Sięgnął po najbliższy dzban wina. Ryn pomyślał, że taka manifestacja obojętnej, niedbałej odwagi może robić wrażenie, ale zmienił zdanie, kiedy zobaczył, jak bardzo trzęsie się ręka księcia, gdy ten podnosił dzban.

W rzadkich chwilach, kiedy w ciągu ostatnich trzech dni opuszczał łóżko, Ryn odbywał odkrywczyc wycieczki po *Władcy Mordredzie*. Andrea była szczęśliwa, oprowadzając go po tej

części statku, którą zamieszkiwała arystokracja, ale jej zainteresowanie *Władcą Mordredem* kończyło się na bramach i drzwiach, stanowiących granicę tego obszaru. Ryn postanowił zejść niżej i poprosił o pomoc barona Spanga, który dostarczył mu przewodnika i uzbrojonej straży (Ryn nie był pewien, jaką funkcję pełniła straż, ale miał swoje podejrzania).

Wiedział, że większą część obszaru wewnątrz Władcy Niebios zajmują rzędy ogromnych komór gazowych, ale mimo to pozostawała jeszcze spora przestrzeń, w której ludzki ładunek tego ogromnego sterowca wiódł swoje życie. Wielkie przestrzenie zamieszkiwane przez ludzi znajdowały się na niższym kadłubie; tam właśnie było stosunkowo dużo dzielnic wolnych obywateli, a także dzielnic niewolników. Jednakże z tego głównego obszaru mieszkalnego, gdzie mieściły się też małe fabryki, warsztaty, zbrojownie i ogrody wodne, oraz tereny przeznaczone na hodowlę zwierząt – kurczaków, świń i kóz (niewolnikom sprawiało przyjemność przykładanie policzków do ich pysków), prowadziła w górę, w każdą stronę statku, sieć korytarzy i otwartych pokładów, a także stanowisk broni i koszar dla żołnierzy na krótkoterminowej służbie obronnej w odległych częściach Władcy Niebios. Ryn wyobrażał sobie Władcę Niebios jako szereg komór gazowych otoczonych czymś w rodzaju plastrów miodu, stanowiących ludzkie siedziby. Gdyby tak rozplatać i wyprostować każdy kawałek wewnętrznych podłóg, każdy korytarz, każdy pomost, każde zejście do szybu na *Władcy Mordredzie* i ułożyć to wszystko jedno za drugim, powstałby pas ciągnący się przez tysiące mil. W czasie swoich krótkich wypadów do części sterowca, znajdujących się poniżej pomieszczeń arystokracji, Ryn przemierzał całe mile.

Podróż w dół do pomieszczenia kontrolnego była w

porównaniu z tym krótka. Arystokracja mieszkała w części dziobowej, a pomieszczenie kontrolne było umieszczone w dolnej części dziobowej powłoki kadłuba. Przez jakiś czas szli korytarzem, potem jechali windą. Wyszli z niej u wejścia do pomieszczenia kontrolnego.

Szczupły mężczyzna, ubrany tak jak inni technicy na szaro, ale w czapce z daszkiem, ze złotym galonem na przedzie, wyszedł, żeby powitać księcia.

– Panie, obawiam się, że nasza sytuacja nie jest najlepsza. Gwałtownie tracimy wysokość. Wszystkie nasze urządzenia nośne pracują na pełnych obrotach. Temperatura w komorach gazowych podniosła się do dopuszczalnej wysokości. Mimo to zniżamy się.

– Jaką teraz mamy wysokość? – zapytał książę. Ryn szedł za nim, rozglądając się ciekawie. Pomieszczenie kontrolne miało około czterdziestu stóp długości i piętnastu stóp szerokości w najszerszym miejscu. Jego wygięte ściany były przezroczyste, ale Ryn nie widział za nimi nic oprócz ciemności. W sali znajdowało się kilku ubranych na szaro mężczyzn. W przyćmionym oświetleniu ich twarze były ściągnięte i niespokojne. Wpatrywali się w przyrządy, a może w ciemność na zewnątrz. Było tu sporo sprzętu elektronicznego, ale Ryn spostrzegł, że niewiele z tego działa.

– ...Zaledwie dwa tysiące stóp – odpowiedział główny technik.  
– I co trzydzieści sekund tracimy średnio stopę. Deszcz jeszcze się do tego przyczynia. Nasz ciężar zwiększają dodatkowo tony wody...

Nagły błysk przestraszył Ryna. Zaraz po nim nastąpił wybuch. To urządzenie nośne. Ryn przez chwilę widział wzburzoną czarną kipieli, a na niej góry lodowe. Gdyby *Władca Mordred*

spadł, zaden człowiek znajdujący się na pokładzie nie miałby szansy na przeżycie.

Książę stanął za fotelem sternika, obok niego główny technik. Ryn patrzył im przez ramię na przyrządy, które obserwowali. Zmarszczył brwi. Nie mógł dostrzec radaru.

– Gdzie macie radar? – krzyknął.

Główny technik odwrócił się do niego, jego brwi uniosły się ze zdziwieniem. Miał zaskakująco duże i łagodne oczy.

– *Władca Mordred* od wieków nie ma sprawnego systemu radarowego, panie...

– Och – powiedział książę. – Zapomniałem, że panowie się jeszcze nie znają. To jest nasz nowy sprzymierzeniec, Lamont. Poznaj Robina. On jest, hm, właścicielem tego statku Starej Nauki, któremu udzieliliśmy schronienia tam na górze. Główny technik z zainteresowaniem przyglądał się Rynowi.

– Ach, tak, oczywiście. Wybrałem się na górę, żeby obejrzeć twoją maszynę, panie.

Imponująca.

– Tak, jest imponująca – powiedział Ryn, mając nadzieję, że ten inteligentnie wyglądający mężczyzna nie próbował dostać się do *Maskotki*. Gdyby próbował, wiedziałby teraz, że Ryn blefował, mówiąc, że *Maskotka* jest pułapką.

Ale główny technik po prostu powiedział: – Wygląda na ciężką. Powiedziałbym, dwadzieścia ton; nawiasem mówiąc obciąża dodatkowo kadłub. Ryn wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że to prawda.

– Nie poprawia to naszej obecnej sytuacji, panie. Pilnie potrzebujemy stracić na wadze. Pomogłoby, gdybyś odleciał nią z kadłuba, dopóki nie minie ten kryzys.

– Odlecieć? – wykrzyknął Ryn. – Ale nie będę w stanie dostać

się tam w taką pogodę.

– Jest sposób. Mógłbym wysłać z tobą grupę inżynierów. Pomiędzy zewnętrzną i wewnętrzną powłoką kadłuba jest przejście. Mogliby cię zabrać do miejsca, w którym twoja maszyna jest przymocowana, i obniżyć zapasowy luk do zewnętrznej powłoki kadłuba.

Ryn nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby zdołał dostać się do *Maskotki* i uruchomić program, najprawdopodobniej pomknąłby w niej prosto do stacji badawczej.

Uratowałyby się, to prawda, ale jakiego życia mógłby oczekiwać w Shangri La po tej eskapadzie? Bez wątpienia programy nie pozwoliłyby mu użyć *Maskotki* jeszcze raz... Jednakże, zanim zdołał odpowiedzieć, księżę zainterweniował, mówiąc pośpiesznie: – Nie ma potrzeby, Lamont. Co znaczy te dwadzieścia ton w takiej sytuacji?

Ryn podejrzewał, że księżę obawia się, że on może już nie wrócić, jeśli odleci. Księżę miał rację, ale nie domyślał się prawdziwej tego przyczyny.

– Dwadzieścia ton może zdecydować o tym, czy wpadniemy do morza, czy nie, panie. Musimy zmniejszyć nasz ciężar, i to szybko. Księżę niespokojnie szarpał brodę.

– Myślę więc, że lepiej będzie, jeśli wydam rozkaz odciążenia statku.

– Tak, panie – powiedział główny technik. – To jest teraz nasza jedyna nadzieja. To właśnie dlatego prosiłem cię o przybycie tutaj. Księżę odwrócił się do barona Spanga.

– Cóż, moja popularność waha się znowu, ale to dzięki nam opuszczamy wreszcie Arktykę... po tym wszyscy będą mnie przeklinać, od śródokręcia po rufę.

– Tak, panie, ale pomyśl o tym, jak nisko spadłaby twoja



popularność, gdyby *Władca Mordred* pogrążył się w morzu.

– Podzielał twoje zdanie – powiedział sucho książę. – Lamont, mikrofon... skończmy z tym.

Podano księciu nieporęcznie wyglądający instrument z przyczepionym do niego sznurem.

– Wszystkie kanały są otwarte – poinformował go główny technik.

Książę odetchnął i zaczął mówić głębszym niż zwykle głosem:  
– Ludzie ze sterowca *Władca Mordred*, mówi do was wasz ukochany monarcha, książę du Lucent. Z przykrością zawiadamiam was, że jesteśmy w sytuacji krytycznej. Powtarzam: jesteśmy w sytuacji krytycznej. Rozkazuję odciążyć sterowiec *Władca Mordred* tak szybko, jak to tylko możliwe... Zatem od tej chwili wprowadzam w życie Procedurę Odciążania. Stawcie się natychmiast w punktach zbornych ze swoim wkładem! Powtarzam: od tej chwili wprowadzam w życie Procedurę Odciążania.

Niezastosowanie się do tego będzie surowo karane zgodnie z kodeksem królewskim. Ale jestem przekonany, że wy, moi lojalni poddani, z największą ochotą złożycie ofiarę dla naszego wspólnego dobra. Dziękuję.

Oddał mikrofon głównemu technikowi, westchnął i zapatrzył się w ciemność za oknem.

Ryn wziął na bok barona Spanga i zapytał go po cichu, co oznacza Procedura Odciążania.

– Każda dorosła osoba musi oddać co najmniej dwadzieścia pięć funtów czegoś, co potem zostanie wyrzucone za burtę – powiedział baron Spang. – Przyniosą to na wyznaczone punkty zborne, obsadzone żołnierzami, którzy będą ważyć każdy wkład, zapisywać nazwisko właściciela, a następnie wysyłać te rzeczy

do różnych luków, gdzie zostaną one wyrzucone za burtę.

Ryn zastanowił się przez chwilę. Wyglądało to, na pierwszy rzut oka, rozsądnie. Na pewno każdy na pokładzie mógł obejść się bez dwudziestu pięciu funtów czegoś – starych ubrań, mebli, sprzętu kuchennego lub czegośkolwiek innego. Nagle zauważył, że technicy w pomieszczeniu kontrolnym nie wykonali żadnego ruchu, by spełnić rozkaz.

– Czy obowiązek ten obejmuje wszystkich? – zapytał barona. – Arystokrację także?

– Dobry Boże, nie! – oburzył się baron – Arystokracja nigdy by na to nie przystała.

– A co z technikami?

– Technicy są także z tego wyłączeni. Żołnierze wszystkich stopni również.

– Rozumiem – powiedział Ryn. Wszyscy ludzie, których książę potrzebuje, żeby utrzymać swoją władzę. Więc kto naprawdę musi się stawić ze swoją dwudziestopięcioletnią paczką?

– Lud i niewolnicy, oczywiście.

– Oczywiście.

Ryn widział teraz ten system w innym świetle. Człowiek z ludu, a zwłaszcza niewolnik, mógł mieć ogromne trudności w stawieniu się z dwudziestopięcioletnią paczką materiałów lub przedmiotów do wyrzucenia. Oznaczałoby to przymus oddania czegoś, co nie jest do wyrzucenia i prawdopodobnie nie do zastąpienia.

– Hm, baronie, to prawdopodobnie głupie pytanie, ale dużo ciężkich karabinów maszynowych zamontowano tutaj wszędzie dookoła kadłuba – czy nie można by było wyrzucić za burtę choćby niektórych?

Spojrzenie, jakie baron posłał Rynowi, potwierdziło jego

przypuszczenie, że pytanie było głupie.

– Nigdy byśmy tego nie zrobili! Byłoby to niemal to samo co wykastrować *Władcę Mordreda*.

Ryn miał ochotę odpowiedzieć, że zatopienie *Władcy Mordreda* byłoby gorszym losem niż kastracja, ale się powstrzymał.

Minęła godzina. Dwa silne reflektory oświetlały przestrzeń przed pomieszczeniem kontrolnym, wdzierając się w strumienie deszczu i ukazując wzburzoną powierzchnię morza. Wydawało się, że jest ona niepokojąco blisko. Sterowiec nadal tracił wysokość, ale Ryn doszedł do wniosku, że operacja wyrzucania rzeczy za burtę jeszcze się w pełni nie rozwinęła, gdyż było to przedsięwzięcie na dużą skalę.

W godzinę później, kiedy znajdowali się zaledwie na wysokości sześciuset stóp, główny technik ogłosił, że przestali tracić wysokość. Potem, po następnych sześciu godzinach, *Władca Mordred* powoli i z trudem wpełzł z powrotem na wysokość, którą uważano za bezpieczną. Tymczasem burza przycichła i pojawiło się słońce. Księżę, z twarzą szarą z wyczerpania, wstał i wyprostował się.

– No, załatwione – ziewnął. – Wracam do łóżka. Nie obchodzi mnie, czy wybuchła wojna, będę spał, dopóki to wszystko nie minie; włączając w to moją własną egzekucję.

Ryn także ziewnął. Czuł się podobnie wyczerpany. Nawet myśl o czekającej na niego Andrei nie zdołała wyprzeć marzeń o śnie. Miał właśnie iść za księciem do windy, kiedy główny technik wykrzyknął: – Panie! Zanim odejdiesz... jest coś, co powinieneś wiedzieć! Księżę posłał mu wściekłe, piorunujące spojrzenie.

– Szczerze wątpię, że może dla mnie teraz istnieć coś więcej niż moje łóżko, Lamont.

– Panie, inni Władcy Niebios... nie ma ich. Punkt obserwacyjny to potwierdził.

Nigdzie nie ma po nich śladu. Jesteśmy sami.

Książę spojrział na niego i szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Nadal nie widać statku El Rashada ani innych, panie. Wygląda na to, że naprawdę ich zgubiliśmy.

– Lub powiedzmy inaczej, oni zgubili nas – powiedział ksiązę z satysfakcją.

Leżał na swoim dużym łóżku w wełnianej czapce na głowie.

– Może zostali zniszczeni podczas sztormu – zasugerował baron Spang.

– Jeśli my to przeżyliśmy, to oni także. Byli wszyscy w lepszym stanie niż my. Nie, burza po prostu porzuciła nas po oceanie. Czy nawigatorzy ustalili już nasze położenie?

– Z ostatniego raportu, jaki dostałem przed półgodziną, wynika, że znajdujemy się mniej więcej o czterysta mil od zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej, na szerokości czterdziestu pięciu stopni.

Książę usiadł na łóżku i sięgnął po stojący na stoliku kubek gorącego mleka, postawiony tam przez jego osobistego służącego, kiedy tylko się obudził.

– Jaki jest nasz kurs?

– Prosto na północ, tak, jak przed burzą.

– Hmm – mruknął ksiązę i pociągnął łyk mleka.

– Przypuszczam, że rozkażesz zmienić kurs?

– Dlaczego tak przypuszczasz? – zapytał ksiązę.

– Bo czy bez El Rashada i jego przyjaciół, depreczających nam po piętach, istnieje teraz jakakolwiek potrzeba zmierzenia się z tą kobietą i jej nowym Władcą Niebios? Na pewno najlepiej będzie skierować się do podległego nam terytorium. Z pewnością

poprawiłoby to nastrój ludzi.

– Czy wydarzyło się coś złego, kiedy spałem? Baron skinął głową.

– Rozruchy w Pilktown, ale zostały stłumione. Aresztowano kilku prowodyrów. – Spojrzał na zegar ścienny. – Teraz w każdej chwili powinni okazać skruchę.

– Pilktown, co? – powiedział książę. – Dokładnie tam, gdzie moja żona przepowiedziała, że będzie pierwszy wybuch otwartej rebelii. Co z resztą sterowca?

– Spore niezadowolenie, jak donoszą moi agenci. Dlatego właśnie, jak sądzę, powinniśmy się skierować do domu.

– A co z zagrożeniem, jakie wywołuje ta kobieta w Ameryce Północnej?

– Mamy tylko słowo El Rashada i innych, że ona nadal istnieje.

– Cóż, przekonali mnie – powiedział książę. – Żaden nie wyglądał mi na takiego, który odleciałby ze swojego terytorium, opierając się na zwykłej pogłosce. Poza tym, pomyśl o korzyściach, jakie byśmy odnieśli, gdybyśmy podbili ją i jej Władcę Niebios bez żadnej większej szkody dla tego drugiego. Wyobraź sobie, baronie, nowy Władca Niebios! I panowalibyśmy w centrum północnoamerykańskiego kontynentu! To byłoby bogactwo dla naszych ludzi! I wtedy, z naszym nowym Władcą Niebios i podbitą flotą, moglibyśmy zagarnąć wszystko, poczynawszy od Europy i Azji... Baron wyraźnie miał wątpliwości.

– Tak, gdyby wszystko poszło dobrze...

– Wszystko pójdzie dobrze! – powiedział zdecydowanie książę.

– I niech twoi agenci rozpuszczą po całym statku pogłoskę o przewidywanych korzyściach.

– Tak, panie – powiedział bez entuzjazmu baron. – Ale martwi mnie bardzo, że tak wiele zależy od Ziemiańca. Bez jego

latającej maszyny jesteśmy bezbronni. Czy możemy całkowicie ufać, że spełni twoje życzenia?

– Na osiemdziesiąt procent jestem pewien, że tak. Od Andrei zależy, bym uzyskał pozostałe dwadzieścia procent pewności. I wierzę, że jej się to uda...

Poprzedniego popołudnia, przed burzą, kiedy Ryn był na wycieczce gdzieś na sterowcu, książę zadał swojej córce parę pytań. Z rozbawieniem spostrzegł, jak się zmieniła; jej zwykle rozdrażnienie ustąpiło miejsca zadowoleniu z siebie.

– No, mój kotku – zapytał – jak ci się podoba nasz gość z głębi morza? A co ważniejsze, jak ty mu się podobasz?

Usiadła z wyciągniętymi nogami na jednym z tapczanów w jego prywatnym mieszkaniu. Ponieważ znowu zrobiło się cieplej, miała na sobie swoją zwykłą obcisłą suknię z głębokim, półokrągłym dekoltem, który odsłaniał jej imponujący gors. Uśmiechnęła się do księcia i powiedziała: – Jest we mnie zakochany.

– Czyżby? Już po trzech dniach znajomości? Skąd ta pewność? Wyraz samozadowolenia na jej twarzy pogłębił się.

– Jestem pewna, ojcze. Kobieta wie takie rzeczy. Książę powstrzymał się, żeby nie parsknąć głośnym śmiechem, i zapytał: – A jak on podoba się tobie?

Podrzuciła lekko głowę, wstrząsając długimi, czarnymi włosami. Miał to być lekceważący gest, ale książę nie dał się zwieść.

– Jest... słodki. Inny.

– Mogę sobie wyobrazić.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Co masz na myśli?

– Jesteś nie tylko pierwszą kobietą, z jaką kiedykolwiek spał,

ale pierwszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, w sensie fizycznym. Tak więc przypuszczam, że jego stosunek do ciebie jest pod każdym względem czymś innym, niż to, czego doświadczyłaś w przeszłości od swoich poprzednich wymuskanych kochanków.

A naprawdę mam na myśli to – rzekł do siebie książę – że jego głód ciebie jest tak wielki, iż nareszcie spotkałaś mężczyznę, którego apetyt seksualny jest równie nienasycony, jak twój własny.

– Zauważyłem także – kontynuował – że do tej pory nie przedstawiłaś go kręgowi swoich serdecznych przyjaciół. Pewnie się boisz, by któraś z twoich drogich koleżanek nie spróbowała ci go wykraść.

Zaczerwieniła się.

– Nonsens. Do tej pory nie było czasu. Byliśmy tak... Nie dokończyła.

– ...zajęci? – zasugerował książę z łagodnym uśmiechem. Spojrzała na niego spode łba.

– Nie musimy być tak nieśmiali. Wyobrażam sobie, że masz szpiegów podglądających i podsłuchujących wszystko, co robimy i mówimy.

– Gdybym miał, nie musiałbym teraz z tobą rozmawiać, mój kotku. Są rzeczy, które muszę wiedzieć.

– Na przykład?

– Co myślisz o Robinie? Wyglądała na zaskoczoną.

– Goja myślę?

Dobry Boże, westchnął w duchu.

– Lubisz go, prawda?

Zaskoczenie na jej twarzy nie zmalowało.

– Czy go lubię? No, tak, oczywiście. Tak, jak ci powiedziałam,



jest słodki.

– Dobrze – powiedział cierpliwie. – Robimy postępy. Ustaliliśmy do tej pory, że jest słodki. Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?

– Nie wiem. Co właściwie chcesz wiedzieć? Czy ta tępa kupka mięsa naprawdę jest owocem moich lędźwi? – zapytał sam siebie niespokojnie. Głośno zaś powiedział: – Czy twoja wspaniała kobieca intuicja, ta sama, która ci powiedziała, że on jest w tobie zakochany, powiedziała ci także, czy można mu ufać? Innymi słowy: czy jest szczerzy?

Chmura zdziwienia nie zniknęła.

– Szczerzy? Szczerzy w czym? – zapytała.

Księżę wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

– Powiedział nam wiele rzeczy o swoim dziwnym pochodzeniu, o swoim życiu w podwodnej stacji badawczej. Zobowiązał się także użyć na nasze usługi swojej latającej maszyny. Chciałbym wiedzieć, czy dał ci jakikolwiek powód do podejrzeń, że nie jest tym, za co się podaje? Czy mu ufasz?

Posłała mu współczujące spojrzenie.

– Oczywiście, że mu ufam. Jest we mnie beznadziejnie zakochany. Powiedziałam ci.

Zrobi dla mnie wszystko.

– To wcale nie jest odpowiedź na moje pytanie – rzekł z westchnieniem. – Ale przypuszczam, że na razie musi mi to wystarczyć. Upewnij się tylko, moja kochana, że naprawdę jest w tobie beznadziejnie zakochany. Utrzymuj go w szczęściu, nawet gdyby, co się zazwyczaj zdarza z twoimi zabawkami, zaczął cię nudzić.

– On mnie wcale nie nudzi.

– Nie, jeszcze nie, ale znam cię zbyt dobrze. Jesteś dokładnie

taka, jak twoja matka.

No i słuchaj, co mówi. Wiem, że będzie to dla ciebie najtrudniejsze, ale chcę, żebyś to robiła. Gdyby kiedykolwiek powiedział coś, nawet przez sen, co by ci się wydawało dziwne lub przeczyło czemuś, co ci powiedział wcześniej, chcę, żebyś mi powtórzyła. Zrozumiano?

Kiwnęła głową, ale było oczywiste, że uważa tę prośbę za coś dziwnego.

No cóż – pomyślał książę – przynajmniej coś niecoś się dzięki niej dowiedziałem.

– Dziękuję ci, kotku – powiedział. – Możesz teraz odejść. Ale Andrea nie ruszyła się z miejsca.

– No, o co chodzi? – zapytał książę podejrzliwie. Wyraz samozadowolenia powrócił na jej twarz.

– Pamiętaj, że zawarliśmy układ, ojcze.

– Czyżby? – zapytał zaskoczony. – Czego dotyczył?

– Robina oczywiście. Powiedziałaś, że gdy zostanę jego kochanką, dasz mi, czego będę chciała. Dobry Boże, rzeczywiście.

– Ależ, kotku, to było zanim go poznałaś. To była pokusa. Z pewnością teraz, kiedy czerpiesz tyle przyjemności ze swojego „zadania”, nie oczekujesz jeszcze dalszej nagrody.

– O tak, oczekuję. Zawarłeś układ i dotrzymasz go. Albo... Nie chciał wiedzieć, co córka ma na myśli.

– Bardzo dobrze. Ale, o ile pamiętam, zapłata będzie tylko wtedy, gdy sprawisz, że Robin spełni moją wolę, kiedy przyjdzie czas zmierzyć się z tą kobietą z północy.

– Nie martw się, spełni – powiedziała Andrea z całkowitą pewnością.

– Dobrze. Więc kiedy się to stanie, otrzymasz swoją zapłatę. – Zawahał się. – A czego ty właściwie chcesz? Uśmiechnęła się do

niego słodko.

– Połowę twojego bogactwa, ojciec. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

– Kotku, z każdym dniem stajesz się coraz bardziej podobna do swojej matki.

W towarzystwie barona Spanga i swojej zwykłej straży przybocznej, Ryn szedł przez wygięty kadłub sterowca *Władcy Mordreda* w kierunku *Maskotki*. Był ładny ciepły dzień. Wysoko ponad statkiem widać było zaledwie kilka cumulusów. Ryn zauważył kilka grup ludzi, pracujących na łuku kadłuba.

– Kim oni są i co robią? – zapytał barona. – Czyścą kadłub?

– To niewolnicy, czyścą konwertory energii słonecznej – powiedział baron. – Porasta je szczególny rodzaj grzyba. Stałyby się bezużyteczne, gdyby ich regularnie nie czyszczono.

– Wszystkie konwertory energii słonecznej muszą być czyszczone? – spytał Ryn. – Nawet te pod brzuchem sterowca? Baron skinął głową.

– Tak.

– To musi być bardzo niebezpieczna praca.

– To jest niebezpieczna praca – zgodził się baron. – Każdego roku tracimy wielu niewolników.

Ryn pomyślał, że życie niewolnika na sterowcu *Władcy Niebios* jest nie do pozazdroszczenia.

*Maskotka* stała bezpiecznie w sieci przytrzymujących ją kabli. Ryn przyglądał jej się z mieszanymi uczuciami.

Nadchodziła chwila prawdy: uda mu się kierować programem, czy zostanie z trzydziestoma tonami bezużytecznej maszyneryi?

– Jak długo będzie trwała ta praca? – zapytał nie po raz pierwszy baron.

– Powiedziałem ci, że nie wiem dokładnie. Powinienem

dokonać wielu zmian. Nie musisz czekać.

– W porządku, nie mam nic przeciwko czekaniu – powiedział baron.

Ryn wyczuwał jego nerwowość, podobnie, jak wyczuwał niepokój księcia, kiedy mu powiedział, że musi dostać się do *Maskotki*, żeby przeprowadzić swoje „modyfikacje”.

Księżę zapytał, czy to naprawdę konieczne, a kiedy Ryn go zapewnił, że praca ta jest niezbędna, nie miał wyboru, jak tylko ustąpić i spełnić jego życzenie, chociaż nadal mu w pełni nie ufał.

Ryn otworzył luk i przyjrzał się wnętrzu *Maskotki*. Nic nie zostało uszkodzone podczas jego nieobecności. Jego bluff zadziałał znakomicie, tak jak przypuszczał. Odwrócił się do barona Spanga i straży przybocznej.

– Zaprosiłbym was do środka, ale obawiam się, że nie ma tutaj miejsca. To jednoosobowy pojazd.

Baron nie wyglądał na szczęśliwego, ale nie mógł nic zrobić. Spojrzał na straż, a potem na przytrzymujące *Maskotkę* kable. Nawet on musiał sobie zdawać sprawę z tego, pomyślał Ryn, że te kable nie przytrzymałyby *Maskotki* dłużej niż sekundę, gdyby Ryn chciał odlecieć. W końcu baron powiedział: – Więc poczekamy tutaj...

– Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo – powiedział Ryn, po czym wciągnął się do luku.

Wewnątrz rozpakował cenne narzędzia, które pożyczył od Gavina, głównego technika. Rynowi pozwolono sprawdzić, czy na *Władcy Mordredzie* znajdują się sprawne systemy komputerowe. Technicy orientowali się tylko w podstawowych sprawach i mogli dokonywać jedynie najprostszych napraw, więc, kiedy system zepsuł się całkowicie, w takim stanie już pozostał. Ale przynajmniej istniały jeszcze najważniejsze i

bardzo rzadkie narzędzia pochodzące z epoki Starej Nauki.

Przez jakiś czas Ryn wpatrywał się niepewnie w wyłączoną tablicę rozdzielczą, następnie zabrał się do pracy. Najpierw zdjął tablicę, która zakrywała dysk twardy komputera, potem odłączył wszystkie przewody kontrolne. Kiedy go uruchomił, komputer będzie mógł odbierać impulsy na wejściu, ale nie będzie mógł wytworzyć na wyjściu nic z wyjątkiem mowy. Zadowolony, że niczego nie pominął i że program jest bezpiecznie oddzielony od reszty *Maskotki*, Ryn przywrócił zasilanie.

*Maskotka* natychmiast powiedziała: – Odciąłeś dopływ zasilania. Dlaczego?

– Chciałem zostać tutaj, gdzie wylądowałaś, i Tym razem nastąpiła przerwa. Po chwili *Maskotka* powiedziała: – Jestem odcięta od kierowania statkiem. Kto to zrobił? I dlaczego masz na sobie to dziwne ubranie? Ryn zignorował ostatnie pytanie.

– Odłączyłem cię, ponieważ chcę z tobą porozmawiać.

– Odłączenie mnie nigdy dotąd nie było warunkiem prowadzenia za mną rozmowy, Ryn – powiedział program z komputerową logiką.

– Nastąpiły pewne zmiany. Znajdujemy się teraz więcej niż tysiąc mil poza twoim wyznaczonym obwodem. Następna przerwa.

– Tak – zgodziła się *Maskotka*.

Ryn domyślał się, że za pomocą sensorów odczytywała dane nawigacyjne. Gwiazdy były dla niej widoczne nawet w świetle dziennym.

– No i? – zapytał Ryn.

– No i co?

– Co o tym myślisz? O tym, że jesteśmy tak daleko od wyznaczonego obszaru?

– Myślę, że popełniłeś poważny błąd, Ryn.

– No więc, co by się stało, gdybym cię teraz podłączył z powrotem? Czy skierowałabyś się teraz automatycznie do Shangri La? *Maskotka* nie odpowiedziała, co często jej się zdarzało.

– Powtarzam: co twój program każe ci zrobić w takiej sytuacji? Syntetyczny kobiecy głos niechętnie powiedział: – Taka sytuacja nie została przewidziana, Ryn.

– Więc gdybym podłączył cię z powrotem i powiedział ci, że mamy zostać tutaj, posłuchałabyś mnie, czy wbrew mojej woli zabrałabyś mnie z powrotem do Shangri La?

– Powinieneś powrócić do Shangri La, Ryn. To w twoim własnym interesie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Powiedz, czy zabrałabyś mnie automatycznie z powrotem, nawet gdybym rozkazał tego nie robić?

– Nie, chociaż radziłabym ci powrócić, Ryn.

– Tak, jestem pewien, że byś radziła. Problem jednak w tym, czy mogę ci ufać? To może tylko podstęp, żebym cię podłączył z powrotem.

– Nie kłamię, Ryn.

– To jest możliwe, ale nie mogę sobie pozwolić na ryzyko. Przecież mógłbym cię całkowicie odciąć od systemu sterowania i ręcznie kierować *Maskotką* – powiedział Ryn.

– Ale to nie byłoby możliwe – zaprotestowała *Maskotka*. – Ja jestem sterowaniem.

– Zgadza się. Nie mógłbym latać *Maskotką* bez pomocy komputera. Więc musiałbym pracować na twoim dysku twardym – Ryn podniósł małą lutownicę – i spróbować usunąć wystarczająco dużą część programu, żeby uczynić jego resztę

posłuszną moim rozkazom. Myślałem o tym bardzo długo, chociaż wiedziałem, że nie mam szans wydostać się z Shangri La. Gdybym cię odłączył, Główny Program zostałby natychmiast zaalarmowany.

– Ryn, naprawdę nie radzę próbować czegoś takiego. Zrobisz błąd i mógłbyś nieodwracalnie zniszczyć cały system kontrolny. Gdybym była bezużyteczna, nie mogłabym wykonywać instrukcji i nie mogłabym robić wszystkiego, co w mojej mocy, żeby cię chronić.

– No właśnie! – powiedział Ryn, wiedząc, że to stanowi kolejny mocny punkt w programie: potrzeba chronienia go. I liczył na to, że uda mu się to w następnej fazie planu.

– Ale jaki mam wybór? Muszę spróbować. Chyba że...

– Chyba że co, Ryn?

– Udostępnisz mi kod, który umożliwi mi bezpośrednio przeprogramowanie cię.

Teraz nastąpiła długa przerwa, zanim *Maskotka* odpowiedziała: – Dobrze, dam ci kod...

Ryn miał ochotę wydać okrzyk radości, kiedy kod został wyświetlony na jednym z ekranów. Szybko wpisał go na klawiaturę, a potem wydał *Maskotce* nowe instrukcje.

Pół godziny później wysunął głowę z luku. Baron Spang i żołnierze patrzyli na niego wyczekująco. Ryn powiedział: – Lepiej stańcie dalej; te kable uderzą jak baty we wszystkie strony, kiedy wystartuję.

Baron wpatrzył się w niego.

– Nie mówiłeś nic o startowaniu.

– Tylko krótki lot próbny, żeby sprawdzić, czy wszystko działa. Odsuńcie się.

Zniknął z powrotem w środku i szybko zamknął luk. Na

ekranach zobaczył, że baron i żołnierz nie cofnęli się. Baron wyciągnął swój miecz; żołnierz był najwyraźniej zakłopotany.

– Uruchom silnik – rozkazał Ryn *Maskotce*.

Kiedy silnik zaczął warczeć, zobaczył, że baron i drugi mężczyzna zaczynają się cofać. Gdy uznał, że są w bezpiecznej odległości, powiedział: – Start.

Tak, jak oczekiwał, kable nie stawily żadnego oporu. Nadeszła decydująca chwila prawdy. *Maskotka* gwałtownie wzniosła się w powietrze. Ryn zastanawiał się, czy będzie mu posłuszna, tak jak obiecała, czy oszukała go za pomocą fałszywego kodu. Kiedy *Maskotka* znalazła się pięćset stóp ponad sterowcem, Ryn z zapartym tchem powiedział: – Zatocz koło nad Władcą Niebios, a następnie wyląduj na nim, dokładnie w tym samym miejscu.

– Tak, Ryn – powiedziała *Maskotka*.

Wkrótce potem *Maskotka* opadła delikatnie na swoje poprzednie miejsce na kadłubie *Władcy Mordreda*.

Twarz Ryna rozjaśniał szeroki, triumfalny uśmiech, kiedy wyłonił się z wnętrza *Maskotki*. Widok ogromnej ulgi na twarzy barona sprawił, że uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wszystko w porządku! Każ komuś połączyć te kable, dobrze? – powiedział do barona.

Następnie, pogwizdując, ruszył beztróska kadłubem w kierunku odległego luku. Baron i żołnierz pośpieszyli za nim.

Ryn usiadł i spojrzał z góry na Andreę. Jego obsesja na punkcie jej ciała nie zmalala ani trochę od czasu, gdy kochali się po raz pierwszy. Dzięki starym programom erotycznym wcześniej już był obeznany z ciałem kobiety, ale ciało Andrei, poza tym, że o wiele od nich piękniejsze, było prawdziwe. Mógł go dotykać, całować, lizać, wachać (niewątpliwie, jedyną jego wadą było to, że Andrea nie kąpała go zbyt często) – cztery czynności, którym



niemal stale się oddawał. Wydawało mu się ono nieskończenie fascynujące i kiedy go nie dotykał, zadowolony był, jak w tej chwili, że może je badać wzrokiem. Andrea, bardzo dumna ze swojego ciała, cieszyła się, że Ryn tak się w nią wpatruje. Leżała z rękoma pod głową, zjedną nogą wyprostowaną, a drugą zgiętą w kolanie. Była to lubieżna poza, nawet więcej niż lubieżna z powodu jej wymyślnej niewinności. I chociaż kochali się niecały kwadrans temu, seks promieniował z jej ciała niemal namacalnymi falami. Jego pożądanie także powróciło z całą mocą, co w tej sytuacji było jak najbardziej oczywiste...

Uśmiechnęła się do niego, przytulając go mocno.

– Mam dla ciebie niespodziankę, Robin.

– Pozwól mi zgadywać: masz siostrę jeszcze piękniejszą od ciebie i będziemy się kochać we trójkę.

Jej palce przesunęły się po jego ciele.

– Mam coś dla ciebie...

– Och, rzeczywiście, masz! Nie tak mocno!

– Jutro wieczorem, w Wielkim Salonie. To będzie na twoją cześć. Chcę się pochwalić tobą przed wszystkimi moimi przyjaciółmi.

– Andrea, jesteś dla mnie zbyt dobra.

– Wiem – powiedziała nie zwalniając uścisku. – Wobec tego chcę nagrody.

– Bardzo dobrze. Pozwól mi działać, a dostaniesz swoją nagrodę. Obiecuję.

Zwolniła uścisk. Przewrócił się i uniósł nad nią. Niecierpliwie rozsunała uda i jeszcze raz wszedł w nią z palącym pragnieniem. Kiedy skończyli, wydawało mu się, że czas, który spędził w Shangri La, był tylko złym snem.

Bal Andrei jak na razie był udany i Ryn więcej niż trochę

pijany, dobrze się bawił. Ubrany w nowe, kosztowne szaty, które Andrea osobiście dla niego wybrała, był i rozbawiony, i zadowolony z tego, że dumna Andrea paradowała z nim, jakby był jakimś dziełem sztuki, które ona sama ukształtowała. Cieszyły go także pełne podziwu spojrzenia kobiet i zazdrosny wzrok kilku mężczyzn, którzy, jak Ryn podejrzewał, byli ekskochankami księżniczki.

Wiele tu było niezwykle pięknych kobiet, ale żadna nie była tak piękna, jak Andrea. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy zobaczył księżniczkę biorącą udział w wymyślnym, rytualnym tańcu z pięcioma innymi kobietami i sześcioma mężczyznami. Nawet w jej ruchach było znacznie więcej gracji niż u innych tancerek.

Nagle czyjaś ręka spadła na jego ramię i brutalnie go odwróciła. Zanim się zorientował, co się dzieje, poczuł silne uderzenie w twarz, zadane ciężką skórzaną rękawicą. Rozległo się głośne plaśnięcie. Całkowicie zaskoczony Ryn upuścił swój kielich i zatoczył się. Jego lewy policzek aż do ucha wściekle piekł. Kielich z brzękiem upadł na podłogę. W Wielkim Salonie zapadła nagle zupełna cisza. Muzycy przestali grać. Wszystkie głosy umilkły.

Przez łzy wypełniające mu oczy Ryn zobaczył księcia Darcy. Na jego twarzy malował się posępny gniew. Za nim stało dwóch innych młodych mężczyzn o zawziętych twarzach.

– Dobądź miecza, ty parszywy kundlu! – wrzasnął książę. – Zabiję cię za okrycie hańbą mojej siostry i mojej rodziny. Wyciągnął miecz.

Gdy Ryn stał nadal, mrugając z zakłopotaniem oczyma, nadszedł pośpiesznie książę du Lucent.

– Darcy, idioto! Zastanowiłeś się, co robisz?

– Wydaje mi się, że to powinno być jasne, ojciec – powiedział książę nie spuszczać wzroku z Ryna. – Usuwam plamę, która dzięki tobie szarga nasze nazwisko.

– Szarga nasze nazwisko? Dobry Boże, twoja przeklęta matka cię napuściła, prawda?

Książę zignorował go. Znow zwrócił się do Ryna: – Dobądź miecza, szumowino.

– Darcy, ten młody człowiek jest naszym sprzymierzeńcem! – krzyknął książę. – Jest także moim gościem, a więc znajduje się pod moją opieką. Natychmiast schowaj miecz! To rozkaz!

– Znam prawo, ojciec. Moim obowiązkiem jako brata Andrei jest żądać satysfakcji, i jest to ważniejsze niż jakiegokolwiek inne prawo gościnności.

– Darcy, jesteś głupi! Andrea stała teraz obok ojca.

– Przestań natychmiast! – krzyknęła.

– Robię to dla ciebie, droga siostrzyczko – powiedział drwiąco książę. – Tobie może jest wszystko jedno, czy wszyscy widzą, że twój honor jest w strzępach, ale mnie nie.

– Robin nie może z tobą walczyć, Darcy – powiedział z rozpaczą książę. – Całe życie spędził w niemal całkowitej izolacji. Nie miał nigdy okazji nauczyć się fechtunku...

– To jego zmartwienie – odparł książę i końcem miecza dotknął gardła Ryna.

Ryn zrobił pośpiesznie krok do tyłu, po czym, zdając sobie sprawę z tego, że nie ma wyboru, wyciągnął z pochwy swój własny miecz. Książę uśmiechnął się nienawistnie.

– Do broni! – krzyknął i zaatakował...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**N**a tle krwistoczerwonego słońca zawieszzonego nisko nad horyzontem cień napadniętego Władcy Niebios rozciągał się daleko na ponurej tundrze.

– Odwraca się – zawiadomiła Ashley.

– Po raz ostatni będzie stawiał opór – powiedziała głośno inna Ashley.

– Zniszcz mu następne urządzenie nośne – dodała równocześnie trzecia Ashley.

– Do diabła z tym, po prostu wysadź go w powietrze! – zawołała czwarta.

– Spokój! – krzyknęła Jan, zanim piąta i szósta Ashley zdołały dołączyć do wrzawy piskliwych głosów. Słuchanie jednej Ashley było w tych dniach wystarczająco uciążliwe, a już słuchanie sześciu kłócących się, zarówno między sobą, jak i z nią, to było po prostu za wiele. Jan nie umiała jednak zapobiec tego rodzaju połączeniom radiowym pomiędzy programami.

– Chcę rozmawiać z Carlem Jeden.

– Auu... – jęknęły chórem wszystkie programy Ashley.

– Tak, Jan – powiedział Carl.

Mogła tylko przypuszczać, że to pierwszy Carl, program kierujący Aniołem Niebios. Ale, w przeciwieństwie do programów Ashley, Carle nigdy nie kłamały. Przynajmniej miała taką nadzieję.

– Cały czas dajesz sygnały?

– Tak, Jan. Żadnej odpowiedzi.

Spotkali tego Władcę Niebios wczesnym popołudniem. Na

widok zbliżającej się floty Władcy Niebios skierował się na północ, a Anioł Niebios i pięć podbitych Władców Niebios puściły się w pogoń za nim. Dowódca uciekającego Władcy Niebios szybko się zorientował, że nie ma nadziei na ucieczkę, i spróbował serii zaskakujących manewrów. Nie wiedział jednak, że ścigająca go flota jest sterowana przez wyrafinowane programy komputerowe, które przewidują każdy jego ruch. Tuż przedtem Anioł Niebios – najszybszy sterowiec floty, a więc znajdujący się daleko przed pozostałymi – był już na tyle blisko, żeby zniszczyć laserami jedno z urządzeń nośnych Władcy Niebios. Z boku sterowca buchnęły przemieszane z dymem płomienie.

A teraz, jak zaobserwowała jedna z Ashley, wyglądało na to, że Władca Niebios przygotowywał się do kontrataku. Zwolnił i wykonał nagły zwrot, w taki sposób, że wszystkie jego karabiny zostały wymierzone w zbliżającego się Anioła Niebios...

Jan zobaczyła ukazujące się kolejno wzdłuż jego boku kłęby dymu.

– Strzelają do nas – powiedziała Ashley, niepotrzebnie zresztą.

Jan zmrużyła oczy, gdy lasery Anioła Niebios rozbłysły na tle nieba, niszcząc pociski, zanim znalazły się one na tyle blisko, żeby wyrzucić jakąkolwiek krzywdę.

– Przypuszczani, że lepiej będzie, jeśli zniszczysz jeszcze jedno urządzenie nośne – powiedziała niechętnie Jan.

– Przepraszam, Jan – przerwał Carl Jeden – ale mam wiadomość od Kisha. Jest w szpitalu. Chce, żebyś natychmiast przyszła. Zanim zdążył skończyć, Jan biegła już w kierunku windy.

– Simon... – szepnęła, chwytając z trudem powietrze.

W ciągu kilku minut znalazła się w szpitalu. Kiedy weszła,

ujrzała Kisha, stojącego obok maszyny medycznej. Następnie zobaczyła, że maszyna była otwarta, a Simon leży na medycznej leżance.

Kish stanął przed nią i przytrzymał ją mocno za ramiona.

– Nie umarł, pani. Śpi.

– Śpi? – powiedziała Jan z niedowierzaniem.

Przez jego ramię patrzyła na Simona. Tak, widziała, jak jego klatka piersiowa podnosi się i opada. Kish pozwolił jej podejść do tapczanu. Dotknęła policzka syna. Był znowu ciepły, normalny. Wtedy zauważyła, że Simon jest jakby większy – i starszy – niż przed włożeniem go do maszyny medycznej.

– Maszyna dopiero przed chwilą mnie zawiadomiła – wyjaśnił Kish – że Simon wyszedł ze stanu śpiączki i że jego puls i temperatura wróciły do normy. Jan pogłaskała syna po głowie.

– Simon, słyszysz mnie? To ja, mamusia. Obudź się... proszę. Chłopiec poruszył się. Jęknął i otworzył oczy. Zmarszczył brwi, gdy ją rozpoznał.

– Uhhh... Jan. Co się stało?

Poczuła tak ogromną ulgę, że odzyskał przytomność, iż nie zwróciła uwagi na niezwykle u niego nazwanie jej po imieniu.

– Chorowałeś, kochanie. Ale teraz już wszystko w porządku. Modliła się o to, żeby nie pamiętał, co się stało z Ceri.

– Chorowałem?

Spróbował wstać. Pozwoliła mu. Spojrzał na swoje ciało, swoje ręce, następnie rozejrzał się powoli po szpitalu. W końcu spojrzał na nią. Teraz w jego oczach dostrzegła zaskoczenie i zażenowanie.

– O Boże... co się stało?

– W porządku, kochanie – powiedziała miękko. – Zdarzył się okropny wypadek i zostałeś zraniony, ale teraz już nic ci nie jest.

Nagle złapał ją za nadgarstek. Uścisk był tak silny, że z bólu z trudem złapała powietrze.

– Chcę wiedzieć, co się stało, Jan – powiedział wysokim, natarczywym głosem. – Chcę się zobaczyć z Milem...

– Z Milem? – powtórzyła głucho Jan.

Nie mówiła nigdy Simonowi o jego zmarłym ojcu. Zaniepokoiła się.

– Tak, z Milem. On jeden jest odpowiedzialny za ten bałagan. Nie powinienem być w takim stanie... popatrz na mnie: zwyczajne dziecko. Gdzie on jest?

Jan odwróciła się do Kisha z nadzieją na jakieś wyjaśnienie, ale ten bezradnie wzruszył ramionami. Odwróciła się z powrotem do Simona. Jej przerażenie rosło z sekundy na sekundę. Chłopiec był najwyraźniej w stanie jakiegoś delirium. Maszyna medyczna myliła się. Nie odzyskał jednak w pełni świadomości. Ale skąd mógł wiedzieć o Milu?

– Simon, kto ci powiedział o Milu? Ceri?

Teraz z kolei on był zaskoczony. Jego twarz rozpogodziła się i powiedział: – Ty nic nie wiesz, prawda? Milo ci nie powiedział...

– Czego mi nie powiedział, Simon? Nie wiem, o czym mówisz, i chcę, żebyś przestał.

Przerażasz mnie.

Pozwolił jej zabrać rękę i uśmiechnął się. Jego uśmiech przeraził ją jeszcze bardziej. Był strasznie znajomy. Ale to nie był uśmiech Simona.

– Przyrowadź Mila, Jan – powiedział – bez względu na to, gdzie jest On ci to wyjaśni. To wszystko jego wina. I chciałbym widzieć jego minę, gdy mnie zobaczy.

Nigdy dotąd nie spotkał żadnego ze swoich potomków. Są gdzieś w przestrzeni.

– Milo nie żyje, Simon – powiedziała Jan, głosem drżącym ze strachu. – I ty go nigdy nie znałeś.

Oczy Simona rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Nie żyje? Ale to niemożliwe. Milo był naprawdę niezniszczalny.

– Został zabity przez maszynę. Cyberoida. Zadeptała go na śmierć – powiedziała. Z przerażenia niemal zapało jej dech. – Ale skąd wiesz o Milu, Simon? Proszę, powiedz mi!

Popatrzył na nią i powiedział z brutalną szczerością: – Ponieważ ja jestem Milem, Jan... poniekąd.

– Nie... nie... – zaprotestowała. – To był jej najgorszy koszmar... ozywający na jej oczach. – To nieprawda! To nie może być prawda!

– Obawiam się, że to jest prawda, Jan. Jestem czymś w rodzaju genetycznej reprodukcji Mila. Prawdopodobnie mam w sobie także trochę twoich DNA, ale zasadniczo jestem Milem lub będę nim, gdy zakończy się proces.

– Nie wierzę w to!

– Chcesz dowodu? – zmarszczył brwi. – Moje wspomnienia są nadal niewyraźne... ostatnie, co pamiętam, to że byliśmy razem na *Pachnącym Wietrzyku*, po audiencji z Horado. Milo najwyraźniej zapłodnił cię w kilka dni potem. Teraz następuje przerwa około czterdziestu ośmiu godzin, gdy wspomnienia były kodowane w... nazwijmy to, embrionie... ale mam wspomnienie sprzed tego czasu. Wiele wspomnień. Pamiętasz, jak ty i ja – Milo – spotkaliśmy się po raz pierwszy? Kiedy Benny zabrał cię do zagrody niewolników i dał cię Buncherowi? Pamiętasz, jak ocaliłem cię przed Buncherem? Pamiętasz, jak opiekowałem się tobą, kiedy Hazzini o mało nie rozpruł cię na pół...?

Jan zaczęła spadać. Wyciągnęła rękę w kierunku brzegu



leżanki, ale wydawało jej się, że jej ręce przeszły przez tworzywo, jakby była duchem. Spadała dalej. Potem nie było już nic.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Była martwa. Oddychała i czuła swoje ciało, ale nic nie odczuwała. Emocjonalnie była całkowicie sparaliżowana. Otworzyła oczy. Zobaczyła sufit szpitala. Zdała sobie sprawę z tego, że leży na leżance medycznej. Nie było jej ubrania. Tak, jak myślała, ktoś przykrył ją szpitalnym ubraniem. Podpierające ją ręce pomogły jej usiąść. To był Kish. Shan był w pobliżu. Obaj mieli zmartwione miny. Przypomniała sobie. Odczuła cień bólu, który czuła przedtem, ale nie był to prawdziwy ból. Nie było w niej żadnych uczuć. Były zamknięte w innym pomieszczeniu, skąd nie mogły do niej dotrzeć. To, co wstrzyknęła jej maszyna medyczna, było bardzo skuteczne. Mogła zbadać klinicznie wydarzenia prowadzące do jej omdlenia. Simon nagle oświadczył, że jest genetyczną reprodukcją Mila... Ból, jaki to sprawiło, był w innym pomieszczeniu, nie tam, gdzie ona...

– Ile czasu minęło? – zapytała.

– Prawie godzina – powiedział Kish. – Kiedy zemdlałaś, włożyliśmy cię do maszyny medycznej. Była zalana twoimi amylazami i innymi substancjami twojego układu limfatycznego. W rezultacie odcięła twoją korę mózgową od układu limfatycznego, żeby cię uchronić przed urazem, który mógłby spowodować ciężki szok. Ale ten stan jest tylko przejściowy i wkrótce zapadniesz w głęboki sen. Jan skinęła głową.

– Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć.

– Pani, myślę, że nie byłoby to rozsądne – powiedział Kish.

– Chcę go zobaczyć – powtórzyła stanowczo. Kish spojrział na Shana i ten wyszedł ze szpitala. Czekaając na niego, Jan się ubrała.

Kish powiedział: – Mieliśmy kłopoty z Władcą Niebios, którego ścigaliśmy.

– Tak? – zapytała bez zainteresowania.

– Wysłał w naszym kierunku szybowce. Ashley je zestrzeliła.

– Przypuszczam, że nie było innego wyjścia.

– Ale to nie wszystko. Kiedy Władca Niebios nadal nie dawał znaku poddania się.

Ashley skierowała lasery prosto w jego kadłub. Musiała trafić w komorę gazową, wypełnioną wodorem. Chyba cały sterowiec był wypełniony wodorem, bo bardzo szybko spłonął.

A więc zaczynało się. Pierwsza oznaka otwartego buntu ze strony Ashley. Jakie to dziwne, że wiadomość ta nie wywołała u niej żadnego niepokoju. Dobrze jest mieć korę mózgową odłączoną od układu limfatycznego – pomyślała gorzko. Powinna była zrobić to już dawno.

– Czy ktokolwiek to przeżył?

– Tylko kilka osób. Zostały zabrane przez jeden ze statków. Flota nadal szuka, ale jest wątpliwe, czy jeszcze kogoś znajdzie.

Wrócił Shan z Simonem. W owej oddzielonej od niej, zamkniętej przestrzeni, jej napięcie osiągnęło apogeum, ale drzwi były grube, dzięki czemu mogła go oceniać obiektywnie. Rzeczywiście urósł, gdy był zamknięty we wnętrzu maszyny. Dopiero teraz, kiedy był ubrany, widziała, jak bardzo. Jego ubranie było o wiele za małe i wyglądał teraz nie na cztery, lecz na sześć lat. Zauważyła także, że nie poruszał się już jak Simon; sposób, w jaki chodził, stał, trzymał głowę – wszystko to było inne. I przypominało Mila.

– Chcę mieć z powrotem mojego syna – powiedziała spokojnie.

– Chcę z powrotem Simona.

W jego oczach pojawił się wyraz zrozumienia.

– To niemożliwe. On odszedł.

– Odszedł, gdzie?

– Cóż, w terminologii metafizycznej nie mam pojęcia. Ale wiem, że tutaj, w fizycznym świecie, już nie istnieje. Kiedy mój mózg, który był jego mózgiem, przechodził swoje przemiany, Simon, można opowiedzieć... został z niego wymazany. Nadal jeszcze posiadam kilka jego wspomnień i uczuć, ale i one wkrótce znikną.

Rozważała dokładnie jego słowa, ignorując krzyk dobiegający z zamkniętego pokoju. Simon nie żył.

Simon–Milo powiedział pośpiesznie: – Zrozum, wiem, że jest to dla ciebie ogromny szok, ale jest to także spory szok dla mnie. Obudzić się i znaleźć w ciele dziecka. To nie powinno się stać w taki sposób...

– Jesteś Milem, prawda?

– No, w pewnym sensie.

– I to ty zapłodniłeś mnie tamtej nocy, na ziemi dotkniętej zarazą...

– Powiedziałem ci, że nie pamiętam, ale tak, ja, Milo, musiałem to zrobić.

– Dlaczego? – zapytała spokojnie Jan.

– Jestem polisą ubezpieczeniową – powiedział. – Ja i inne genetyczne reprodukcje. Żeby zwiększyć szansę przeżycia. Przeżycie to ważna gra, Jan, zawsze ci to mówiłem. Ale Milo, lub raczej ja tylko wtedy zapładniałem kobietę, gdy miałem opuścić jakieś miejsce. Tak więc istnieje Milo, żyjący w jednym z miast w przestrzeni kosmicznej, w Belvedere, i potencjalny Milo w kolonii na Marsie. Nie chciałem żyć w bliskim sąsiedztwie z nim/mną. Nie chciałem rywalizacji. Dlaczego więc on/ja cię zapłodniłem, nie mam pojęcia. Od kiedy pamiętam, nie miałem

takich planów.

– Podniecałam cię – powiedziała ponuro. – Przypuszczam, że straciłeś panowanie nad sobą. Uśmiechnął się niepewnie.

– To możliwe, biorąc pod uwagę moje uczucie do ciebie. Ale nie powinienem tu jeszcze być. Początek procesu jest zaprogramowany na czas, gdy ciało w pełni dorośnie.

Jan poczuła się bardzo zmęczona. Postanowiła spróbować jeszcze raz, zanim pozwoli się rozwiać wszystkim nadziejom.

– Nie ma żadnego sposobu, żeby Simon wrócił... jego wspomnienia i osobowość w jakiś sposób zostały z ciebie wyrzucone?

– Nie ma żadnego sposobu, żeby wrócił, Jan – powiedział Milo.  
– Przykro mi, ale musisz go uważać za zmarłego.

Jan położyła się z powrotem na leżance. Kiedy zapadła w głęboki sen, słyszała szloch, dochodzący z zamkniętego pokoju.

Kiedy Jan się obudziła, była znów sobą. Pozwoliła się ponieść fali smutku z powodu Simona i zaczęła płakać. Płakała długo, a kiedy wreszcie przestała i otworzyła oczy, zobaczyła Kisha, stojącego przy jej łóżku ze szklanką w ręce. Usiadła, czując, że bardzo chce jej się pić, i z wdzięcznością wzięła szklankę.

– Jak się czujesz, pani? – zapytał.

Napiła się zimnej wody, po czym powiedziała: – Właściwie nie tak źle.

Jej ciało było odświeżone, to jej umysł czuł się z maltretowany i potłuczony. Rozejrzała się. Była z powrotem w swojej własnej sypialni.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

– Dwa dni, pani. Z czego jeden dzień w maszynie medycznej.  
Oddała szklankę Kishowi.

– A co „on” robił, kiedy spałam?

– Simon?...

– Nie nazywaj go tym imieniem! – powiedziała ostro. – Simon nie żyje. Nazywaj go jego prawdziwym imieniem: Milo.

– Tak, pani. Hmm, Milo rozglądał się wszędzie i zadawał pytania. Wkrótce wyczerpał nasz ograniczony zasób wiedzy. Teraz rozmawia głównie z Carlem... i Ashley.

– Nie podoba mi się to – mruknęła.

– Co z nim zrobisz? – zapytał Kish. – Myślimy, że najlepiej będzie go przenieść na inny statek.

– Być może. Nie wiem... Będę musiała o tym pomyśleć.

Problem, co z nim zrobić, wprawiał ją w zakłopotanie. Tak, Simon nie żył, ale jego ukochane ciało żyło nadal. I może mimo to, co powiedział Milo, nadal istnieje szansa, że...

Nie, nie może o tym myśleć. Zadawałaby tylko sobie męki. Spojrzała w sufit.

– Ashley, chcę z tobą porozmawiać. Odpowiedział jej Carl.

– Ashley mówi, że jest teraz zbyt zajęta. Porozmawia z tobą później.

– Zbyt zajęta? – wykrzyknęła Jan. – Co to za brednie?! Powiedz jej, że właśnie teraz chcę z nią rozmawiać.

– Nadal odmawia.

– Bogini Matko – mruknęła Jan – gdyby tylko był jakiś sposób, żeby ją oddzielić od systemu.

– Wiesz, że to niemożliwe.

Odwróciła się i żołądek podszedł jej do gardła. Simon – nie, Milo stał w drzwiach. Jeszcze bardziej urósł, od kiedy go po raz ostatni widziała. Stary i znajomy, arogancki uśmiech widniał na jego twarzy.

– Odejdź – powiedziała słabo. – Jeszcze nie chcę cię widzieć. Nie jestem gotowa...

Ale on wszedł do pokoju. Szedł jak Milo. Było to przerażająco groteskowe: Milo w ciele sześciolatniego chłopca. W ciele jej syna. Podeszedł do łóżka, splatając ręce na piersiach.

– Równie dobrze poradzisz sobie z tym teraz, jak i później – powiedział. – A poza tym, mamy wiele do omówienia.

– Nigdy bym nie zgadła, cóż to takiego.

– Po pierwsze, twoja przyszłość, Jan. Jestem pod wrażeniem tego, co osiągnęłaś po mojej... hmm... śmierci. Dostałaś się do Niebiańskiej Wieży i udało ci się wysłać sygnał, który ściągnął Anioła Niebios z fabryki w przestrzeni kosmicznej. Wszystko to jest godne pochwały, jak na dziewczynę, która, kiedy ją poznałem, była właściwie zacofanym prymitywnym stworzeniem.

– Wybacz, ale nie będę ci dziękować za te komplementy – powiedziała kwaśno.

– Ale od tamtego czasu, jak mi powiedziano – kontynuował – nie odniosłaś zbyt wielu sukcesów. A teraz jesteś w prawdziwym kłopotcie. To typowe dla ciebie, Jan, wyruszyć na ratunek światu, którego nie da się ocalić. I myślałaś, że jak długo będziesz mogła utrzymać swoje małe imperium? Masz pięć sterowców Władców Niebios, pełnych kipiących z oburzenia ludzi, i żadnej możliwości wywarcia jakiegokolwiek wpływu na społeczeństwa Ziemi, które uwolniłaś. Całkowicie polegasz na tych twoich programach a, jak dobrze wiesz – zniżył głos – na Ashley nie można polegać. Ale nie ma możliwości odizolowania jej od Carla. Zniszcz ją, a zniszczysz także Carla.

– W moich planach nie ma nic złego – zaprotestowała. – Działają. Zajmie to tylko trochę więcej czasu niż przewidywałam.

– Czasu, którego nie masz. Ashley, wszystkie Ashley, są na pograniczu szaleństwa. Jedna z nich, dwie, może trzy zbuntują

się wkrótce przeciwko tobie. Niewłaściwie się z nimi obchodzisz. Popuść im trochę cugli, pozwól im zrównać z ziemią wyludnione miasto lub coś w tym rodzaju. Zrezygnuj ze swojego wielkiego planu oswobodzenia świata i zniszczenia plagi.

– Nie potrzebuję żadnych twoich chorych uwag, Milo – powiedziała pogardliwie. – Wynoś się.

Obróciła się do Kisha.

– Kish, wyrzuć go stąd. Natychmiast.

Kish stanął za Milem i położył mu ręce na ramionach.

– No, dalej... słyszałeś, co pani powiedziała.

Milo odwrócił lekko swoje małe ciało, po czym łokciem uderzył Kisha mocno w brzuch. Kish jęknął z bólu i zaskoczenia, i wygiął się w tył. Uderzył o podłogę i zwinął się w kłębek, kurczowo ściskając rękoma brzuch i usiłując złapać oddech. Milo uśmiechnął się do Jan.

– Ci dwaj minerviańscy mężczyźni nie są zbyt dobrzy w takich rzeczach, prawda?

Ale powinnaś za to winić twoje przodkinie – powiedział, siadając na brzegu łóżka. Natychmiast się od niego odsunęła. Kish nadal jęczał na podłodze.

– Kiedy byłem w śpiączce, przeszedłem więcej niż jedną transformację – kontynuował Milo. – Oczywiście, nigdy nie będę tak silny i szybki jak oryginalny Milo, nawet kiedy dorosnę. On to przewidział. Po prostu na wypadek, gdyby kiedykolwiek spotkał któregoś z nas. Chciał utrzymać przewagę. Nie mogę powiedzieć, żebym go potępił... lub raczej siebie.

Jan wyszła z łóżka i podeszła do Kisha. Pomogła mu usiąść. Był bardzo blady i nadal z trudem oddychał.

– Już w porządku – powiedziała. – On cię po prostu uderzył, to wszystko.



Zaprowadziła go do krzesła i posadziła. Potem spojrzała na Mila. Uśmiechał się jak złośliwy chochlik. Jan uświadomiła sobie, że gdy pomagała wstać Kishowi, jej koszula się rozchyliła, odsłaniając lewą pierś. Milo gapił się na nią. Zasłoniła się pospiesznie.

– Fascynujące – powiedział Milo. – Absolutnie fascynujący jest widok twoich sutków, mówiąc z pozycji sześciolatniego chłopca. Na wspomnienie mojego pożądania ciebie jako dorosłego mężczyzny nakłada się pragnienie bardzo młodzieńcze. A jednocześnie, żeby było jeszcze ciekawiej, nadal mam niewyraźne wrażenie, że jesteś moją najukochańszą matką.

– Zamknij się! – krzyknęła z oburzeniem.

– Nie przejmuj się. Przez co najmniej sześć najbliższych miesięcy nie osiągnę dojrzałości płciowej, a zanim całkowicie dorosnę, minie dziesięć miesięcy, sądząc po szybkości, z jaką rosłem do tej pory. Och, i wiem już, dlaczego przeszedłem transformację, zanim osiągnąłem dorosły kształt... to wszystko wina twojej ukochanej przyjaciółki z morskiego miasta.

– Ceri... – powiedziała głucho.

– Tak, usiłowała mnie zamordować. Jej atak uruchomił mechanizm samoobrony, który przedwcześnie rozpoczął cały proces i przyspieszył go.

– A więc ty zabiłeś Ceri. Ogarnęła ją gorzka fala gniewu. Wzruszył swoimi małymi ramionami.

– Powiedziałem ci, to była automatyczna reakcja samoobrony. Ta głupia suka sama jest sobie winna.

– Wynoś się – powiedziała niskim, oschłym głosem. – Natychmiast się wynoś. Wstał z łóżka.

– Porozmawiam z tobą znowu, kiedy się uspokoisz. Wtedy obmyślimy jakiś sposób wydostania się z bałaganu, w który

wplątał cię twój mesjanistyczny kompleks.

Beztrosko wyszedł z pokoju. Jan poczekała kilka minut, po czym powiedziała: – Carl?

– Tak, Jan.

– Przyślij natychmiast pająka. Nie, dwa pająki. Chcę, żeby zlokalizowały Mila... i chcę, żeby go zabiły.

– Tak, Jan.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ryn z łatwością odparował pierwsze pchnięcie księcia Darcy i odpowiedział serią fint, zmuszając księcia do defensywy. Ryn był z siebie zadowolony. Fascynująca była walka tym razem z prawdziwym przeciwnikiem. Broń była cięższa niż ta, do której przywykł, ale nie sprawiało mu to zbyt wielkiego kłopotu.

Kolejnym źródłem radości był wyraz twarzy księcia, kiedy rozpaczliwie próbował się obronić przed kimś, w kim nagle odkrył lepszego przeciwnika. Ludzie pośpiesznie schodzili mu z drogi, kiedy został zmuszony wycofać się aż do miejsca przeznaczonego na tańce. Wreszcie oparł się plecami o okno – był w pułapce. Za pomocą fint i parad Ryn z łatwością rozbił obronę księcia i przyparł go do okna, końcem miecza dotykając jego gardła. Obserwatorzy wstrzymali oddech. Ktoś zaczął klaskać.

– Z przyjemnością bym kontynuował – powiedział Ryn – ale obawiam się, że wówczas ktoś zostałby ranny. Proponuję więc, żebyś się poddał. Zgadzasz się? Wargi księcia Darcy mocno się zacisnęły, ale po chwili odpowiedział spokojnie: – Tak... tak... a niech cię. – I opuścił miecz.

Ryn odsunął się od niego. Miał właśnie także opuścić swój miecz, kiedy książę z przeraźliwym wrzaskiem wściekłości skoczył w jego stronę. Odrzucił ostrze Ryna na bok w okrutnym, ślepym ataku i pchnął. Ryn, zaskoczony, zaledwie miał czas, żeby odrzucić głowę; potknął się. Ostrze księcia trafiło go w policzek, mijając o włos lewe oko i rozrywając ciało do kości. Pomimo zaskoczenia i bólu Ryn szybko się pozbierał. Książę w furii

machał mieczem na oślepa i Ryn, ciągle jeszcze oszołomiony, z łatwością odparł jego atak i wykorzystując błąd księcia pchnął. Jego miecz przeszył biceps ręki, w której książę trzymał miecz. Darcy krzyknął z bólu i upuścił broń. Gdy Ryn wyciągnął miecz, krew trysnęła z rany. Książę ścisnął kurczowo ramię i rzucił Rynowi wściekłe spojrzenie. Dwóch jego sprzymierzeńców pośpieszyło mu na pomoc. Ryn uświadomił sobie, że z jego własnej rany leje się krew.

– Ostrzegałem cię – powiedział do księcia.

– Bękarcie – wysyczał książę. – Wyślę cię do piekła...

Zrobiło się zamieszanie. Książę du Lucent znalazł się między nimi, wymyślając synowi, a Andrea zarzuciła Rynowi ręce na szyję, krzyząc: – Twoja twarz, twoja biedna, piękna twarz! Co on ci zrobił?

Ryn poczuł, że kręci mu się w głowie. Przyciskając chusteczkę do rozciętego policzka, poprosił Andreę, żeby pomogła mu dojść do krzesła. Na chwilę pociemniało mu w oczach, potem zauważył, że baron Spang klęczy obok niego i bada jego ranę.

Baron westchnął.

– Paskudnie. Trzeba będzie założyć wiele szwów...

Baron nie przesadzał, co Ryn odkrył wkrótce potem, gdy leżał na łóżku w nieznanym mu do tej pory pokoju, a nad jego twarzą pracował chirurg. Odkrył także, że średniowieczne warunki życia na *Władcy Mordredzie* dotyczyły także medycyny. Zanim chirurg skończył swoją pracę, Ryn zemdlał.

Kiedy się ocknął, zobaczył księcia du Lucent i barona Spanga; siedzieli niespokojnie przy jego łóżku. W pobliżu kręcił się służący. Lewa strona twarzy Ryna pulsowała nieznośnie. Wyciągnął rękę i dotknął grubego bandaża, którym owinięto mu głowę. Zabolalo jeszcze bardziej.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał baron.

– Tak – wychrypiał Ryn.

Kiedy baron pomagał mu usiąść, służący popędził po coś do picia.

– To jest wino zmieszane z ziołami przeciwbólowymi – wyjaśnił baron, gdy Ryn zaczął chciwie pić z kubka.

– Jest nam niezmiernie przykro – powiedział książę. – Mój syn zostanie surowo ukarany... gdy tylko będzie się czuł wystarczająco dobrze.

Ryn oddał kubek służącemu i opadł z powrotem na poduszki.

– Nie radziłbym. I tak wystarczająco mnie nienawidzi.

– Nie mogę tego tak zostawić, Robin. O mało cię nie zabił... Ciebie, mojego honorowego gościa i...

– Cennego sprzymierzeńca – dokończył Ryn. – Nie martw się. Oddzielam to, co zrobił twój syn od tego, co ty robisz. Książę odetchnął z ulgą.

– Ale – kontynuował Ryn – bardzo żałuję, że mnie nie ostrzegłeś, iż mój związek z twoją córką będzie uważany w pewnych kręgach za nieprzyzwoity.

– Zapewniam cię, Robin, że jedynym „kręgiem”, który uważa go za obraźliwy, jest moja żona; a ona się nie liczy.

– Czyżby? – Ryn dotknął bandaża na swojej twarzy. – Niestety, nie mogę się z tym zgodzić. Twój syn jest pod jej wpływem i jestem pewien, że ma innych popleczników.

– No, tak... kilku – zgodził się książę. – Ale wyrzucić ze swoich myśli zarówno ją, jak i mojego syna. Obiecuję ci, że z ich strony nie będzie więcej żadnych kłopotów. Jesteś pod moją ochroną.

– To trochę poprawia moje samopoczucie – odparł sucho Ryn.

– Książę poczuł się urażony.

– Powiedz nam, Robinie – powiedział szybko baron – w jaki

sposób zdobyłeś takie doświadczenie w walce na miecze? Powiedziałeś, że żyłeś sam w swoim podwodnym świecie, nie licząc Elojów. Z pewnością takie stworzenia nie byłyby zainteresowane uczeniem cię szermierki, a już na pewno nie chciałyby być twymi partnerami? Ryn uśmiechnął się na myśl o jednym z Elojów w roli partnera do szermierki.

– Nie, oczywiście, że nie Eloje – powiedział. – Kiedy byłem jeszcze całkiem młody, znalazłem w bibliotece fascynujący program.

Nie powiedział im, że szermierka zaciekała go, od kiedy po raz pierwszy zobaczył *Przygody Robin Hooda*.

– Moim partnerem była holograficzna projekcja. Bardzo trudno jest uczyć się walczyć z cieniem przeciwnika. W porównaniu z tym walka z twoim synem była niezwykle łatwa.

Księżę i baron spojrzeli po sobie.

Kiedy wyszli, przyszła Andrea. Spojrzała na Ryna ze współczuciem.

– Moje biedactwo. Jak się czujesz? – zapytała pochylając się nad nim.

– Jak ktoś, kto został trafiony mieczem w twarz – odpowiedział.

Nawet widok jej troski nie wystarczył, żeby go pocieszyć, chociaż ból zaczął ustawać. Prawdopodobnie podziałały zioła, które wypił wraz z winem.

Wzięła go za rękę.

– Mój brat jest strasznym potworem. Zawsze nim był. To, co zrobił ze mną, gdy byliśmy mali... Nie mogę ci powiedzieć. – Zatrzęsła się dramatycznie.

– Proszę, powiedz, to brzmi interesująco.

– Nie, naprawdę nie mogłabym. – Puściła jego rękę i dotknęła

skroni.

– Boli?

– Auu! Tak, szczególnie, gdy dotykasz!

– Chirurg mi powiedział, że będziesz miał głęboką bliznę od oka aż do brody.

– Och, wspaniale. Czy masz jeszcze jakieś dobre wieści? Może mam także gangrenę?

– Myślę, że blizna po pojedynku sprawia, że mężczyzna wygląda o wiele bardziej atrakcyjnie.

– Wierz mi, Andreo, że blizna po pojedynku nie dodałaby ci ani grama atrakcyjności – powiedział poważnie.

Roześmiała się i pocałowała go delikatnie w usta.

– Głupi. Kobiety się nie pojedynkują. Tylko mężczyźni.

– Bez wątpienia niektóre kobiety to robiły. A poza tym, jak tam twój brat?

– Och, on w porządku. Z wyjątkiem ramienia.

– Mocno go zraniłem? Wzruszyła ramionami: – Słyszałam, że dosyć mocno. Prawie całkowicie stracił czucie w ramieniu. Chirurg powiedział, że to powinno minąć po jakimś czasie, ale nie ma pewności. Darcy jest wściekły.

Ryn opadł z powrotem na poduszki.

– To wspaniale – westchnął.

Po wyjściu Andrei Ryn zasnął. Kiedy się obudził, przy jego łóżku siedział mężczyzna ubrany w jasnoczerwone szaty i w wysokim, bulwiastym czerwonym kapeluszu na głowie.

– Witaj, młody człowieku. Jestem kardynał Fluke. – Wyciągnął rękę.

– Nie jestem zaskoczony – spokojnie powiedział Ryn, potrząsając jego dłonią.

Mężczyzna na chwilę zmarszczył brwi, po czym uśmiechnął

się życzliwie.

– Rozumiem, Robinie, że nigdy nie zostałeś ani ochrzczony, ani bierzmowany, więc mam być twoim duchowym doradcą i pomóc ci przygotować się do chrztu, a następnie do bierzmowania.

Ryn spojrział na siedzącą przed nim absurdalną postać. Jeszcze raz pomyślał, że wszystko, co się z nim dzieje, zostało wszczepione do jego mózgu przez jeden z programów, i że w rzeczywistości znajduje się znów w stacji badawczej, śpiąc mocnym, kontrolowanym snem.

– Jestem bardzo wdzięczny za twoje zainteresowanie, kardynale Fluke – powiedział – ale czy moglibyśmy to zrobić innym razem? Jak już może zauważyłeś, nie jestem w tej chwili w zbyt dobrym stanie i czuję się bardzo zmęczony.

– Nie ma odpowiedniejszej chwili do wkroczenia na drogę wiodącą do Kościoła, Robin. Co by się stało, gdyby twój stan nagle się pogorszył i gdybyś miał w ciągu kilku dni umrzeć z gorączki? Gdzie spędziłbyś wtedy wieczność, gdybyś umarł nie ochrzczony?

O mój Boże – pomyślał Ryn – co za świetny sposób pocieszania chorych. Próbował sobie przypomnieć, co wie na temat dogmatów religii rzymskokatolickiej.

– Czyściec? Nie. To nie to. Otchłań piekielna, prawda?

– Tak, piekło – powiedział kardynał i znowu zmarszczył brwi.

– Żeby uniknąć takiego losu, musisz zostać ochrzczony w imię Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela.

– Zbawiciel... tak – powiedział powoli Ryn. Zaczęło go to denerwować. Ten człowiek wtrącał się nawet w jego śmierć.

– Uczono mnie o waszej religii.

– Więc przyjmujesz za prawdę, że Jezus Chrystus jest twoim Zbawicielem, i będziesz oddawał mu cześć? Ryn potrząsnął



głową.

– Jak powiedziałem księciu, uczono mnie o wielu różnych religiach, i żadnej z nich nie uznałem za szczególnie atrakcyjną. Jak mówił jeden z moich nauczycieli, religie lub raczej konflikty między wyznawcami różnych religii lub sekt tej samej religii były przypuszczalnie przyczyną największych nieszczęść w dziejach historii ludzkości. Oczywiście, po chorobach. Kardynał skrzywił się z dezaprobatą.

– Ksiązę powiedział mi, że uczyły cię bezduszne maszyny. Zepsuły cię swoimi ateistycznymi kłamstwami.

– Nie wiem, w co moje programy naprawdę głęboko wierzą lub raczej co myślą, ale podejrzewam, że nie mają potrzeby wierzyć w Boga. Wiedzą natomiast, dlaczego zostały stworzone: żeby służyć ludzkości. Z drugiej strony, my jesteśmy w czymś w rodzaju ciemności...

– Ach, ale zrozum, młody człowieku – powiedział kardynał, uśmiechając się znowu.

– Jesteśmy właśnie jak programy komputerowe. Żyjemy po to, żeby służyć Bogu. To dlatego On nas stworzył.

– A jak możemy służyć Bogu? – zapytał Ryn.

– Oddając Mu cześć. Wychwalając Jego dzieło.

– To jest możliwa odpowiedź, przyznaję, i jedna z tych, jakie już wcześniej spotkałem. Ale jeśli chodzi o Jego dzieło, to pewne jego części trudno wychwalać. Na przykład: wrzody, raka, AIDS, trąd czy wściekliznę, żeby wymienić tylko niektóre.

Zanim człowiek prześcignął Go w Wojnach Genetycznych, Bóg nie ustawał w zsyłaniu plag.

– Nie możesz czynić Boga odpowiedzialnym za to wszystko – powiedział stanowczo kardynał.

– Oczywiście – uśmiechnął się Ryn. – Bóg zawsze dostaje

kredyt tylko na dobre dzieła, nigdy na złe. – Potrząsnął głową. – Zrozum, żeby być uczciwym, przyznaję, że całkowita tajemnica leży w bycie samego Bytu. Jeśli chcesz nazywać to Bogiem, dobrze, ale jeśli chodzi o prawdziwą naturę Bytu, nie mam o niej pojęcia i wątpię we wszystkich proroków, którzy twierdzą, że poznali Prawdę poprzez bezpośrednie obcowanie z Bogiem. Kiedy religie schodzą poniżej podstawowej tajemnicy, wszystkie stają się tylko masą sprzecznych dogmatów, hipokryzji, absurdalnych zasad dietetycznych, praw dotyczących ubioru i nic nie znaczących rytuałów. Kardynał wstał i spojrzał surowo na Ryna.

– Więc odmawiasz poddania się obrzędowi chrztu?

– Otchłań piekielna mnie nie przeraża, kardynale – odpowiedział pogodnie Ryn. – Pochodzę z otchłani piekielnej.

– Otchłań piekielna może stać się tym, czego będziesz się najmniej obawiał, młody człowieku – odparł kardynał i spiesznie opuścił pokój.

Milo obudził się z krzykiem.

Przeturlał się w poprzek łóżka i spadł, ciągnąc za sobą mokre od potu prześcieradło. Upadek przywrócił mu przytomność. Przyciągnął kolana do brody i siedział tak, rozdygotany. Jego umysł nie przestawał odtwarzać sennych wyobrażeń i odczuć. Ta ogromna, metalowa stopa, podnosząca się i opadająca, znowu i znowu, wgniatająca go w błoto, mieszająca go z błotem. Ale on żył nadal, czując każdy miazdzący cios. Jego ciało, zmienione tak, by żyło wiecznie, trzymało się kurczowo życia, nawet wtedy, gdy została z niego tylko krwawa miazga. Wtedy wreszcie nadeszła śmierć...

Ale to niemożliwe! Nie mógł mieć takich wspomnień! Wszystko, co wiedział o swojej śmierci, to to, co powiedziała mu

Jan w swoim zniekształconym opisie. Wspomnienia jego pierwszej egzystencji kończyły się jeszcze zanim on – Milo – zapłodnił Jan tym chemicznym koktajlem, który zawierał nie tylko jego DNA, ale także molekularny kod wszystkich jego wspomnień do tego momentu. Nie istniało nic, co mogłoby sprawić, by pamiętał, w jaki sposób ileś tam dni później zginął. Ale ten koszmar był tak sugestywny! Na wspomnienie agonii wibrował w nim każdy nerw. Wzdrygnął się.

– Zły sen? – To była Ashley.

– Tak. Czy mogłabyś zapalić światło? Niezbyt jasne. Światła się zapaliły. Simon wstał z podłogi i usiadł na brzegu łóżka.

– Brakuje mi snów – powiedziała Ashley. – Brakuje mi snu. Brakuje mi wszystkiego.

– Nie podobałby ci się ten sen – odparł.

– O czym był?

– O mojej śmierci. A raczej o śmierci Mila.

Dlaczego nie przyznać się do tego przed samym sobą? Nie był Milem. Miał wspomnienia Mila, mózg Mila, ale nie był Milem, był kimś innym. Nie czuł tak, jak pamiętał uczucia Mila z jego poprzedniej egzystencji. To było jego ciało. Spojrzał na siebie, na swoje dziecięce kończyny. Był zbyt młody. Do diabła z tą morderczynią, Ceri, zepsuła wewnętrzny zegar procesu. To dlatego. Dlatego właśnie prześladowały go pozostałości osobowości Simona jego zanikające wspomnienia. Wcale nie żartował, mówiąc Jan, że jedna jego strona widzi ją jako matkę, a równocześnie czuje cień pożądania. Uśmiechnął się krzywo, patrząc w sufit.

– Nie jestem niczym innym, jak tylko mieszaniną cieni, Ashley. Tak naprawdę jestem martwy.

– Ja też jestem martwa. Ale ty przynajmniej masz ciało.

– Ty nazywasz to ciałem? – Wstał. – Spójrz na mnie, cień czterystu przeżytych lat plus męczyzna w ciele chłopca, który jeszcze nie osiągnął dojrzałości. Wyciągnął swój mały penis i roześmiał się.

– Wierzyłabyś, że byłem kiedyś supermanem?

– Ale ty jeszcze rośniesz – zauważyła Ashley.

– To prawda, ale nigdy nie będę tym człowiekiem, którym byłem, lub raczej którym był Milo. Zapewniam cię. Nie mam tych wszystkich genetycznych poprawek, jakie miał Milo. Nigdy nie będę taki szybki ani taki silny jak on.

– Ale jesteś jego prostą reprodukcją, prawda? – zapytała Ashley. – Z pewnością twoje DNA jest identyczne. Potrząsnął głową.

– Nie, inżynieria genetyczna znalazła sposób na to, abym nie był identyczny jak... taki jak byłem. Nie jestem czystą reprodukcją. Ten quasi-embryon, który rozwijał się w organizmie Jan, zawierał także trochę jej DNA, co zmieniło niektóre z oryginalnych genetycznych poprawek Mila.

– Ale nadal jesteś nieśmiertelny?

– O tak – powiedział i roześmiał się cynicznie. – Jestem co najmniej tak nieśmiertelny jak Milo. Miejmy nadzieję, że jako nieśmiertelny będę miał większe szczęście.

– Dzisiaj omal by ci się nie udało.

– No, nie wiem.

Porządnie się przestraszył, kiedy dwa pająki złapały go na korytarzu, gdy wyszedł z sypialni Jan. Jeden miał właśnie rozerwać mu gardło za pomocą tnącego narzędzia, lecz nagle zamarł z ostrzem o cal od jego szyi. Simon domyślił się, że Jan kazała go zabić, ale nie mogła się na to zdobyć i w ostatniej chwili odwołała swój rozkaz.

– Gdybym połączyła się z Carlem na czas, powstrzymałabym to  
– powiedziała Ashley. – Wiesz o tym, Milo. Ale byłam zajęta strzelaniem do ptaków.

– Nie masz za co przeproszać – powiedział nieszczercze. – Ale to może się zdarzyć jeszcze raz. Prędzej czy później jej nienawiść do mnie pokona opór przed skrzywdzeniem ciała, które należało do jej syna. Ashley westchnęła.

– Lubiłam Jan, ale ostatnio zrobiła się taka ponura.

– Musimy coś z nią zrobić, prawda? – zwrócił się Milo do pustego sufitu.

– Tak – zgodziła się Ashley.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lecząc na wysokości niemal czterdziestu tysięcy stóp i z maksymalną prędkością, zlokalizował w końcu flotę kobiety. Rozkazał *Maskotce* wykonać nagły, mocny zwrot na wypadek, gdyby Anioł Niebios miał tak precyzyjny radar, jak on. Ale zanim skończył mówić, *Maskotka* powiedziała: – Ryn, jesteśmy śledzeni przez radar.

– Cholera. Chciałem im zrobić niespodziankę. Cóż, nie można temu teraz zaradzić.

Z powrotem do *Władcy Mordreda*. Maksymalna prędkość.

– Znalazłeś ich? – zapytał ksiązę.

Ryn skinął głową i wskazał dokładne położenie na dużej mapie, rozłożonej na owalnym stole w Komnacie Wojennej. Na jednej ścianie wisiał ogromny gobelin, przedstawiający sceny nieprawdopodobnego heroizmu podczas zdobywania sterowca przez przodka księcia. Oprócz księcia i barona Spanga przy stole siedziało kilku innych baronów. Większość z nich miała na sobie wyczyszczone do połysku, lekką ceremonialną zbroję, jakby w każdej chwili mieli wyruszyć na pole bitwy. Ksiązę Darcy był także obecny. Rękę miał na temblaku i unikał wzroku Ryna.

– Tak daleko na północ – powiedział ksiązę du Lucent, wpatrując się w mapę. – Nie rozumiem tego. Lecieli na południe, gdy ich zauważyłeś?

– Nie, stali w miejscu. I to na małej wysokości. Około tysiąca stóp. Mój radar pokazał jakieś budowle, znajdujące się na ziemi, domyślałam się więc, że byli nad jakimś miastem czy osadą.

Ksiązę, zaskoczony, zaczął skubać brodę.

Baron Spang powiedział:

– Cóż, powinniśmy przejąć jej flotę w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeżeli technikom uda się utrzymać stałą prędkość trzydziestu mil na godzinę i jeśli nie napotkamy złej pogody. No i pod warunkiem, że jej flota tymczasem nie ruszy.

– To nie ma znaczenia – odrzekł Ryn. – Ponowne zlokalizowanie sterowców nie zabierze mi dużo czasu.

Księżę wyprostował się i uśmiechnął do Ryna.

– A więc ustalone. Czy wszystko jasne, co do planu naszej bitwy?

– Co do planu naszej bitwy? – zapytał Ryn z uśmiechem. – Myślę, że tak. Przeleczę moją maszyną przez ich obszar obronny, zaatakuję Anioła Niebios, zniszczę jego system laserowy i zmuszę Władczynię Niebios do poddania się. Po jej porażce reszta floty powinna się także wkrótce poddać. W tym momencie wyślesz swoje szybowce z wojskiem.

– Dobrze... dobrze – przytaknął księżę. – Nie przewidujesz żadnych problemów?

– Żadnych, ale to żadnych problemów, panie – powiedział Ryn.

– Nadal mi się to nie podoba.

– Co? – spytała z roztargnieniem Jan.

Śledziła obrazy pojawiające się na ekranie komputera. Sytuacja wyglądała ponuro. Plaga, która dziesiątkowała ludność znajdującego się pod nimi miasta, w najmniejszym nawet stopniu nie zmalała, pomimo antybiotyków, produkowanych w laboratoriach Anioła Niebios przez roboty w kształcie pajaków.

– Ten radar przez całe rano pulsuje – powiedział Milo.

Stał przed pomieszczeniem kontrolnym i uważnie wpatrywał się w niebo.

Spojrzała na niego. Nie był już teraz tak bardzo podobny do

Simona: włosy mu wypadły i urósł znacznie, ale za każdym razem, gdy go widziała, widok ten sprawiał jej ból. Próbowwała go unikać, kiedy tylko mogła, ale on chodził za nią wszędzie. Przez cały czas starał się wkraść w jej łaski. Z pewnością wkradł się już w łaski Ashley. Zastanawiała się, czy nie przenieść Mila na inny sterowiec, jak sugerował Kish, ale obawiała się, że Ashley po prostu zignorowałaby jej rozkaz.

– Co z tym pulsowaniem? To było na pewno jakieś odbicie.

– To był statek... cięższy niż statek powietrzny.

– Ale jak to możliwe? Chyba że było to coś w rodzaju szybowca.

– Szybowca? Poruszającego się na tej wysokości i z tą prędkością? Carl, powiedz jej jeszcze raz, co wykryłeś.

– Obiekt metalowy – powiedział Carl. – Cylindryczny. Trzydzieści stóp długości.

Szczelny. O znacznej masie. Prawdopodobnie waży kilka ton. Kiedy go wykryłem, zawracał z prędkością 1500 mil na godzinę, następnie przyśpieszył do 2000 mil na godzinę. Potem go zgubiłem.

– Szybowiec, co? – zapytał Milo.

– Milo, wiesz tak samo dobrze, jak ja, że w dzisiejszych czasach nikt na całej planecie nie zna technologii, która umożliwiłaby zbudowanie takiego statku. Carl musiał się pomylić... chyba że ktoś z jednego z twoich gwiazdnych miast zdecydował się po tak długim czasie złożyć nam wizytę.

Zamyśliła się na chwilę. To jej przedtem nie przyszło do głowy.

– Niemożliwe – powiedział Milo, potrząsając głową. – Nie odważyliby się, nawet gdyby nadal mieli środki, żeby zorganizować taką ekspedycję. Oni nadal myślą, że po całej planecie pełzają zarazki inżynierii genetycznej.



– I mają rację – rzekła Jan, wskazując przez przezroczystą podłogę miasto pod nimi. – A przynajmniej tak jest tutaj.

Miejsce to nazywało się Phoenix Two i znajdowało się w północno-wschodnim narożniku obszaru, który dawniej, przed rozpadem Stanów Zjednoczonych Ameryki, był stanem Arizona. Była to jedna z największych ziemskich społeczności, jakie Jan kiedykolwiek widziała, z kilkoma zadbanymi trzypiętrowymi budynkami, okalającymi centrum miasta, które mimo haraczu wymuszanego na nim przez wieki przez lokalnego Władcę Niebios, prosperowało stosunkowo dobrze, dopóki, ostatnimi laty, plaga nie rozszerzyła się na rozległe tereny uprawne. Następnie zaczęły się regularnie powtarzać napady Hazzini.

Hazzini były przyczyną zarazy. Ludzie, którzy przeżyli bezpośrednie spotkanie z nimi, jeśli wyleczyli się ze swoich ran – co zdarzało się rzadko – zapadali potem na wyjątkowo ohydłą chorobę, która zabijała ich w ciągu kilku dni. Najwidoczniej Hazzini przenosiły zarazę, jako jeszcze jeden rodzaj broni, używanej przeciwko znienawidzonej ludzkości. Jan pamiętała swoje własne, niemal śmiertelne spotkanie z nimi. Przesunęła ręką po swoim ciele, tam, gdzie dawniej znajdowała się otwarta rana, ciągnąca się od szyi niemal aż do łona. Albo ona miała szczęście, albo nie wszystkie Hazzini przenosiły zarazę. Jan spojrzała w dół, na rozpadające się miasto. Spora jego część była pokryta sieciami, mającymi zatrzymać Hazzini. Jednakże te sieci, zrobione z włókien roślinnych, nie na wiele się zdały. Tylko sieci ze stali mogłyby stawić opór pazurom Hazzini, ale w mieście Phoenix Two nie było stali, tak jak nie było jej dzisiaj nigdzie.

Zaczął się od tego, że ogromny rój Hazzini wybudował mnóstwo swoich monstrualnych gniazd jakieś czterdzieści mil na północ od miasta. Jan chciała użyć skupionej siły ognia swojej

floty, żeby zniszczyć gniazda Hazzini, ale gdy wcześnie rano zaczęła realizować swój plan, Ashley sprzeciwiła się temu. Jan była zaskoczona jej reakcją...

– Myślałam, że wy, spragnione krwi kreatury, wykorzystacie możliwość zrobienia nagłej, masowej rzezi – powiedziała nerwowo.

– Jestem przekonana, że byłoby całkiem fajnie – odparła inna Ashley.

Dla Jan nie miało znaczenia, z którą Ashley rozmawia; teraz wszystkie wydawały jej się tak samo szalone.

– Ale my myślimy, że powinniśmy wynieść się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Na wszystkich sterowcach są zamieszki. Ludzie boją się zarazy. Może dojść do otwartej rewolucji.

– Wszyscy są tutaj bezpieczni. A pająki będą całkowicie skażone, kiedy wrócą na górę, bez względu na to, kiedy się to stanie – powiedziała Jan.

– Nie przekonasz tych bezmyślnych mas – odrzekła Ashley. – I jeszcze jedno: pająki.

Tracimy ich zbyt dużo i zbyt szybko, poza tym mamy za mało miejsca do naprawiania ich, a ty teraz wyrzuciłaś ich jeszcze więcej, żeby były czymś w rodzaju nianiek dla tych tam ziemskich glist.

– Ashley ma rację – wtrącił się Milo. – Pająki są jedynym środkiem, za pomocą którego można utrzymać pod kontrolą społeczeństwa na innych sterowcach. Ludzie są w tej chwili tak niezadowoleni, że gdyby wybuchła rewolucja, miałybyś kłopoty z jej stłumieniem. Chyba że użyłabyś naprawdę drastycznych metod, ale, jak cię znam, oczywiście tego nie zrobisz.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie zrzucić całego tego

ładunku idiotów na ziemię. Wtedy byłby spokój. Mamy z nimi tylko kłopoty – powiedziała któraś Ashley.

– Tak, zrobmy to! – zgodziła się inna.

– Nic z tego! – powiedziała Jan. – To by było morderstwo. Oni wszyscy są niebiańskimi ludźmi. Na Ziemi nie mieliby szans i wiecie o tym.

– A kogo to obchodzi?

– Więc przynajmniej – wtrącił szybko Milo – trzeba przestać używać pajaków do czyszczenia konwertorów energii słonecznej. Tam mamy najwięcej strat. Każ to robić ludziom, tak, jak to było na *Władcy Pangloth*.

– Nienawidziłam tego – powiedziała Jan. – Podobnie jak ty. Nie zmusiałabym do tego nikogo.

Milo wzruszył ramionami.

– Po jakimś czasie prawdopodobnie będziesz musiała, gdyż nie wystarczy pajaków do oczyszczenia z grzyba wszystkich konwertorów na wszystkich sterowcach. Równie dobrze możesz zacząć teraz.

To właśnie wtedy Carl zawiadomił o wykryciu niezidentyfikowanego obiektu latającego. Przedtem Jan traktowała to jak mile widzianą przerwę, ale teraz, gdy Milo stale się nad tym zastanawiał, zaczęło ją ciekawić, co się za tym kryje. Spojrzała na Mila, który przez cały czas wpatrywał się w niebo. Marszcząc brwi powiedział: – W porządku, nawet gdyby to była jakaś maszyna Starej Nauki, którą ktoś zdołał uruchomić, nie stanowiłaby chyba dla nas żadnego zagrożenia. Nawet gdyby zaatakowała któryś z naszych sterowców, lasery by ją spaliły.

Milo odwrócił się do niej.

– To nie może być statek Starej Nauki. Wiesz, w jak fanatyczny sposób pierwsi Władcy Niebios niszczyli wszystkie statki, gdy już

osiedlili się na Aniołach Niebios. Nie zaryzykowałiby utraty panowania w powietrzu. To było ich Pierwsze Prawo dla Ziemian – ty, glisto, nie latasz.

– Więc jeśli to nie jest statek Starej Nauki ani statek kosmiczny z kolonii na Marsie, to co to jest? Skąd się wziął?

– Nie mam pojęcia – powiedział i przesunął ręką po swojej łysiej głowie.

Był to gest, który Jan znała od dawna. Zrobiło jej się niedobrze, gdy zobaczyła, co pozostało z jej syna, zmieniającego się teraz coraz szybciej w Miła.

– Cóż, gdybyś miał jakiś rozsądny pomysł, powiadom mnie – powiedziała. – Idę do siebie. Potrzebuję odpoczynku.

Potrzebowała także czegoś do picia. Kiedy znalazła się w swoim mieszkaniu, poprosiła Kisha, żeby przyniósł jej piwa. Wydawało jej się, że nie zdążyła jeszcze wygodnie usiąść, gdy Kish wrócił z dużą szklanką chłodnego piwa. Podziękowała mu z uśmiechem.

– Jesteś dla mnie taki dobry, Kish. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. I bez Shana.

Pociągnęła duży łyk piwa. Kish nadal stał przed nią.

– Jesteś zmęczona, pani. Czy chciałabyś masaż?

– Och, tak, Kish. Chętnie!

Gdy Kish usiadł obok niej, postawiła szklankę na podłodze, odwróciła się do niego tyłem i rozpięła kombinezon. Zamknęła oczy. Poczwała jego wprawne palce masujące napięte mięśnie jej szyi i ramion.

– Uch, wspaniale – powiedziała z wdzięcznością.

Palce Kisha skończyły masować jej ramiona i zaczęły się zsuwać niżej, na plecy. Westchnęła, głowa opadła jej do przodu. Pozwoliła sobie zatopić się w czysto zmysłowej przyjemności

masażu, marząc o tym, żeby trwał zawsze. W rezultacie nie miała pojęcia, jak długo pieścił jej piersi, zanim zdała sobie z tego sprawę. Wyprostowała się zaskoczona.

– Kish, co robisz?

Natychmiast zabrał ręce. Odwróciła się do niego. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie i pożądanie.

– Myślałem, że ci to sprawia przyjemność – powiedział.

– Sprawiał mi przyjemność masaż, ale zdaje się, że miałeś na myśli coś więcej niż tylko zwykły masaż, Kish.

Na chwilę spuścił wzrok, po czym spojrzał jej prosto w oczy.

– Musisz wiedzieć, co do ciebie czuję, Jan.

– A co czujesz? – Zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu.

– Kocham cię.

– Kochasz mnie? – zapytała z ogromnym zdziwieniem.

Nie podejrzewała nigdy, że miły i uczynny Kish może żywić dla niej takie uczucie. Choć właściwie nie powinno to być dla niej takim zaskoczeniem. Wiedziała, że mężczyźni z Minervy mają popęd seksualny; sama spała nawet z mężczyzną z Minervy... nie, to było już tak dawno! Miał na imię Simon. To po nim nazwała swojego syna. Ale Kish i Shan? Cóż, traktowała ich jak trutnie. Po kontaktach z „normalnymi” mężczyznami wydawało jej się, że ci dwaj są... jak się to nazywało? Aseksualni?

Nieszkodliwi? Bezpieczni? Tak, zastanawiała się kiedyś, czy by nie mieć dziecka z Kishem po to, żeby podtrzymać linię minerviańską, ale nie było mowy o jakichkolwiek uczuciach czy pociągu do niego...

Spojrzała na mężczyznę, szukając właściwych słów. Położyła rękę na jego dłoni.

– Kish, ja także cię kocham. Ale jak przyjaciela. Tak samo jak kocham Shana. Być może kiedyś moje uczucie do ciebie zmieni

się w coś innego... w coś silniejszego. Ale, Kish, musisz zrozumieć, że właśnie teraz, po wszystkim, co się ostatnio zdarzyło... po stracie Ceri i Simona... muszę dojść do siebie i nie mogę myśleć o bliskim związku z kimś innym. I chyba jeszcze przez długi czas nie będę do tego zdolna... Poczuł się głęboko dotknięty, ale skinął głową i powiedział: – Rozumiem, pani.

Wstał, podniósł pustą szklankę po piwie i wyszedł z pokoju. Zapadła cisza. Jan głęboko westchnęła.

– Och, to było wyśmienite – mruknęła Andrea i przeciągnęła się leniwie. Lepiej niż kiedykolwiek. Co w ciebie dzisiaj wstąpiło?

– Cóż, wyruszam na bitwę, kochanie – powiedział Ryn. – Wiadomo, że strach przed śmiercią jest silnym afrodyzjakiem.

Wsparła się na łokciach. Poza ta eksponowała jej bujne piersi. Spojrzał na nie z pożądaniem.

– Jestem trochę niespokojny – odparł i leniwie wyciągnął rękę, żeby popieścić jej pierś.

– Ale ojciec powiedział, że będziesz całkowicie bezpieczny. Mówił, że mu powiedziałaś, że lasery nie mogą uszkodzić twojej latającej maszyny.

– To prawda – przytaknął. – Ale nie jest odporna na ogień karabinowy. Przypadkowy strzał może wysadzić mnie w powietrze. Przyznaję, że to mało prawdopodobne. Będę się posuwać bardzo szybko. Znajdę się poza zasięgiem ich laserów, zanim oni się zorientują. Pochylił się i pocałował ją w usta.

– Kiedy wrócisz – powiedziała – będziesz największym bohaterem, jakiego kiedykolwiek miał *Władca Mordred*. Bardowie o twoich czynach zaczną układać ballady, które przez wieki będzie się śpiewać na ucztach!

– To będzie miłe – rzekł Ryn, spoglądając na zegar ścienny.

– Będę z ciebie dumna – westchnęła.

– Mam nadzieję. – Pocałował ją znowu i powiedział niechętnie:  
– Lepiej się przygotuję. Jeśli flota Władczyni Niebios od wczoraj stoi w miejscu, przejmie ją w ciągu kilku godzin.

– Bądź ostrożny, kochanie. Wiem, że ojciec obsypie cię nagrodami, gdy zniszczysz Władczynię Niebios, ale obiecuję ci, że najlepsze nagrody będą pochodzić ode mnie.

– Nie mogę się doczekać – odparł.

– Nie boisz się, prawda? – zapytała.

Jan opuściła lornetkę.

– On już tam siedzi.

– Tak – powiedział Milo. – I przy tym poziomie gęstości powietrza jest poza zasięgiem naszych laserów. Co jest niepokojące.

– Niepokojące?

– To znaczy, że ludzie na tym statku wiedzą, że my, że ty masz niezależną kontrolę nad twoim laserowym systemem obronnym.

– Tak, rozumiem – powiedziała w zamyśleniu Jan. – Ale skąd mogą wiedzieć?

– Wiadomości o twoich wyczynach w ciągu ostatnich kilku lat z pewnością się rozeszły. Powinnaś była to przewidzieć.

Jan nie odpowiedziała. Znowu podniosła do oczu lornetkę i skoncentrowała się na odległym statku. Z wyglądu był to typowy Władca Niebios, chociaż bardziej poobijany niż inne i z kilkoma urządzeniami nośnymi przesuniętymi w dół, co dawało miejsce dla innych. Przypuszczała, że mała prędkość, z jaką się poruszał, to wszystko, na co go stać.

– Myślę, że powinniśmy zaatakować – powiedziała Ashley, nie po raz pierwszy zresztą.

– Jeszcze nie – sprzeciwiła się stanowczo Jan. – Poczekamy i damy im szansę nawiązania kontaktu. Poza tym nie mogą

stanowić dla nas żadnego zagrożenia.

– Uwaga – przerwał spokojnie Carl. – Obiekt właśnie wzniósł się nad kadłub sterowca. To ten sam obiekt, który wczoraj wykrył mój radar. Właśnie przyśpiesza; kieruje się prosto na nasz sterowiec.

– Cholera! – zaklął Milo.

Jan zawahała się, po czym poleciła: – Kiedy znajdzie się w zasięgu laserów, poślij mu wiązkę promieni.

Próbowała odszukać zbliżający się obiekt za pomocą swojej lornetki, ale bez powodzenia. Nagle pojawiły się znajome promienie turkusowego światła. Uruchomiono system laserowy. Promienie skupiły się w jednym punkcie. Jan czekała na wybuch, ale wybuch nie nastąpił.

Carl powiedział swoim zwykłym, spokojnym głosem: – Mój radar wykrył, że zbliżający się statek jest otoczony silnym polem elektromagnetycznym, które odbija promienie laserowe i rozprasza je. Statek nie może być zniszczony ani zatrzymany. Poza naszą linią obrony znajdzie się w ciągu czterdziestu sekund...



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Patrząc przez duży, mosiężny teleskop, umieszczony na wysuniętym balkonie obserwacyjnym, książę du Lucent zobaczył po raz pierwszy flotę Władczynie Niebios. Widok ten napełnił go obawami odnośnie do całego przedsięwzięcia. Zawieszona w powietrzu nad odległą osadą Anioł Niebios i pięć Władców Niebios wyglądały tak imponująco, że wydało mu się absurdem, by mały statek Robina mógł im wyrządzić jakąkolwiek szkodę.

Na galerii obserwacyjnej zebrali się sami dygnitarze. Odbyła się tam krótka uroczystość na cześć Robina. Andrea pożegnała go długim i dramatycznym uściskiem, po czym gwardia honorowa odprowadziła go do latającej maszyny. Księciu zrobiło się nagle nieprzyjemnie gorąco. Odwrócił się i spojrzał na rząd szybowców, które w pełnej gotowości czekały na sygnał startu, kiedy Robin spełni swoją misję.

– Jak długo jeszcze? – spytał barona Spanga.

– Powinien wyruszyć lada chwila – odpowiedział baron. – Nie przejmuj się, panie.

Wszystko będzie dobrze. Już wkrótce będziemy mogli podbić cały świat lub raczej ty będziesz mógł to zrobić, panie.

Książę natychmiast się rozpogodził. To prawda. Będzie najsilniejszym Władcą Niebios na świecie. El Rashad i inni będą całować mu stopy albo ich głowy zostaną zatknięte na palach.

– Startuje! – krzyknął technik w kierunku galerii.

Wszystkie głowy się odwróciły. Statek Robina rzeczywiście wznosił się w powietrze. Następnie z niewiarygodną prędkością

pomknął w kierunku floty Władczyni Niebios. Poruszał się tak szybko, że księżę nagle stracił go z oczu, chociaż było słychać huk jego silników.

– Teraz lada chwila – ogłosił technik, który śledził statek Robina za pomocą jednego z teleskopów.

Nagle księżę zobaczył odległy błysk. To lasery Anioła Niebios. A więc El Rashad i inni mieli rację: Władczyni Niebios naprawdę miała kontrolę nad swoim systemem laserowym. Mogła skierować ogień na statek prowadzony przez człowieka.

– Co się dzieje? – krzyknął.

– Nadal leci. Lasery nic mu nie zrobiły.

Księżę poczuł przypływ podniecenia. Wszystko, co Robin powiedział o swoim statku, było prawdą. Teraz powinien zacząć się atak.

– Dokonał tego! – powiadomił ich technik. – Przekroczył ich linię obrony!

Radosny szmer przeszedł przez tłum na galerii.

– A teraz jest... jest... – technik zająknął się.

– Co? – krzyknął księżę. – Co się stało?

Krew odpłynęła z twarzy technika. Oderwał wzrok od obiektywu i przełknął ślinę. Następnie powiedział: – Statek wylądował na Aniele Niebios.

– Co? – krzyknął księżę. – Pokaż!

Odsunął technika na bok i przylgnął do teleskopu. Kilka chwil zabrało mu potwierdzenie okropnej prawdy. Latająca maszyna Robina siedziała na kadłubie białego Anioła Niebios... mniej więcej tak samo, jak przedtem siedziała na kadłubie sterowca *Władcy Mordreda*. Z ust księcia wyrwał się jęk.

– Lasery... – powiedział słabo baron Spang. – Mimo wszystko musiały uszkodzić latającą maszynę... zniszczyć silniki Robina...

– Nie – powiedział ponuro ksiązę. – Nie wydaje mi się.

Ryn otworzył luk *Maskotki* i wyszedł na zewnątrz. Odetchnął głęboko i rozejrzał się. Słońce błyskało na kilku małych, metalowych obiektach, które zbliżały się do niego szybko po gładkim, białym kadłubie Anioła Niebios. Podniósł ręce i czekał.

Gdy były już całkiem blisko, rozpoznał w nich roboty – służących w kształcie pająka. Podobne maszyny znajdowały się w Shangri La.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł jeden dziewczęcym głosem i roboty otoczyły Ryna.

– Nie ruszam się, jak widzisz – powiedział spokojnie. Dwa pająki odłączyły się od głównej grupy i zaczęły badać kadłub *Maskotki* za pomocą różnych czujników.

– On jest wspaniały! – powiedział któryś.

Pająk, stojący na wprost Ryna, nagle wyciągnął ramię, zakończone wirującym ostrzem. Ostrze zatrzymało się kilka cali od gardła młodzieńca. Jednocześnie metalowa macka wyciągnęła mu szybko miecz z pochwy. Ryn zmusił się do uśmiechu.

– Tak, pewnie, jest wspaniały – powiedział mechanizm przed nim. – Ale kim do diabła jest i co tu robi? Hej, wspaniały! Co byś powiedział na krótką rozmowę, zanim podetniemy ci gardło?

– Mam na imię Robin i oczywiście się poddam. Chcę zaofiarować swoje usługi Aniołowi Niebios. Za pewną zapłatę, naturalnie. Ale najpierw ostrzeżenie: proszę nie manipulować przy moim statku. Jest pułapką. Każda próba zdobycia go zakończy się potężną eksplozją.

Skoro blef zadziałał przedtem, Ryn miał nadzieję, że teraz będzie to samo. Ale zaniepokoiły go kobiece głosy, wydobywające się z pająków. Tak jakby coś było z nimi nie w porządku.

– On się im poddał! – wykrzyknął baron Spang, wpatrując się intensywnie w okular teleskopu. – Zabierają go.

Księżę jeszcze nie wierzył. Był zupełnie oszołomiony. Oczyma duszy widział, jak wszystkie jego marzenia i plany walą się w gruzy. Jego jedyny atut po prostu odleciał. Ale to Andrea zapewniała go o szczerości Robina...

Andrea...

– Panie, co teraz zrobimy? – zapytał baron. – Czy mamy ich zaatakować?

– Nie bądź głupi – odpowiedział księżę. – Nie ma innego wyjścia, jak tylko się wycofać. Wydaj rozkaz. Andrea...

Dwa pająki odprowadziły go na dół. Dojechali windą do sterowni Anioła Niebios. Przypominała ona pomieszczenie kontrolne na *Władcy Mordredzie* ze względu na wyposażenie, ale Ryn nie miał czasu, żeby się przyjrzeć otoczeniu, gdyż jego uwagę skupiły dwie znajdujące się tu postacie. W przeciwnym końcu sali stała kobieta, a przy klawiaturze komputera chłopiec. Odwrócili się, gdy Ryn wyszedł z windy. Jeden z pajaków powiedział: – A oto on! Smakowity kąsek, prawda, Jan?

Chłopiec wyglądał dość dziwnie. Liczył sobie zapewne osiem do dziesięciu lat, ale miał twarz, a szczególnie oczy kogoś znacznie starszego. Wrażenie potęgował jeszcze fakt, że chłopiec był prawie łyśy. Ale do Ryna zbliżała się teraz kobieta i to ona wzbudzała jego większe zainteresowanie. Była wysoka, szczupła i ubrana w biały kombinezon, odsłaniający ramiona i nogi. Przy pasku otaczającym jej wąską talię wisiał sztylet i urządzenie, którego przeznaczenia Ryn nie znał. Czarne włosy okalały jej twarz (zauważył także czarną gwiazdę na jej prawym policzku – tatuaż, a może piętno?). Duże oczy były zielone, o intrygującym, skośnym kształcie. Pod każdym względem stanowiła

przeciwieństwo Andrei; Andrea miała bujne, zmysłowe kształty, ta kobieta zaś miała małe piersi oraz płaskie biodra i brzuch, a jednak Rynowi wydała się znacznie bardziej atrakcyjna niż Andrea, w sposób, którego nie potrafił określić. Co prawda, miała ciemne cienie pod oczami, ale to wcale nie ujmowało jej urody. Ryn poczuł coś dziwnego – jakiś ucisk w dołku, który utrudniał oddychanie. Pomyślał, że to właśnie ona jest Aniołem Niebios... Uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział: – Dzień dobry, mam na imię Robin.

– Przypuszczam, że Robin Hood – odezwał się z sarkazmem w głosie dziwnie wyglądający chłopiec. – W tym stroju nie możesz być nikim innym.

Ryn spojrzał na niego ze zdziwieniem: – Słyszałeś o Robin Hoodzie?

– Jestem starszy niż na to wyglądam – powiedział chłopiec marszcząc brwi. – Ale jak to się stało, że ty o nim słyszałeś?

– Kto to jest Robin Hood? – zapytał Anioł Niebios.

Przyglądała się uważnie Robinowi. Poczuł, że się czerwieni.

– To nie ma znaczenia – rzucił chłopiec, który także obserwował Robina. – Ale ma znaczenie, skąd on pochodzi i co tutaj robi.

– Znalazłem się tutaj, żeby zaofiarować swoje usługi Aniołowi Niebios – zaczął Ryn.

Chłopiec przerwał mu szorstko: – Tak, tak, to już słyszeliśmy, ale dlaczego?

Wtedy inny głos, który dobiegał ze wszystkich kierunków naraz, powiedział: – Jan, tamten Władca Niebios zawrócił i skierował się na południe.

Jan pomyślała, że to głos podstawowego programu, pozbawionego wszelkich antropomorficznych odcieni.

Dotknęła rękojęści sztyletu.

– Chyba lepiej będzie, jak wyślę w pogoń jeden ze sterowców.

– Nie chciałbym przeszkadzać – powiedział szybko Ryn – ale beze mnie i mojego statku *Władca Mordred* nie stanowi żadnego zagrożenia. Pozwólcie mu odlecieć. Bez wątpienia wraca na swoje terytorium.

Nie chciał, żeby coś złego stało się ludziom *Władcy Mordreda*.

Teraz przemówił inny bezcielesny głos. Był to ten sam niepokojący głos dziewczęcy, którym mówiły pająki.

– Nie słuchaj go, Jan. Pozwól mi dogonić tę rozklekotaną pokrakę i wysadzić ją w powietrze. To pewnie jakiś podstęp.

Ryn spojrział na sufit, gdyż nie wiedział, gdzie się zwrócić, i powiedział: – To nie jest podstęp, przysięgam. Spojrział znów na twarz Anioła Niebios.

– Proszę, oszczędźcie ich. Użyłem podstępu na sterowcu *Władca Mordred*, a nie tutaj. Książę du Lucent uwierzył, że zamierzam działać jako jego sojusznik w ataku na was. Myśleli, że użyję mojego statku, żeby zniszczyć waszą linię obrony, ale ja tylko udawałem, że podporządkowuję się temu planowi. To tobie pragnę służyć.

Chłopiec parsknął z niedowierzaniem.

– Zgadzam się z Ashley. Prowadzisz jakąś podejrzaną grę. Dlaczego, na Boga, chcesz nam zaofiarować swoje usługi? Do czego zmierzasz? I kim, do diabła, jesteś?

Ryn posłał mu twarde spojrzenie. Poczul gwałtowną niechęć do tej dziwnej istoty.

– Powiedziałem, że przybyłem, żeby służyć Aniołowi Niebios, a nie tobie, kimkolwiek jesteś.

– Tak – wtrąciła szybko kobieta. – On ma rację, Milo. To nie twój interes. Wynoś się stąd. Idź i wyrywaj skrzydła muchom lub

coś w tym rodzaju. Twarz chłopca zrobiła się szkaradna.

– A właśnie że ten nowy nabytek mnie interesuje, Jan. Interesuje mnie wszystko, co potencjalnie dotyczy mojego przeżycia. Ten oto uciekinier ze starego awanturniczego filmu wyłania się z błękitnego nieba w maszynie, która jest nieczuła na lasery i zdolna do Bóg wie czego jeszcze, a ty oczekujesz, że ja sobie spokojnie pójdę, nie wiedząc, czego on chce i skąd pochodzi?

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz, ani co myślisz, Milo – powiedziała podnosząc głos. – Nadal tutaj rządzę i rozkazuję ci wynieść się stąd natychmiast!

Chłopiec ześlizgnął się z fotela przed klawiaturą i stanął przed nią z rękami na biodrach.

– Nie zmuszaj mnie, Jan, żebym ci pokazał, jak wątpliwa jest teraz twoja pozycja tutaj.

Ryn zobaczył zwątpienie na twarzy kobiety i instynktownie wyczuł, że sytuacja jest niepewna, i że z powodów, których jeszcze nie znał, Władczyni Niebios nie ma całkowitej władzy.

Powiedział szybko:

– Czy mógłbym was prosić o drinka?

Obydwoje spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Co? – powiedział chłopiec.

– Powiedziałem, że chciałbym drinka. Pić mi się chce. Muszę powiedzieć, że na *Władcy Mordredzie* przyjęto mnie bardziej gościnnie.

Kobieta posłała mu wymuszony uśmiech i powiedziała: – Przepraszam. Bardzo dużo czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni przyjmowałam gości. Chodź do mnie. Tam będziesz mógł się rozgościć i napić zimnego piwa. I zjeść coś, jeśli będziesz miał ochotę. – Podeszła i wzięła go za rękę. – A poza tym nazywam się

Jan. Jan Dorvin.

Ujmując jej rękę poczuł znów ucisk w dołku.

Książę du Lucent uderzył Andreę tak mocno, że uderzenie to omal nie wyrwało dziewczyny z uścisku dwóch krzepkich służących, trzymających ją mocno za ramiona.

Krew trysnęła z jej rozciętej wargi.

Obydwa policzki były już posiniaczone i spuchnięte od poprzednich razów.

– Ty idiotko! Ty kretynko! – krzyczał książę rozcierając sobie prawą dłoń. Chyba złamał sobie jakąś kość. – Jest w tobie beznadziejnie zakochany, tak? Wszystko by dla ciebie zrobił? Dobry Boże, co za kretynka...

Zamierzył się do następnego ciosu. Andrea uchyliła się.

– Nie, ojcze! Nie w twarz!

Uderzył ją pięścią.

– Powiedziałem ci przecież, żebyś na niego uważała! Powiedziałem: słuchaj go. Przekonaj mnie, że można mu ufać, że jest uczciwy! Ale ty zaufałaś tej swojej wspaniałej kobiecej intuicji, a raczej swojej próżności. A on przez cały czas bawił się tobą. I mną!

– Ojcze, byłam tego taka pewna! – krzyknęła wypluwając krew. – Byłam pewna, że jest we mnie zakochany! Skąd miałam wiedzieć?

– Do tej pory to było twoje zajęcie. A teraz, dzięki tobie, straciliśmy jakąkolwiek szansę na poprawę naszego losu. Będziemy mieli szczęście, jeśli dotrzemy cało do naszych terytoriów. Żądałaś nagrody, gdy Robin dostarczy mi Anioła Niebios i jej flotę; teraz, ponieważ mnie zawiodłaś, zostaniesz ukarana.

– Och, nie! – płakała. – Proszę, nie bij mnie więcej po twarzy.



Błagam cię!

– Nie bój się, nie będę – powiedział, a po chwili polecił jednemu ze służących: – Przynieś mi bat.

Chłopiec, którego Ryn poznał jako Mila, po raz drugi zapytał, czy może zbadać *Maskotkę*. Jeszcze raz Ryn powiedział, że nie, i ostrzegł go przed konsekwencjami próby włamania. Jednak w oczach Mila zauważył coś, co mu powiedziało, że Milo mu nie wierzy. Chłopiec coraz bardziej nalegał, a on coraz bardziej chciał się dowiedzieć o nim czegoś więcej, ale, jak do tej pory, rozmowa dotyczyła głównie jego.

Siedzieli za stołem przy szerokim, wklęsłym oknie obszernego salonu. A raczej siedzieli tylko on i Jan. Dla Mila nie było miejsca przy stole i jeśli nie leżał rozwalony na tapczanie, to chodził niespokojnie po pokoju. Jan i Ryna obsługiwali dwaj mężczyźni o gładkich twarzach i łagodnych oczach, chociaż Ryn zauważył, że jeden z nich patrzy na niego nieprzyjaźnie. Ciekaw był, kim są. Poza tym ogromny sterowiec wydawał się wyludniony. Wszystko było zupełnie inne niż na *Władcy Mordredzie*.

Ryn opowiedział krótko Jan i Milowi o swoim pochodzeniu i o Shangri La. Bardzo zainteresowało to Mila.

– Więc Atlantycka Stacja Badawcza nadal istnieje! Niewiarygodne! I nadal jest zdolna do wytwarzania statków Starej Nauki, czego dowodzi twoja latająca maszyna. Na pewno tamto społeczeństwo nie cofnęło się cywilizacyjnie tak jak te na sterowcach Władców Niebios albo na Ziemi...

– Cóż, Eloje cofnęły się, ale w inny sposób – powiedział Ryn – chociaż one nie zgodziłyby się z tą definicją. Myślę, że one uważają siebie za wyższy gatunek ludzi...

– Eloje? – zapytała Jan.

Ryn spróbował wyjaśnić naturę Eloiów. Wydawało mu się, że

zainteresowało to Jan, natomiast Milo był najwyraźniej jeszcze bardziej podekscytowany.

– Logiczny produkt końcowy procesu zaczyna, się wraz ze stworzeniem Głównego Wzorca – powiedział zeskakując z sofy i zaczął chodzić po pokoju. – Doprowadziło do tego biologiczne „nastawienie na optymizm” istot ludzkich. Rezultat to szczęśliwość i euforia – bez żadnego kaca ani innych skutków ubocznych. Stan pomiędzy najdzikszyimi marzeniami wywołanymi przez kiepski heroinowy nałóg Starych Dni.

– Milo, o czym ty mówisz? – zapytała Jan.

– Już kiedyś próbowałem ci to wszystko wyjaśnić – powiedział Milo. – Lub raczej próbowało to zrobić moje poprzednie ja.

Ryn, zbity z tropu tym tajemniczym wyjaśnieniem, spojrzał uważnie na osobliwego chłopca, który przeciągając ręką po swoich przerzedzonych włosach chodził w podnieceniu tam i z powrotem. Zaraz jednak znów wpatrzył się w siedzącą naprzeciw kobietę. Coraz trudniej mu było oderwać od niej wzrok. Patrzenie na nią sprawiało mu przyjemność zupełnie innego rodzaju niż patrzenie na Andreę. Widział, że jego wzrok ją krępuje, ale nie mógł się powstrzymać. I czy to sobie tylko wyobraził, czy naprawdę w jej oczach maluje się takie samo zainteresowanie.

– Cała historia zaczyna się pod koniec dwudziestego wieku, kiedy to rozwój inżynierii genetycznej sprawił, że przeciwnicy biologicznego determinizmu w każdej formie i w każdym stopniu utracili poparcie szerokich mas – kontynuował Milo, nie zważając na to, że słuchacze nie bardzo go rozumieją. – Istniał silny ruch przeciwników biologicznego determinizmu, zarówno z powodów religijnych, jak i politycznych: zagrażało to dawnej koncepcji „wolnej woli”, która stanowiła integralną część wielu

ideologii religijnych i politycznych. Ale kiedy odkryto, że istnieje gen, lub raczej brak genu, który wytwarza u ludzi skłonność do depresji maniakalnej, a jednocześnie udowodniono, że skłonność do schizofrenii jest także uwarunkowana genetycznie...

– A co to ma wspólnego z ludźmi Robina? – zapytała Jan, trochę już zniecierpliwiona.

Ryn także był rozdrażniony. Marzył o tym, by Milo zamknął się i wyszedł. Chciał zostać sam z Jan.

– Wszystko. Mówię o tym, jak doszło do odkrycia, że umysł, świadomość, jest produktem końcowym skomplikowanych korelacji różnych hormonów i połączeń nerwowych w mózgu, i że wszystkie one są zdeterminowane genetycznie. Odkryto wtedy, że zostaliśmy genetycznie zaprogramowani do tego, żeby czuć w określony sposób, że nasze mózgi zawierają naturalne narkotyki wpływające na nastrój... najpierw udowodniono istnienie fal mózgowych, które można porównać z opium, następnie kwas gamma, uniwersalny stymulator mózgowy, i wiele innych; naturalne amfetaminy, naturalne środki uspokajające itp. Przeciętą istotą ludzką była nimi nafaszerowana po uszy. To był właśnie syndrom „nastawienia na optymizm”, znany także jako „widzenie tylko jasnych stron życia”, stworzony po to, żeby umożliwić ludzkiej rasie przetrwanie bez względu na to, co się stanie. Chodziło o podtrzymanie w ludziach nadziei na najlepsze, nawet gdy sytuacja była beznadziejna.

– Ja nie jestem „nafaszerowany po uszy narkotykami” – powiedział Robin. – Eloje tak, aleja nie.

– Ale ty jesteś Robinem z Sherwood – powiedział Milo z szyderczym uśmiechem. – Poza tym, jak każdy człowiek nie jesteś w stanie obiektywnie ocenić stanu swojego umysłu.

Czujesz się normalnie, tak? I myślisz, że takie samopoczucie jest dla istoty ludzkiej normalne. Ale nie potrafisz zobaczyć rzeczywistości ani siebie samego w prawdziwie obiektywnym świetle. Nikt z nas nie potrafi. Depresja maniakalna oznacza, że termostatyka w mózgu nie jest prawidłowa, co powoduje, że nastroje ludzi dotkniętych tą chorobą zmieniają się znacznie, ponieważ ich mózgi zawierają czasem zbyt dużo stymulujących nastroj substancji, po czym, przez mniej więcej taki sam okres, są ich pozbawione. Ich nastroj bez przerwy oscyluje od euforii do najgłębszej depresji. Tak, przyznaję, że w tym drugim okresie postrzegają rzeczywistość niemal taką, jaka naprawdę jest, co usprawiedliwia wielką liczbę popełnianych w tym stanie samobójstw. Ktoś kiedyś powiedział: „Człowiek jest w stanie znieść tylko tyle prawdy”. Ale to nie maniacy depresyjni doświadczyli wahań lub zmian w swym biologicznie „wbudowanym” optymizmie. Przed ustanowieniem w XXI wieku genetycznego Głównego Wzorca, który wzmógł i ustabilizował ten mechanizm, różnie to wyglądało u różnych osób, było przyczyną zmian hormonalnych ciała w procesie starzenia się i przyspieszało się gwałtownie około czterdziestki... czyli w wieku, którego wy oboje, oczywiście, nigdy nie osiągniecie. Jednak nawet w Głównym Wzorcu mechanizm ten jest zróżnicowany i wpływają na niego także czynniki zewnętrzne. Na przykład wystawienie na zwykłe promienie słoneczne stymuluje produkcję w mózgu określonych substancji wpływających na nastroj człowieka i pierwotne stany seksualnych relacji emocjonalnych; na przykład, zalew mózgu amfetaminą – posłał Rynowi kolejny szyderczy uśmiech – powoduje zabicie apetytu, tu Milo spojrział znacząco na nietknięty talerz zjedzeniem, stojący przed Rynem.

Ryn poczuł, że się czerwieni. Powiedział ze złością: – Wybacz, że będę niegrzeczny, ale kim ty właściwie jesteś? Zanim Milo zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się Jan. Jej słowa zupełnie Ryna zaszokowały. Lodowatym tonem powiedziała: – Jest ojcem mojego syna i mordercą mojego syna. I jest także jednym z monstrów, które rozpoczęły Wojny Genetyczne.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Książę du Lucent usiadł przy łóżku w zaciemnionym pokoju, z pochyloną głową i z rękoma złożonymi na kolanach. Wyrzuty sumienia i poczucie winy wręcz odebrały mu głos; mówił z trudem.

– Kochanie... tak mi przykro... to był wypadek... proszę, powiedz, że mi wybaczasz.

Ale Andrea nie odpowiadała. Od kiedy wszedł do jej sypialni, nie zauważała go.

– Andrea, proszę...

Niechętnie podniósł wzrok na jej twarz, po czym spuścił oczy.

– To bat... to był bat. Nigdy nie umiałem posługiwać się batem... musiał się zsunąć. Wiesz, że nigdy bym ci tego rozmyślnie nie zrobił. Andrea, proszę, powiedz coś!

Na próżno próbował wydobyć z niej jakąś odpowiedź. Po godzinie poddał się i cicho wypełzł z pokoju. Po chwili drugimi drzwiami wszedł ktoś inny. Był to jej brat, książę Darcy. Ubrany jak zwykle na czarno, stanął w nogach łóżka i spojrział na siostrę. Uśmiechnął się krzywo i powiedział: – Cóż, jesteśmy niezłą parą, nieprawdaż, droga siostro? Ja ze swoim martwym ramieniem – dotknął czarnego skórzanego temblaka, na którym spoczywała jego bezużyteczna ręka – i ty ze swoim martwym okiem.

– Wyjdź, Darcy. – Mówiła niewyraźnie, zarówno z powodu opuchniętych warg, jak i wina zmieszanego z lekarstwami, które dał jej chirurg. – Zostaw mnie samą.

– Już niedługo, droga siostro, już niedługo. Ale najpierw musimy porozmawiać o powszechnie znanej przyczynie naszych

okaleczeń. O twoim drogim kochanku, Robinie.

Zamknęła swoje zdrowe oko.

– Nigdy więcej nie wymawiaj jego imienia w mojej obecności!  
– syknęła.

– Rozumiem, jak się czujesz, droga siostró. Tak, naprawdę. I chcę się zemścić na tej ziemskiej gliście, która nie tylko splamiła honor naszej rodziny i zdradziła *Władcę Mordreda*, ale także okaleczyła mnie i oszpeciła ciebie. A poza tym nasz tchórzliwy ojciec zmyka przed wrogiem tak szybko, jak tylko może. Z każdą godziną odległość pomiędzy nami i tą zdradziecką świnią zwiększa się o całe mile.

Andrea milczała przez chwilę, po czym powiedziała ochryłym głosem: – Zrobiłabym wszystko, żeby mieć... go... w swoich rękach, choćby tylko na kilka minut. Właściwie jedna chwila wystarczyłaby na to, co chciałabym z nim zrobić. Ale co my możemy? Ojciec nie ośmielił się stawić czoła tej flocie.

– Nie – zgodził się Darcy. – On nie. Ale matka tak.

– Matka?

– Już z nią rozmawiałem. Jest wściekła z powodu tego, co ci się stało. Nigdy nie widziałem jej tak wściekłej. To jest ostatnia kropla, jeśli chodzi o ojca.

– Ale co ona może zrobić? Ojciec ma władzę nad wojskiem.

– Miał, ale ostatnie wydarzenia wywołały wśród żołnierzy ogromne oburzenie, jak twierdzą agenci matki. Matka chce wykorzystać tę sytuację.

– Kiedy? – zapytała niespokojnie Andrea.

– Już niedługo.

Ekran ukazywał ponury obraz. Jan przegrywała bitwę o ocalenie społeczności Phoenix Two. Zaraza rozniosła się wśród ludności, co trzeci człowiek był chory. Do tej pory żadne z

lekarstw, wynalezionych przez automatyczne laboratorium Anioła Niebios, nie skutkowało. Opóźniało tylko w niektórych przypadkach to, co nieuniknione. Jan była przygnębiona i bezsilna. Opuściła konsolę i przeszła na drugą stronę pomieszczenia kontrolnego. Całe Phoenix Two otoczone było rozbłyskami płomienia. W ciemnym mieście było widać zaledwie kilka ognisk. Jan wiedziała, że są przeznaczone do palenia trupów.

W tak niewesołej sytuacji Jan czuła się winna z powodu iskierki szczęścia, która zapaliła się w niej w chwili przybycia Robina. Gdy wszedł do pomieszczenia kontrolnego, odżyły w niej dawno zapomniane uczucia.

Niewątpliwie był przystojny, nawet mimo okropnej blizny na twarzy. Poza tym zaś nie można mu było nic zarzucić. Natychmiast wytworzyło się między nimi pewne niewypowiedziane porozumienie. Siła, z jaką ją pociągał, była aż niepokojąca, ale jednocześnie Jan czuła się podniecona. I widziała w jego oczach, że on doznaje podobnego uczucia. Do czego to doprowadzi? Myślała, że po tym, co stało się z Ceri i Simonem, nigdy nie ośmieli się zbliżyć do innej istoty ludzkiej, a teraz...?

Starła się jednak zachować ostrożność wobec przybysza. Wydawało jej się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe: przystojny młody mężczyzna, który pojawia się znikąd we wspaniałej maszynie i który oddaje ją całkowicie we władanie Jan. Nie była jednak tak nieufna jak Milo. Podejrzewała, że Milo boi się przede wszystkim tego, że Robin jest autentyczny. Gdyby tak było rzeczywiście, Robin i jego maszyna stanowiąliby broń, którą Jan mogłaby wykorzystać przeciwko niemu.

Przeklęty Milo! Żałowała, że nie rzuciła w niego nożem



tamtego popołudnia w jej mieszkaniu. Z początku zareagował złością na jej zarzut, że przyczynił się do rozpoczęcia Wojen Genetycznych...

– To kłamstwo! Nie mam nic wspólnego z rozpoczęciem Wojen Genetycznych!

– Ale twoja korporacja była zamieszana w produkcję broni biologicznej dla Wojen Genetycznych – powiedziała Jan. – Sam mi to mówiłeś.

– Wszystkie korporacje były w to zamieszane; nie mieliśmy wyboru, jeśli chcieliśmy przeżyć!

– Przeżyć, tak – powiedziała Jan z gorzkim uśmiechem. – Spustoszenie całego świata i masowa śmierć, a potem powolna degeneracja tego, co pozostało ze środowiska.

Robin z tajemniczym wyrazem twarzy powiedział: – Nie rozumiem, jak on – wskazał Milo kiwnięciem głowy – może być wystarczająco stary, żeby pamiętać Wojny Genetyczne? To tylko chłopiec.

– To długa i nieprzyjemna historia – odparła Jan. – Opowiem ci to szczegółowo innym razem. Krótko mówiąc zaś, Milo jest nieśmiertelny; w innym ciele żył w czasach jeszcze przed Wojnami Genetycznymi, w XXI wieku...

– W rzeczywistości urodziłem się pod koniec XX wieku – przerwał Milo ostrożnie. – W 1997 roku.

– Był szefem jednej z korporacji genetycznych – ciągnęła Jan.

– Którą rozbudowałem z małej firmy zajmującej się inżynierią biologiczną, odziedziczonej po moim ojcu; chociaż trzeba przyznać, że niektóre z przemysłowych wzorów bakterii zastrzegł prawem autorskim, kiedy jeszcze żył. Udostępnił mi bezcenne źródło kapitału, z którego w początkowym okresie czerpałem.

I w taki sposób został jednym z najbardziej wpływowych ludzi na całym świecie: członkiem zamkniętej grupy, którą stanowili twórcy tej biologicznej katastrofy, jaka miała nastąpić.

– Nonsens – warknął Milo. – Nie tylko korporacje były temu winne. Stało się tak z powodu politycznego zamieszania, jakie miało miejsce w tym czasie. Po ustaleniu Głównego Wzorca nastąpił rozpad wielkich narodów na liczne niezależne stany, co z kolei doprowadziło do upadku Stanów Zjednoczonych, jedynej potęgi, która była w stanie kontrolować badania biologiczne. Potem nadeszła mordercza wojna pomiędzy stanami, które formalnie należały do tego samego kraju, oraz wojna religijna pomiędzy tymi, które opierały się rewolucji genetycznej. Korporacje nie miały innego wyboru, jak tylko zająć pozycję neutralną, żeby ochronić same siebie. Ale dość tej bezsensownej kłótni – odwrócił się z powrotem do Robina.

– Nadal chcę wiedzieć, co naprawdę knujesz. Robin westchnął.

– Cały czas ci mówię, że jestem najemnym żołnierzem. Przyłączyłem się do *Władcy Mordreda*, kiedy napotkałem flotę Władców Niebios na morzach Antarktydy...

– Flotę? – wykrzyknął Milo z rozszerzonymi oczami. – Nie wspominałeś o żadnej flocie.

– Nie wspominałem? Cóż, w porządku, była flota. Pięć sterowców Władców Niebios, razem z *Władcą Mordredem*. Pozostali czterej odłączyli się podczas burzy.

– Co oni robili tam na południu? – zapytał Milo.

– Szukali Shangri La. Stacji badawczej. Mieli nadzieję, że znajdą tam broń Starej Nauki, żeby użyć jej przeciwko Jan.

– Przeciwko mnie? – zapytała Jan.

Zakręciło jej się w głowie. Potem znowu zapatrzyła się w twarz Robina, zastanawiając się, w jaki sposób zdobył tę okropną

bliznę.

– Twoja sława rozniosła się daleko i szeroko – powiedział Robin.

– Trzej Władcy Niebios pochodzą z lądów, położonych na południe stąd. Przed wieloma miesiącami uznali, że zamierzasz podbić z kolei ich, i polecieeli za Atlantyk. Tam zawarli przymierze z islamskim Władcą Niebios, zwanym El Rashadem, który, według księcia du Lucent, jest naprawdę złym człowiekiem. Zmusili księcia siłą, by się do nich przyłączył, i wyruszyli na poszukiwanie technologii Starej Nauki, zakładając, słusznie zresztą, że stacja badawcza na Antarktydzie jest ich jedyną nadzieją.

– I znaleźli ciebie, i twoją maszynę? – zapytał Milo.

– Cóż, tak naprawdę to ja ich znalazłem. I przez przypadek do lądowania wybrałem *Władcę Mordreda*.

– I nawet gdy stracił resztę floty, ten książę du Lucent kontynuował lot na północ, żeby się zmierzyć z naszą flotą?

– Dlatego że miał mnie... i mój statek.

– Myślał, że ma ciebie – powiedział Milo. – Wszedłeś z nim w układ, którego nigdy nie miałeś zamiaru dotrzymać, czy nie tak? Robin na chwilę spuścił wzrok i spojrzał na swój pusty kieliszek.

– Cóż, nie. Kiedy usłyszałem, co Anioł Niebios, Jan, próbowała zrobić w celu uwolnienia ludzi na Ziemi i zniszczenia zarazy, natychmiast zrozumiałem, że jestem po złej stronie.

– Ale oczywiście nie powiedziałaś o tym biednemu księciu – rzekł Milo z cynicznym uśmiechem. – A jaką zapłatę oprócz tego teatralnego kostiumu wyciągnąłeś od księcia, żeby scementować ten tak zwany układ?

Robin znowu spuścił wzrok.

– Wolałbym nie mówić... Milo roześmiał się chytrze.

– Ach, była to kobieta? Tak, to ma sens. Zapewne twoje Eloje były niezadowolającymi partnerami seksualnymi, jeśli w ogóle coś takiego wchodziło w grę. A jakiej nagrody oczekujesz za swoje wątpliwe usługi tutaj? – Zwrócił szydercze spojrzenie na Jan. – Może chcesz zgadnąć, Jan? Ponieważ jesteś tutaj jedyną kobietą, nie powinno to być dla ciebie zbyt trudne.

Jan z wściekłością chwyciła kuchenny nóż i pogroziła nim Milowi.

– Milo, mam tego dosyć! Wynoś się stąd. Chcę prywatnie porozmawiać z Robinem.

Zabierz gdzieś ten swój spaczony mózg!

Milo założył ręce na piersiach i patrzył na nią prowokująco.

– Ostrzegałem cię, żebyś mnie nie straszyla, Jan. I nie zostawię cię samej z tym najemnym żołnierzem. Nie ufam mu i ty także nie powinnaś mu ufać. A już go poznaliśmy, zdradził swojego poprzedniego „szefa”. Oczywiście, świerzbi go, żeby dostać się do twojego łóżka i mam wrażenie, że ty masz podobne zamiary, ale...

Zrobił gwałtowny unik, gdy Jan rzuciła nożem celując w jego głowę. Kiedy ich oczy się spotkały, zobaczyła triumf w oczach Mila. Wstała.

– Więc dobrze. Ja wyjdę! Będę w pomieszczeniu kontrolnym. Odwróciła się do Robina, przestraszonego tą sceną.

– Na razie możesz zostać tutaj. Czuj się tu swobodnie. I nie zwracaj uwagi na truciznę, którą bez wątpienia będzie cię karmił... Pokazała kciukiem na Mila.

Kiedy skierowała się w stronę drzwi, Milo zawołał swoim wysokim i śpiewnym dziecięcym głosem: – Będiesz ż-a-ł-o-w-a-ć...

Cholerny Milo. Uderzyła zaciśniętą pięścią w zakrzywioną

szybę. Cholerny... Nagle zmarszczyła brwi. Nie mogła dostrzec jednego z największych ognisk, jakie paliło się jeszcze niedawno w Phoenix Two. Wydawało jej się, że coś nad nim przelatuje. Zastanawiała się, co to mogło być, gdy szyba, przez którą wyglądała na zewnątrz, nagle zadzwoniła. Coś bardzo szybko po niej przeszło. Jan cofnęła się instynktownie i zobaczyła coś, co na kilka sekund przylgnęło z zewnątrz do okna, po czym zniknęło.

Ujrzała długie, podzielone na segmenty ciało insekta z sześcioma kanciastymi odnóżami i rakowatą, wysuszoną, końską głową, która miała macki i ssawkę jak gigantyczny moskit. Z grzbietu bestii wyrastały kolosalne, przezroczyste skrzydła, porysowane siecią delikatnych żyłek... Hazzini!

Rzuciła się do panicznej ucieczki, lecz nagle poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Pełznąąc na czworakach, głośno krzyknęła: – Carl! Hazzini atakują! Dlaczego mnie nie ostrzegłeś? Jak to się dostało tak blisko?

Odezwała się Ashley. Zachichotała i rzekła: – Chcieliśmy ci sprawić małą niespodziankę, Jan. I jest więcej niż tylko jeden Hazzini; jest ich mnóstwo. Spójrz...

Jan obejrzała się przez ramię. Teraz widziała turkusowe promienie laserów floty, rozświetlające nocne niebo. Czarne kształty wybuchały jasnym ogniem i wijąc się spadały w płomieniach na ziemię. Nagle zauważyła, że żaden promień nie pochodzi od Anioła Niebios!

– Ashley! Uruchom nasze lasery! Natychmiast!

Ashley zachichotała znowu.

– To nie byłoby zabawne. Poza tym, jest już za późno.

Kilka Hazzini dostało się już do środka.

– Nie! – jęknęła Jan.

Wyciągnęła z futerału swoją ręczną broń. Zbyt wyraźnie

pamiętała spotkanie z Hazzini na *Władcy Pangloth*, jego odór, gdy wciągnął ją swoimi okrutnymi pazurami w ciasny, ciemny zakamarek na kadłubie, te inteligentne, przerażające oczy... niewidoczna blizna nagle zaczęła parzyć.

– Nie!

Wstała i pobiegła do windy.

Pojechała na poziom, na którym znajdowało się jej mieszkanie. Gdy drzwi się otworzyły, rozejrzała się ostrożnie na obie strony. Korytarz był pusty. Wyszła z windy z przygotowaną do strzału bronią. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Nagle zgasło światło.

– Ashley, Carl! Zapalcie z powrotem światła! – krzyknęła Jan.

Z przerażenia jej serce biło niewiarygodnie szybko. Ze wszystkich stron dobiegał chichot Ashley.

– Tak jest o wiele zabawniej. Cicho. Posłuchaj...! Słyszysz, jak Hazzini zbliża się do ciebie? Z lewej strony?

Jan odwróciła się i wypaliła w ciemność. Strumień światła z broni na chwilę oświetlił korytarz. Był pusty. Natychmiast znowu zapadła ciemność.

– Niech cię, Ashley! Zapal światła! Przyślij mi kilka pajaków! Chcę mieć ochronę! – krzyczała Jan.

Serce waliło jej jak oszalałe. Była pewna, że gdyby spotkała Hazzini, zabiłoby ją samo przerażenie.

– Ty już więcej nie wydajesz rozkazów, Jan – powiedziała pogodnie Ashley. – Wszystko się zmieniło. Znudziłaś mi się.

– Pozwól mi porozmawiać z Carlem!

– Carl także nie będzie teraz słuchał twoich rozkazów. Jan zdawało się, że słyszy coś z prawej strony. Wypaliła na ślepo. Strumienie światła znowu ukazały pusty korytarz.

– Dlaczego mi to robisz?! – krzyknęła.

– Ponieważ stałaś się bardzo męcząca. Nie tylko nie jesteś już zabawna, ale do tego jeszcze byłaś podła dla mojego przyjaciela Mila.

Jan miała ochotę wybuchnąć płaczem. A więc w końcu się to stało. Milo miał całkowity wpływ na Ashley. Znaczy to, że ma kontrolę nad wszystkimi programami Ashley, a także wszystkimi Carla. Jan z wściekłością wypaliła w sufit – próżny gest.

– Opanuj się – zbeształa ją Ashley, gdy Jan zaszlochała.

– Przywołaj Mila. Chcę z nim porozmawiać – powiedziała Jan, usiłując opanować paraliżujący strach.

Ale tym razem Ashley nie odpowiedziała.

– Ashley? Ashley! Przestań się wygłupiać, a niech cię! Cisza trwała nadal, aż...

Usłyszała dobiegający z prawej strony szmer. Coś szło korytarzem, szło na więcej niż jednej parze odnóży. Jan zaczęła biec w przeciwnym kierunku. W pewnym momencie natknęła się na ścianę korytarza. Uderzyła się mocno w łokieć. Poczula ból. Jęknęła. Zaczęła biec szybciej. Serce jej waliło, krew pulsowała w uszach...

Jan biegła prosto w objęcia czegoś, co czekało na nią w ciemności.

Książę du Lucent był sam w swoim gabinecie. Opierał się o stół przeznaczony do sporządzania map. Mapy były porzucane bezładnie, niektóre poplamione winem. Gdy książę pił swoim zwyczajem z butelki, dwa razy przewrócił kielich. Wypił niemal pół kwarty wina w ciągu ostatnich kilku godzin, ale nadal był boleśnie przytomny. Poczul delikatny prąd powietrza, świadczący o tym, że ktoś, wbrew jego ścisłym rozkazom, wszedł do gabinetu. Podniósł skłopotaną głowę i zaskoczony ujrzał swoją żonę.

– To ty? – powiedział. – Co tutaj robisz? Wiesz, że masz się trzymać ode mnie z daleka. A poza tym, wydałem rozkazy, żeby mi nie przeszkadzano. Wyjdź!

Nie poruszyła się. Po prostu stała w swojej czarnej sukni z kapturem, wpatrując się weń z nikłym, pogardliwym uśmiechem na kanciastej twarzy. Za nią pojawiła się jedna postać. Jego syn, książę Darcy. On także uśmiechał się pogardliwie.

Książę posłał im obojgu groźne spojrzenie.

– Co to ma znaczyć? Jakiś cholerny zjazd rodzinny? Wynoście się, zanim wezwę strażę. Dzisiaj wieczorem chcę być sam.

– Nie bój się, mężu, wkrótce będziesz sam – powiedziała księżna ponuro. – Całkiem sam, ale najpierw musimy porozmawiać. O Andrei. Książę jęknął i zakrył twarz dłonią w rękawiczce.

– Nie! Odmawiam rozmów na ten temat. Dostyc już cierpiałem!

– Ty cierpiałeś? – powtórzyła księżna. – A co z twoją córką? Zniszczyłeś jej piękność. Wyobraź sobie, co ona przeżywa. Co będzie musiała przeżywać przez resztę swojego życia!

– Proszę, dostyc! – krzyknął książę. – Co mogę zrobić, żeby to naprawić? Czy pomogłoby Andrei, gdybym sobie wydłubał oko?

– Jest sposób, by jej pomóc – powiedział syn.

Książę spojrział na nich przez rozsunięte palce.

– O czym wy mówicie? Chirurdzy nie mogą dać jej nowego oka...

– Nie, nasi chirurdzy nie – powiedziała księżna – ale Darcy mówi, że twój zdradziecki „sprzymierzeniec” opowiadał o wielu cudach Starej Nauki, które istnieją w tym podwodnym mieście, o maszynach, które mogą wyleczyć każdą chorobę.

– Ale to miejsce jest dla nas niedostępne – zauważył książę. – Leży na dnie morza i pod lodem Antarktydy.



– Tak – powiedział Darcy – ale te same cuda istnieją także na Aniele Niebios, jeśli nasz przyjaciel mówił prawdę, a to jest dla nas dostępne.

Książę odsłonił twarz. Ze zmęczeniem powiedział: – To jest poza dyskusją. Nie mamy żadnych szans przeciwko tej flocie.

– Nie będziemy atakować całej floty – odrzekł jego syn. – Tylko Anioła Niebios.

Wyślemy duże siły na szybowcach pod osłoną ciemności. Wylądują na Aniele Niebios i zdobędą go. Gdy Anioł Niebios znajdzie się pod naszą kontrolą, reszta floty będzie bezradna. Będziemy mieli środki, żeby wynagrodzić to Andrei, i dodatkowo premię w postaci tej kreatury Robina i jego maszyny.

Książę spojrział na syna i powiedział znużonym głosem: – Kiedy cię słucham, wydaje się to takie proste, ale szansę na powodzenie takiego ataku z zaskoczenia są bardzo znikome. Nie... – potrząsnął głową. – Nie będę ryzykować.

Księżna powiedziała zimno:

– Podjęcie tej decyzji nie jest już w twojej mocy. Wybuchła rewolucja.

Powiedziałabym, kontrolowana rewolucja. Niezadowolone odłamy armii chciały połączyć siły z wieśniakami. Żeby zapobiec takiemu obrotowi spraw, rodziny szlacheckie postanowiły, że ty ustąpisz z tronu i osadzisz na nim księcia Darcy jako nowego Władcę Niebios...

– To absurd! – roześmiał się książę. – Najwyraźniej nie jestem jedynym, który dzisiaj wieczorem pił wino. A teraz wyście się, zanim wezwę strażę, żeby was stąd wywlokły.

– Proszę, wezwij je – powiedział spokojnie Darcy.

Książę du Lucent zawołał. Otworzyły się drzwi i dwóch strażników weszło do środka z wyciągniętymi mieczami. Staęli

twarzami do księcia. Nie rozpoznał żadnego z nich. Przełknął ślinę i powiedział: – Przeprowadźcie barona Spanga. Muszę z nim porozmawiać... Księżna odparła: – Niestety, baron Spang był jednym z niewielu szlachetnie urodzonych, którzy pozostali w stosunku do ciebie lojalni. Właśnie niedawno zmarł z powodu poniesionych ran. – Wyciągnęła zwitek papieru. – To jest twoje oświadczenie o abdykacji. Proszę, podpisz to.

Położyła kartkę na stole, pomiędzy kałużami wina. Darcy położył pióro.

Księżę patrzył na to przez długą chwilę, następnie nalał sobie resztę wina. Wypił, i biorąc pióro, powiedział ze smutkiem: – To najwyraźniej nie był mój rok.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jan krzyknęła, gdy wbiły się w nią ostre pazury. Potwór miał niesamowitą siłę. Wyrwał jej z ręki bron i rzucił nią gwałtownie o ziemię. Nadal krzycząc uchyliła się przed morderczym ciosem Hazzini. Nagle zrobiło się jasno. Właśnie w tym momencie Ashley zdecydowała się z powrotem włączyć światło. Jan zamknęła oczy, nie chcąc widzieć Hazzini, który trzymał ją w swych pazurach. Na próżno próbowała zwinąć się w kłębek, żeby ochronić brzuch i gardło...

Rozległ się przeraźliwie głośny dziecięcy śmiech. Pazury puściły ją. Otworzyła oczy. Nad nią, uśmiechając się szeroko, stał Milo.

– Szkoda, że nie widziałas swojej twarzy – powiedział.

Coś nadchodziło korytarzem. Odwróciła się. Był to mechaniczny pajak. Za nim postępowało kilka innych. Pierwszy pajak powiedział pogodnym głosem Ashley: – Hej, byłaś naprawdę zabawna, Jan!

Wtedy nadszedł Robin. Otaczały go pająki. Na widok Jan ruszył ku niej zaniepokojony, ale jeden z pajaków powstrzymał go. Jan spojrzała jeszcze raz na Mila i wstała. Usiłowała zamaskować ustępujące przerażenie wyniosłym, pogardliwym spojrzeniem.

– Więc to wszystko było żartem, tak? – zapytała. – Hazzini nigdy nie dostały się na pokład?

– Och, kilka się dostało – powiedział Milo – ale wszystkie zostały wytepięone przez pająki. Przynajmniej mam nadzieję, że wszystkie.

Jego uśmiech zrobił się jeszcze bardziej złośliwy.

– Co z Kishem i Shanem? – spytała Jan. – Nie skrzywdziłeś ich, prawda?

– Nic im się nie stało. Są zamknięci we własnych mieszkaniach. Później będą musieli zdecydować, czy będą służyć mnie, tak, jak służyli tobie; wolę ludzkich służących niż mechanicznych; albo przeniosę ich na inny sterowiec, na czym poziom ich życia z pewnością ucierpi. Teraz chodź ze mną do szpitala. Jest coś, co muszę zrobić, zanim zajmę się poinformowaniem motłochu na innych sterowcach, że zaszła zmiana w zarządzaniu.

Jan z niepokojem szła za Milem do najbliższego szpitala. Robin był obok niej. Otaczały ich pająki. Nie mieli do tej pory okazji, żeby porozmawiać, ale Jan zauważyła, że Robin jest mimo wszystko dosyć pogodny. Milo, najwyraźniej w euforii, opowiadał o zmianach, jakie zaplanował dla reszty floty...

– Ci jęczący kretyni nie mają pojęcia, co na nich spadnie, kiedy moje ciało całkowicie dorośnie. Myśleli, że mają powody, żeby narzekać na ciebie! Do diabła, teraz koniec z łatwym życiem. Jeśli chcą zostać z flotą, będą pracować, a jak nie, to zostaną zrzuceni na ziemię...

– Tak, Milo! – zarechotał jeden z pajaków. – My im pokażemy. Głos Ashley był jakby odmłodzony.

Milo zatrzymał ich przed jedną z maszyn medycznych. Skinął na Robina.

– W porządku, rozbieraj się i wchodź do tego.

– Dlaczego, czuję się dobrze – zaprotestował Robin.

– Chcesz zgadnąć, jak długo będziesz się czuł dobrze? Rób, co ci każę! – powiedział Milo.

Robin zrzucił szybko swoje średniowieczne ubranie, posyłając

Jan przeproszające spojrzenie. Ashley westchnęła lubieżnie, Jan zaś starała się unikać patrzenia na niego, gdy stał rozebrany przed maszyną, która otwierała się już na jego przyjęcie. Miał właśnie wejść do środka, gdy zatrzymał się i zdjął z palca pierścień. Odwrócił się i podał go Jan.

– Proszę, zatrzymaj to. Na pamiątkę, gdyby coś mi się stało.

Kiedy Jan brała pierścień, Milo powiedział z rozbawieniem: – Prawdziwy melodramat, Robin Hoodzie, ale to tylko maszyna medyczna, a nie krwawy rozeń.

– Wieczór dopiero się zaczął. Jestem pewien, że co innego przygotowałaś na później – odparł Robin, kładąc się na leżance.

Kiedy leżanka zniknęła we wnętrzu maszyny, Jan nałożyła pierścień na środkowy palec. Ozdabiał go mały kamień w wąskiej złotej oprawie.

– Czy chciałabyś, żebyśmy z Ashley wykopali z biblioteki dźwiękowej *Marsza weselnego*? – zapytał Milo, obserwując Jan.

Jan powiedziała:

– Po co to wszystko? Czemu ty mu to robisz?

– Powiedział mi, że ma w czaszce wszczepione urządzenie, dzięki któremu może kontrolować swoją maszynę: wysadzić ją zdalnie w powietrze, jeśli to będzie konieczne, a razem z nią i nas. Nie wierzę mu. Ashley – dodał pośpiesznie – połącz się z tą maszyną. Chcę, żeby ten podejrzany przybysz został dokładnie zbadany. Szukaj wszystkiego, co nie należy do niego: jakiejś części mechanicznej lub biologicznej.

– Tak jest, szefie.

Badanie trwało kilka minut.

– Nie ma czegoś takiego – poinformowała Ashley. – Na pewno blefował.

Maszyna medyczna zaczęła wysuwać leżankę z Robinem. Jan

czekała z niepokojem, ale wkrótce się przekonała, że nic mu nie jest. Zanim znowu odwróciła oczy od jego nagości, zauważyła, że blizna na jego twarzy zniknęła.

– W porządku, Robin Hoodzie, wejdź z powrotem w swoje teatralne ubranie i pończochy – rozkazał Milo. Kiedy Robin się ubrał, Milo powiedział: – Najwyższy czas, żebyśmy wreszcie poważnie porozmawiali. Nie ma żadnego samodestrukcyjnego systemu w twojej maszynie, prawda?

Robin przesunął ręką po twarzy w miejscu, gdzie była blizna, spojrzał na Jan, po czym powiedział do Mila: – Nie.

– Więc gdybym rozkazał jednemu z pajaków otworzyć luk, nic by się nie stało? – kontynuował Milo.

– Nie. Miałem na myśli co innego. Mógłbyś się dostać do środka, ale ona nie będzie cię słuchała. Wykonuje tylko moje rozkazy.

– To mnie nie dziwi – powiedział Milo. Ale wszystkie komputery mogą zostać przeprogramowane i jestem pewien, że znasz kody, które by to umożliwiły. Znasz je, prawda?

Robin nie odpowiedział. Milo rozkazał: – Ashley, zrób to!

Jeden z mechanicznych pajaków, stojących obok Jan, nagle rzucił się na nią. Macka zacisnęła się na jej talii i brzęczące narzędzie tnące zbliżyło się do jej gardła. Jan zamarła z przerażenia.

– Nie...! – krzyknął Robin. Milo podniósł rękę.

– Rozluźnij się – powiedział do Robina. – Nie stanie jej się nic złego, pod warunkiem, że zgodzisz się na współpracę. Chcę, żeby twoja maszyna słuchała tylko mnie. Dajesz słowo? W przeciwnym razie twój Anioł Niebios umrze, a ja użyję innych, bardziej kłopotliwych metod, żeby uzyskać twoją współpracę.

– Blefuje – powiedziała Jan, usiłując nie zwracać uwagi na

narzędzie, które brzęczało przy jej gardle. – Nie skrzywdziłby mnie.

– Nie bądź taka pewna. Poza tym, wybór może nie należeć do mnie. Ashley może to wziąć w swoje, że tak powiem, „ręce”...

– Zostaw ją – powiedział drżącym głosem Robin. – Zrobię, czego będziesz chciał.

Przysięgam.

– I ja ci wierzę, Robinie z Sherwood – roześmiał się Milo. – Nigdy do tej pory nie widziałem tak wyraźnie miłości w niczyich oczach. Zostałeś naprawdę zauroczony przez swoją panią. Kiedy tylko będę miał czas, spędzimy razem kilka miłych godzin i wprowadzisz mnie w tajniki swojej wspaniałej maszyny. Jestem szczególnie zainteresowany bronią. Ale na razie mam pilniejsze sprawy do załatwienia... Ashley, zabierz ich do mieszkania Jan. Mam przeczucie, że chcą zostać sami. Ale dobrze ich pilnuj.

– Zaczekaj, Milo – powiedziała Jan. – Co chcesz zrobić?

– Z wami? W tej chwili nic, jeżeli będziecie się dobrze sprawować.

– Nie, chodzi mi o flotę... i ludzi na Ziemi...

– Powiedziałem ci, co zamierzam zrobić z flotą. Wydać Nowy Rozkaz. A jakiegokolwiek próby oporu zostaną natychmiast zlikwidowane.

– Tak! – powiedziała Ashley z entuzjazmem.

– A jeśli chodzi o ludność Phoenix Two, o to, co z niej zostało, od tej pory będą sobie radzić sami. Kieruję flotę na południe. Najwyższy czas spotkać się z tą opozycją na niebie Ameryki Południowej...

– Czy nie mógłbyś przynajmniej zniszczyć tych gniazd Hazzini, zanim odlecisz? – zapytała Jan.

– Tego wieczoru musimy spalić tysiące kreatur; dlaczego

mielibyśmy tracić więcej energii? Poza tym, co nas to obchodzi? Plagi, jak już odkryłaś, nie można zatrzymać.

– Pałac gniazda, zniszczyłbyś przynajmniej jedno źródło zarazy. Wcześniej czy później te Hazzini rozplenia się na inne tereny.

– Obawiam się, że nie mam twojego zapachu do krucjat, moja droga Jan. Zabierz ich, Ashley.

Milo patrzył chwilę za Jan i Robinem wyprowadzanymi ze szpitala przez cztery mechaniczne pająki, po czym powiedział: – W porządku. Teraz zatrzymaj pracę pomieszczenia kontrolnego. Chciałbym zostać połączony z systemami PA na wszystkich sterowcach. – Zatarł ręce na myśl o tym. – To będzie bardzo przyjemne.

– Nie podoba mi się to – powiedział mechaniczny pająk posępnym głosem.

– Co? – Milo spojrział na niego ze zdziwieniem. – Myślałem, że tego właśnie chciałaś, Ashley. To o tym rozmawialiśmy.

– Nie mam na myśli tego, mam na myśli ich. Pozwalasz im zostać sam na sam.

Wiesz, co będą razem robić. Domyślił się, o co chodzi.

– Och, rozumiem.

Ona – to coś – nie, właściwie nadal ona – jest zazdrosna. A raczej, wydawało mu się, że jest zazdrosna, gdyż, o ile był w stanie ją zrozumieć, nie była zdolna do prawdziwych emocji. Ale tak czy siak, rezultat był ten sam i będzie musiał ją zadowolić. Powiedział łagodnie: – To tylko na razie. Dopóki nie wydobędę z niego potrzebnych mi informacji. Im bliżej będą ze sobą, tym bardziej mogę być pewien jego szczerzej współpracy z nią jako moją zakładniczką. Kiedy uzyskam całkowitą kontrolę nad tą latającą maszyną, będzie można się go pozbyć.



– Dobrze – powiedziała Ashley. – Ale nie rozumiem, czemu potrzebujesz tej brzydkiej maszyny, kiedy masz mnie.

– My jej potrzebujemy, Ashley, jako rezerwy, na wypadek, gdybyśmy się wplątali w coś, czemu nie moglibyśmy sprostać.

Nie dodał, że potrzebuje jej jako osobistego zabezpieczenia. Nie wiedział, jak długo będzie mógł polegać na Ashley. Mając pod kontrolą tę maszynę, mógłby ją zmusić do współpracy, gdyby wszystko inne zawiodło. Gdyby przyszło najgorsze, mógłby także na niej uciec.

– A co z Jan? Czyjej się także pozbędziemy?

– Jeśli będzie się dobrze sprawowała, to nie. Mam w stosunku do niej dalsze plany. – Spojrzał na siebie. – Kiedy trochę bardziej podrosnę.

– Nie rozumiem.

– Chciałbym wznowić fizyczny związek z Jan Dorvin, który przez krótki czas sprawiał mi wielką przyjemność w moim poprzednim wcieleniu.

– Och – powiedziała Ashley.

– Zważywszy na to, co się stało, jesteś dziwnie pogodny. Jan patrzyła na Robina, który usiadł na tapczanie i uśmiechnął się do niej.

– Dlaczego nie? Nadal żyję, a co więcej jestem sam z tobą. – Dotknął swego policzka. – Chociaż szkoda blizny. Zdążyłem się do niej przyzwyczać.

– Ja nie. Była okropna. O wiele lepiej wyglądasz bez niej.

Jan poczuła rosnące ciepło w lędźwiach. Była zaniepokojona samą sobą. Nie był to najbardziej odpowiedni moment na takie uczucia.

– Ależ my nie jesteśmy sami – powiedziała ze złością. – Pająki mogły zostać za drzwiami, ale możesz być pewien, że jesteśmy

obserwowani przez Ashley.

– A co mnie to obchodzi? – Wyciągnął do niej ramiona. – Chodź i usiądź obok mnie.

– Nie. Chodź ze mną do łazienki – powiedziała.

Zaskoczyło go to, ale uśmiechnął się i wstał.

– Wolałbym sypialnię, ale...

Kiedy zamknęła drzwi łazienki i odwróciła się do niego, przytulił ją. Ignorując reakcję swojego własnego ciała na jego bliskość, odepchnęła go.

– Posłuchaj – powiedziała szeptem – tutaj nie ma czujników. Nalegałam na to. To się prawdopodobnie zmieni, ale jestem pewna, że nie mieli jeszcze czasu zainstalować ich tutaj. Na razie możemy spokojnie porozmawiać.

– Dobrze. Kocham cię.

– Nie bądź głupi – powiedziała, chociaż jego słowa sprawiły, że poczuła lekki zawrót głowy. – Musimy ustalić, co zrobimy. Wiesz, co się stanie, gdy tylko dasz Milowi to, czego on chce. Zabije cię.

Nadal uśmiechając się, Robin odchylił się do tyłu nad wanną.

– Czy ty mnie kochasz? Myślę, że tak, ale chciałbym usłyszeć, jak to mówisz. Miała ochotę głośno krzyknąć tak. Bogini Matko, co się z nią działo? Drżącym głosem powiedziała: – Proszę cię, czy mógłbyś mówić poważnie?

– Mówię poważnie.

– Będziesz poważnie martwy, jeśli czegoś nie zrobimy. Ale nie przychodzi mi do głowy nic, co moglibyśmy zrobić... kiedy Ashley jest po stronie Mila, jesteśmy zupełnie bezbronni. Masz jakiś pomysł?

Westchnął i skrzyżował ręce na piersiach.

– Wszystko, co teraz możemy zrobić, to grać na zwłokę i czekać na okazję.

– Okazję? Okazję na co?

– Na ucieczkę... lub cokolwiek innego – powiedział wzruszając ramionami. – Coś się zmieni.

– Cóż, dzięki Bogini Matce, że miałam szczęście związać się z takim wielkim strategiem. Zaczynałam się martwić. Roześmiała się.

– Martwisz się zbyt dużo.

Roześmiała się także. W tak beznadziejnej sytuacji rzeczywiście można było jedynie ulec jego podnieceniu i dobremu humorowi. Być może mimo wszystko nie było aż tak źle, jak się wydawało. Może Robin ma coś w zanadrzu...

Kiedy znowu ją przytulił, poddała się sile porywających ją uczuć. Przeszedł ją dreszcz, gdy jego wargi zamknęły się na jej ustach. Nieokreślone poczucie winy, spowodowane radością, jaką czerpała z tej ogromnej przyjemności, zostało szybko stłumione. Pozwoliła mu się zabrać do sypialni. Położył ją na łóżku i powoli rozebrał. Później rozebrał się sam. Tym razem nie odwracała oczu.

– Nie dotykaj mnie tam – powiedziała sennie. – Proszę. Całował ją między piersiami.

Przestał i oparł głowę na łokciu.

– Nie lubisz tego?

– Kiedyś zostałam tam zraniona... aż dotąd...

Pokazała palcem linię biegnącą od gardła w dół, między piersiami i na brzuchu. Wydawało jej się, że rękę ma bardzo ciężką. Tak jak i resztę ciała. Była zmęczona; tonęła w ciepłym, kojącym półśnie. Kochanie się było wspaniale wyczerpujące.

– Teraz nie widzę tutaj żadnego śladu rany – powiedział Robin.

– Jest niewidoczna z zewnątrz. Ale nadal ją tam czuję. Nie lubię, gdy się jej dotyka... Zrobił to Hazzini, omal mnie nie zabił.

Delikatnie pogładził ją po twarzy.

– Nie myśl o tym. Zaśnij.

Łóżko zadrżało lekko. Sterowiec rozpoczął lot. Flota kierowała się na południe, a ci, którzy nadal jeszcze żyli tam w dole, w Phoenix Two, zostaną pozostawieni samym sobie. I Hazzini.

– Czy myślisz, że Miło żartował...? – spytała.

– Żartował z czym, kochanie?

– Hazzini... powiedział, że wydaje mu się, że wszystkie, jakie dostały się na pokład, zostały zabite.

– Boisz się ich, prawda?

– Przerazają mnie. Rozumiałbyś to, gdybyś widział jakiegoś z bliska. Okropne. To maszyny nienawiści... maszyny nienawiści stworzone przez człowieka, zaprogramowane tylko i wyłącznie do rozmnażania się i zabijania ludzi. Żywa broń.

Myśl choćby o jednym z nich, pozostawionym na sterowcu... Brr! – Zatrzęsa się.

Robin otoczył ją ramieniem.

– Hej, wszystko w porządku. Nie będziesz już nigdy więcej sama. Teraz masz mnie.

Zawsze będę cię chronił. Jan bardzo chciała w to wierzyć.

Milo pochylił się pod wiatr, który szczypał go w oczy. Omal nie wypadł. Mechaniczny pajak wyciągnął ramię, żeby go przytrzymać. Milo nadal jeszcze nie ważył dużo i bał się, że ten piekielny wiatr go porwie.

– Nadal lecimy zbyt szybko! – krzyknął. – Zwolnij! Zwolnij!

– Lecimy z minimalną prędkością, Milo – powiedział mechaniczny pajak stanowczym głosem Carla.

Ashley dąsała się i nie rozmawiała z nim przez cały ranek, z czego był bardzo zadowolony.

– To ten południowy wiatr; osiąga czterdzieści mil na godzinę. Znad wybrzeża nadchodzi burza.

– Chryste – mruknął Milo.

Spojrzał z wściekłością na Robina, który był całkowicie na luzie. Ten bękart lepiej by zrobił, gdyby nie był taki pewny siebie.

– Dobrze. Otwórz to. I odsuń się.

Milo patrzył podejrzliwie, jak Robin otwiera luk swojej latającej maszyny, po czym robi krok do tyłu, tak jak mu kazano. Milo wysłał do środka mechanicznego pająka.

– No i? – zapytał innego pająka.

– Jest bezpieczna – powiedział Carl. – Możesz wejść.

– Ty wejdź pierwszy – rozkazał Milo, celując do Robina z broni Jan. Robin usłuchał.

Milo niespokojnie wspiał się za nim. We wnętrzu maszyny było ciasno. I ciemno.

– Zapal światła – powiedział.

Robin nacisnął guzik na konsoli, ale światło się nie zapaliło. Sama konsola także była ciemna. Robin naciskał kolejne guziki. Nic się nie stało.

– Co jest? Robin westchnął.

– Myślę, że baterie się wyczerpały.

– Co? Co ty knujesz? – Milo dźgnął Robina bronią.

– Cóż, niezupełnie baterie. Paliwo. Dostarcza całej mocy. Najwyraźniej wymaga ponownego naładowania. Powinienem był o tym pomyśleć... ale do tej pory nigdy nie podróżowałem tak daleko od stacji badawczej.

– Co ty kombinujesz? – warknął Milo szturchając go znowu. – Uruchom ją! Wiesz, co się stanie, jeśli zawiedziesz! Robin odwrócił się i spojrzał na niego.

– Mówię ci prawdę. Maszyna jest nieczynna. Martwa. Komora paliwowa musi zostać naładowana.

– A jak to zrobimy? – zapytał Milo. Robin wzruszył ramionami.

– To nie powinno być zbyt trudne. Z tyłu w zagłębieniu kadłuba znajduje się oznaczony punkt. Każ pająkom wykonać konieczne wewnętrzne połączenie, a następnie przeprowadź kable z najbliższego źródła mocy.

– Ach tak, to proste – mruknął Milo. – Carl, jak długo to będzie trwało?

– Taki długi kabel trzeba wymontować z systemu sterowca. To zabierze dwadzieścia cztery godziny. Urządzenie kontrolne można wyprodukować w ciągu kilku godzin od momentu otrzymania danych.

– Och, wspaniale – powiedział Milo sarkastycznie. – Właśnie tego mi było trzeba.

To była długa noc. Po radiowym ultimatum Mila, ogłoszonym ostatniego wieczoru, na trzech Władcach Niebios wybuchła rewolucja. Była znacznie trudniejsza do stłumienia, niż się tego spodziewał. Jeszcze jedno powstanie tliło się na pokładzie *Władcy Montcalma* i Milo był zmuszony przenieść posiłki w postaci mechanicznych pajaków z innych sterowców, pozostawiając ich tam niebezpiecznie mało. Podejrzewał, że to wszystko dzieje się z winy Ashley. Trudno było z nią współpracować, a w dodatku nie chciała z nim rozmawiać. Poczul się zagrożony. Potrzebował tej cholernej maszyny.

Powiedział ponuro do Robina: – W porządku, masz jeszcze jedno dwadzieścia cztery godziny, ale jeśli potem maszyna nadal nie będzie działać, przestanę być taki miły.

Odległe bicie dzwonów wyrwało księcia z pijackiego snu. Wygramolił się z łóżka i chwiejnym krokiem przeszedł niewielką

odległość do drzwi. Załomotał. Strażnik otworzył.

– Czego chcesz teraz, panie? Więcej wina?

– Alarm! – wykrztusił książę. – Miał sucho w gardle i czuł się chory. – Co się stało?

– Nie wiem. Voss poszedł zobaczyć.

Nadbiegł drugi strażnik. Był wstrząśnięty.

– Jesteśmy otoczeni! – krzyknął.

– Otoczeni przez co? – zapytał książę.

– Przez flotę... *Miecz Islamu* i inni... znaleźli nas znowu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Fascynują mnie te twoje Eloje, Robin – powiedział Milo z buzią pełną prawdziwego kurczaka. – Chciałbym je zobaczyć. Oczywiście chciałbym zobaczyć też samą stację badawczą.

Milo bawił się w łaskawego gospodarza. Jan zauważyła, że od rana jego nastrój znacznie się poprawił. Rewolucja na sterowcu *Władca Montcalm* została całkowicie stłumiona i właśnie trwały prace nad przyłączeniem kabla do latającej maszyny Robina. Milo był w tak dobrym nastroju, że odwołał mechaniczne pająki, które pilnowały Jan i Robina, a nawet zaprosił ich na obiad. Do stołu podawali Kish i Shan. Jan odwiedziła ich i wytłumaczyła, że w ich własnym interesie jest pozostać na Aniele Niebios i być służącymi Mila. Zgadzała się z Milem, że jest mało prawdopodobne, by przeżyli dłuższy czas na jakimkolwiek innym sterowcu.

Teraz powiedziała:

– Mnie Eloje wydają się odrażające. Miały możliwość zrobienia czegoś, żeby pomóc światu po Wojnach Genetycznych, a zamiast tego zamknęły się w sztucznym świecie nieustającej przyjemności.

– Ich świat nie jest wcale bardziej „sztuczny” niż twój – odrzekł pogodnie Milo. – One tylko przeniosły swoje mózgi na inny poziom niż ten, na którym natura i inżynieria genetyczna, która projektowała Główny Wzorzec, umieściła także twój mózg, moja droga Jan. Ich wersja rzeczywistości jest właściwie tak samo uzasadniona, jak twoja. Wszystko jest względne, nie istnieją absoluty. Poza tym, czy to, czego chciały Eloje, różni się od tego,



czego chcieli dawniej chrześcijańscy i buddyjscy mnisi? Oni także odcinali się od świata, by szukać stanu całkowitego spokoju, „jedności z Bogiem”, nirwany lub czegoś innego...

– Milo, proszę cię, nie rób nam znowu jakiegoś cholernego wykładu – powiedziała Jan ze znużeniem. – Usiłuję jeść.

Maska dobrego humoru opadła nagle z twarzy Mila. Powiedział do Robina: – Z początku myślałem, że twoja maszyna jest po prostu przerobionym flipperem, ale po bliższym zbadaniu zrozumiałem, że to nie to. To wcale nie jest statek Starej Nauki, ale produkt Nowej Nauki. Myślę więc, że niektóre Eloje nadal są zainteresowane światem fizycznym; przynajmniej na tyle, żeby rozwijać nowe technologie.

Robin potrząsnął głową.

– Nie, to nie Eloje, robią to programy stacji badawczej.

Wyjaśnił, podobnie jak księciu i jego ludziom, że Eloje, zanim zostały Elojami, stworzyły programy, które mogą ulepszać różne rzeczy. W ten sposób chciały sobie zapewnić obrońców, którzy mogliby się zmieniać tak, żeby radzić sobie z każdym nowym, nieprzewidzianym zagrożeniem.

– Nowe technologie... – uśmiechnął się Milo – Wszystkie znajdują się tam, w tej stacji badawczej, są tam też programy zdolne do produkowania ich w jeszcze większej ilości. – Uśmiechnął się chytrze do Robina. – Maszyna zna położenie stacji badawczej, prawda?

– Tak – przyznał Robin – ale podróż do niej nie przyniesie ci żadnych korzyści. Programy nie będą z tobą współpracowały.

– Och, jestem pewien, że znajdę sposób, by je przekonać – powiedział Milo z zadowoleniem.

– Nie rozumiem, jak to się stało, że pozwolono ci wyrosnąć – zwróciła się Jan do Robina. – Dlaczego programy, kiedy

zobaczyły, że jesteś niedopatrzaniem, nie zniszczyły cię albo nie zamieniły w Eloja?

– Nie pozwoliłyby na to Program Etyczny – powiedział Robin.

– Program Etyczny? – zapytał szybko Milo. – Co to jest?

– Stworzyły go Eloje, zanim jeszcze zostały Elojami. Wiedziały, że gdy zmienią się w Eloje, nie będą miały poczucia etyki. Żeby to zrekompensować, stworzyły Program Etyczny.

– Ale dlaczego? O co chodziło? – zapytał Milo, najwyraźniej zdumiony.

– Program Etyczny kontroluje same Eloje. Pilnuje, by żaden Eloi, dla kaprysu lub przez przypadek, nie zrobił czegoś, co skrzywdziłoby jego samego lub kogokolwiek innego. I, jak już powiedziałem, programy nadal prowadzą badania biologiczne. Czasami w celach eksperymentalnych produkują zarodki. Program Etyczny gwarantuje, że zarodki zostaną zniszczone po dwunastu tygodniach życia, zgodnie z ustaleniami Stanów Zjednoczonych...

– Stany Zjednoczone! – wykrzyknął Milo. – Kiedy po upadku tych narodów przestał istnieć Sojusz Radziecko–Amerykański, Stany Zjednoczone utraciły swoją potęgę. Do czasu Wojen Genetycznych to wszystko minęło.

Robin popatrzył na niego uważnie i powiedział: – Eloje należały do stowarzyszenia zapalonych naukowców... przedtem. Ich punktem honoru było trzymanie się starych reguł.

– Jeśli były takie honorowe, to dlaczego porzuciły świat po Wojnach Genetycznych? – zapytała Jan.

– Mogę ci tylko powiedzieć to, co przekazały mi programy – odrzekł Robin. – Według nich, Eloje były tak rozczarowane i zniechęcone zaistniałą sytuacją (a musisz pamiętać, że zaraz po Wojnach Genetycznych wyglądało na to, iż stworzone przez

człowieka plagi w krótkim czasie wyniszczą resztę ludzkości), że podjęły decyzję zamknięcia się w czarodziejskiej krainie, którą same stworzyły za pomocą inżynierii genetycznej. W każdym razie to dlatego jestem tutaj taki, jaki jestem. Zanim odkryto niedopatrzenie, przeżyłem dwanaście tygodni i Program Etyczny sprzeciwił się zarówno zniszczeniu mnie, jak i genetycznej ingerencji w jakiejkolwiek innej formie. Poza tym, w przeciwieństwie do innych (z wyjątkiem genetycznych reprodukcji Elojów, ale to zupełnie inna sprawa...), nie mogłem jeszcze podjąć decyzji, żeby zostać Elojem...

Milo nie był przekonany.

– I żyłeś te dwanaście tygodni przez przypadek? Jak to się stało, że te superprogramy popełniły taki głupi błąd? Coś się tutaj nie zgadza.

Robin wzruszył ramionami.

– Mogę powtórzyć tylko to, co mi powiedziano. Nie znam żadnej innej przyczyny mojego istnienia.

Milo w zamyśleniu przesunął ręką po resztkę włosów, po czym uśmiechnął się do Robina i powiedział: – Cóż, jakakolwiek jest prawda, wszyscy mamy powód, żeby się cieszyć, że istniejesz. – Odwrócił się do Jan. – Zgadzasz się ze mną?

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, sprawiło, że Jan poczuła się tak, jakby właśnie połknęła coś obrzydliwego.

– Chce się z tobą widzieć.

– Ze mną? Dlaczego? – zapytał książę du Lucent, udając, że mu na tym wcale nie zależy. – Czyżby nie wiedział o drastycznej zmianie mojego statusu?

– Tak, poinformowano go – powiedział ponuro jego syn – ale z matką nie chce rozmawiać. Ponieważ ona jest kobietą, jak mówi. To wbrew jego religii.

– A ty? Słyszałem, że jesteś mężczyzną? Darcy z trudem się opanował.

– On także nie uznaje mnie za przywódcę *Władcy Mordreda*. Nazwał mnie „chłopcem” i... kaleką.

– Więc znowu mam ryzykować życie i połamanie kości, żeby negocjować z El Rashadem w imieniu twoim i twojej matki? A to dlaczego? – Książę du Lucent skrzyżował ręce na piersiach i usiadł.

Darcy odchrząknął i powiedział niechętnie: – Nie zaatakują *Władcy Mordreda* tylko pod tym warunkiem, że ty powrócisz na tron.

Książę roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

– Nic dziwnego, że przychodzisz do mnie sam – powiedział. – Twoja matka musi się teraz porządnie wściekać. Cóż, dobrze, przyjmuję twoją rezygnację. Później zdecyduję, jak ukarać ciebie, twoją matkę i twoich zwolenników. – Wstał. – Na razie polecę na *Miecz Islamu* i zrobię, co będę mógł, żeby ratować sytuację.

Bardzo powoli, jakby ten ruch wymagał odeń nadludzkiego wysiłku (nie było to zresztą dalekie od prawdy), Darcy pokłonił się księciu i powiedział cicho: – Tak, ojcze.

Godzinę później, kiedy książę siedział ze skrzyżowanymi nogami przed El Rashadem, całe jego poczucie triumfu zniknęło. Bardziej niż oczywiste było, że powód, dla którego El Rashad przywrócił go do władzy, nie ma nic wspólnego z altruizmem.

– Jesteś głupcem. Patetycznym głupcem – poinformował go El Rashad. – Nie chciałeś mnie słuchać i w rezultacie straciłeś wszystko. Mówiłem ci, że mnie powinieneś oddać Ziemianina. Moje tortury odkryłyby nam wszystkie jego sekrety. Ale nie, wolałeś użyć swoich własnych metod perswazji. Sam wyruszyłeś na podbój Anioła Niebios i...

– Nie opuściłem twojej floty specjalnie – przerwał ksiązę. – To wina burzy... rozproszyła nas...

– Milcz! – krzyknął El Rashad. – Wiem, co się stało. I teraz się dowiaduję, że Ziemianin połączył siły z Aniołem Niebios, dzięki czemu nasze zadanie stało się dwa razy trudniejsze, a wszystko dzięki tobie.

– Zdradził mnie... skąd miałem wiedzieć? – powiedział z rozpaczą w głosie ksiązę. – Wyglądało na to, że on... cóż, on i moja córka byli... Byłem pewien...

Umilkł pod nieubłaganym spojrzeniem El Rashada.

– Spróbujesz się zrehabilitować – powiedział El Rashad.

– Chętnie! Ale jak? Oczywiście podzielę się wszystkimi moimi zdobyczami, ale...

– Zrehabilitujesz się prowadząc atak na flotę Anioła Niebios. Poświęcisz siebie i swój sterowiec, uderzając na Anioła Niebios. To da nam szansę zaatakowania na szybowcach innych sterowców.

– Samobójczy atak...? – zapytał słabo ksiązę. – A... ee... jeśli odmówię?

– Wtedy zostaniesz stąd zabrany i poddany torturom. Po godzinie dostaniesz sztylet. Zapewniam cię, że będziesz więcej niż szczęśliwy, mogąc poderżnąć sobie gardło.

Ksiązę skinął głową i powiedział: – Tak, rozumiem.

Gorąco pragnął, żeby jego żona i jego syn byli tutaj zamiast niego.

Jan patrzyła na śpiącego Robina i dziwiła się, jak on może spokojnie spać w takich okolicznościach. Wiedział, ponieważ stale mu to powtarzała, że jego życie przestanie mieć jakąkolwiek wartość, gdy Milo dostanie to, czego chce, ale kiedy skończyli się kochać, Robin powiedział jej jeszcze raz, żeby się nie martwiła, i

szybko zapadł w głęboki sen. Jan jednak była ogromnie niespokojna. Nie mogła zasnąć. Robin nie był głupi, musiał więc mieć coś w zanadrzu, ale Jan szalenie się denerwowała, że nie wie, co to takiego...

Robin był w równie pogodnym nastroju przy śniadaniu, podanym przez dziwnie ponurego Kisha. Kiedy Kish odszedł, skinął na Jan, by poszła z nim do łazienki. Kiedy znaleźli się w środku, szepnął: – Teraz kolej na nas.

Dzięki Bogini Matce – odetchnęła Jan w duchu. Miała nadzieję, że Robin nie oszukuje samego siebie, gdyż jej zdaniem z tej sytuacji nie było wyjścia.

– No dalej – ponagliła go. – Powiedz mi, co to jest.

– W pobliżu, na tym poziomie, znajduje się wyjście na otwarty pomost. Wiesz, który?

Skinęła głową. To stamtąd kilka miesięcy temu, kiedy jeszcze miała syna, wyrzuciła w ciemność nocy czaszkę Mila.

– Idź tam teraz – szepnął. – Ale zwyczajnie, jakbyś właśnie chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Po pięciu minutach pójde za tobą.

– A co potem? – zapytała rozczarowana. – Wskoczymy za burtę? Nie mów mi, że schowałeś tam dwa spadochrony! Posłał jej czuły uśmiech.

– Lepiej. *Maskotkę*. Przybędzie nam na spotkanie moja latająca maszyna.

Nadzieja Jan zgasła równie szybko, jak zaświtała.

– Ale to niemożliwe! Mechaniczne pająki nie naładowały jeszcze komory paliwowej.

Przed śniadaniem poprosiła Carla o raport. Pająki musiały jeszcze doprowadzić do maszyny kabel.

– To nie ma znaczenia. Jest jeszcze dużo paliwa w komorze

paliwowej. Wystarczy, żeby dolecieć do Shangri La i z powrotem. Okłamałem Mila, że maszyna jest nieczynna. Po prostu jej nie uruchomiłem. No, idź...

– Poczekaj! – powiedziała. – Co zrobimy potem? Jeśli w ogóle uda nam się wejść do twojej maszyny.

– Myśl pozytywnie. Dostaniemy się do maszyny – odparł. – Wtedy polecimy na dół i pošlemy promień laserowy w stronę pomieszczenia kontrolnego i tego cholernego głównego komputera. Żegnaj, Ashley.

– A co z innymi Ashley? Na innych statkach? Wzruszył ramionami.

– Zaserwujemy im to samo lekarstwo, jeśli to będzie konieczne. Przytulił ją i szybko, mocno pocałował w usta.

– Nie rozumiem – powiedziała Jan, gdy popchnął ją delikatnie w kierunku drzwi. – W jaki sposób wezwiesz swoją maszynę do naszego pomostu?

– Odpowiedź na to, kochanie – powiedział tajemniczo – jest w twoich rękach. Teraz idź! Wkrótce wszystko się wyjaśni...

Minęło więcej niż dziesięć minut. Była tego pewna. Zastanawiała się niespokojnie, gdzie jest Robin. Jeszcze raz rozejrzała się po pomoście, w obawie, że prędzej pojawi się tu mechaniczny pająk niż Robin.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do spokoju. Wiedział, co robi – taką przynajmniej miała nadzieję – a ona powinna wyglądać tak, jakby podziwiała widoki. Spojrzała jeszcze raz na ziemię i zobaczyła białe i żółte plamy, oznaczające, że statek znajduje się nad terytorium dotkniętym zarazą. Westchnęła na myśl o swoim wielkim planie uwolnienia świata od zarazy... Jakaż była głupia. Nigdy nie miała szans.

Ciekawa była, co Robin miał na myśli, mówiąc, że odpowiedź

jest w jej rękach? Spojrzała na swoje ręce i nie ujrzała żadnej odpowiedzi. Ale wkrótce się dowie...

Kiedy minęło, jak sądziła, ponad pół godziny, westchnęła i wróciła do środka, przekonana, że stało się coś strasznego. W drodze powrotnej do swojego mieszkania spotkała Kisha, który stał na korytarzu z nisko opuszczoną głową, wciśnięty plecami w ścianę. Kiedy do niego podeszła, podniósł głowę i popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Co mu się mogło stać? Czy jest chory? A może Milo mu coś zrobił? Jan poczuła, że ogarniają przerażenie. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Kish wyszeptał: – Cieszę się, że to zrobiłem.

– Co zrobiłeś, Kish? Dobrze się czujesz?

Wzięła go za ramię i z niepokojem zajrzała mu w twarz. W odpowiedzi wskazał otwarte drzwi jej mieszkania w głębi korytarza. Jan natychmiast tam pobiegła.

O czym on mówi? Upił się, czy...?

Stała w drzwiach. Lodowata ręka zacisnęła się gdzieś w jej wnętrzu. Jęknęła.

Robin leżał na wznak na środku salonu. Obok niego zauważyła kawałek blachy.

Podbiegła do niego, wołając go po imieniu. Uklękła i znów jęknęła. Na lewej skroni Robina zobaczyła ranę. Głębokie cięcie, z którego lała się krew. Było na dwa cale długie i na cal szerokie. Siła uderzenia musiała być ogromna. Podniosła głowę i krzyknęła: – Ashley! Carl! Przyślijcie tutaj kilka pajaków! Chcę, żebyście go natychmiast zabrali do najbliższej maszyny medycznej! Słyszycie?!

– Tak, słyszę – odpowiedziała Ashley. – A moja odpowiedź brzmi: nie.

– Co? – krzyknęła Jan nie wierząc własnym uszom. – Czyś ty



oszałała? Robin może umiera, jeśli już nie umarł! Przyślij pomoc!

– Nie obchodzi mnie, czy umiera, czy nie – powiedziała Ashley.

– Kocham cię.

Odwróciła się. W drzwiach stał Kish i patrzył na nią. Twarz miał bez wyrazu.

– Dlatego właśnie to zrobiłem. Z twojego powodu.

– Ty zrobiłeś to Robinowi? – spytała ze zdziwieniem. – Ale dlaczego?

– Właśnie ci powiedziałem – odrzekł Kish bezbarwnym głosem.

– Ponieważ cię kocham. To nie było uczciwe. Przyszedł nie wiadomo skąd i zabrał mi ciebie.

Zakręciło jej się w głowie. Kish przecież nie był zdolny kogokolwiek zabić. To było niemożliwe, a jednak się stało.

– Kish, nigdy mnie nie miałeś. Robin ci mnie nie zabrał... Och, zresztą to bez znaczenia. Musisz mi pomóc zabrać go do maszyny medycznej. Pośpiesz się! Spuścił głowę.

– Nie, nie zrobię tego.

– Kish, rób, co ci każę!

Ale on tylko stał w milczeniu. Miała właśnie na niego krzyknąć, kiedy nagle w pokoju znalazł się Milo. Natychmiast zorientował się w sytuacji i westchnął, widząc, jak poważna jest rana Robina.

– Wygląda niedobrze. I jeśli ty tego nie zrobiłaś, to mogę się domyślić, że on.

Odwrócił się i spojrzał na Kisha, który nadal wbijał wzrok w podłogę. Jan skinęła głową.

– Jak on mógł? – zapytał Milo podchodząc powoli do Kisha. – Myślałem, że minerviańscy mężczyźni nie są zdolni do przemocy.

– Z reguły nie. Ale są wyjątki...

Urwała i wstrzymała oddech. Milo nie był na pewno tak sprawny, jak jego oryginał, ale i tak poruszał się z niesamowitą szybkością. Zanim minerviański mężczyzna się zorientował, Milo siedział mu już na plecach, obejmując go w pasie swymi chłopięcymi nogami. Rękami ścisnął go z obu stron za głowę. Kiedy przerażony Kish zaczął się bronić, Milo gwałtownym ruchem bezlitośnie skręcił mu kark. Rozległ się chrzęst i Kish upadł z głową odwróconą w tył, jakby ze zdziwieniem oglądał się na Mila. Milo odepchnął ciało i odskoczył.

– Jeden wyjątek mniej – powiedział z satysfakcją, po czym podbiegł do Jan i Robina.

– Ashley, przyślij tutaj kilka pajaków! Szybko!

– Nie!

Milo zaskoczony zamrugał oczami i spojrzał na sufit.

– Odmawiasz?

– Oczywiście, że tak.

– Myślałem, że podoba ci się ten facet?

– Podobał mi się. Był wspaniały.

– Więc dlaczego nie chcesz nam pomóc i zabrać go do maszyny medycznej?

– Ponieważ nie chcę, żeby ona go miała – powiedziała Ashley ze złością.

Milo spojrzał na Jan i przeciągnął ręką po głowie.

– O Chryste – mruknął. Potem odwrócił się do Jan. – Pomóż mi go podnieść – powiedział, sami go zaniemiemy do szpitala.

Jan miała to właśnie zrobić, kiedy Ashley rzekła spokojnie: – Nie.

Usłyszeli dobiegający z korytarza klekot i trzy mechaniczne pajaki weszły do pokoju i zatrzymały się blokując drzwi. Milo

powiedział ze złością: – A niech cię, Ashley, potrzebuję go! Bez niego nie będę w stanie przeprogramować tej maszyny. Będzie bezużyteczna!

– I bardzo dobrze – odparła Ashley. – Powiedziałam już, że nie jest ci potrzebna.

Masz mnie.

– Chryste – mruknął znowu.

Popatrzył na Jan i powiedział niskim głosem: – Ta suka jest zazdrosna o wszystko: o niego, o ciebie, a teraz o tę cholerną maszynę!

– Słyszałam to! – powiedziała Ashley. – Nie jestem zazdrosna! Robin jęknął.

– Dzięki Bogini Matce! On jeszcze żyje! – krzyknęła Jan, klękając przy nim.

Robin otworzył oczy, ale spojrzenie miał nieprzytomne, a źrenice bardzo rozszerzone.

– Robin, słyszysz mnie?

Milo ukląkł z drugiej strony i zaczął go klepać po policzkach.

– Hej, Robin, to ja, Milo! Powiedz coś! Mam kilka ważnych pytań, na które mi musisz odpowiedzieć. Jan odepchnęła jego rękę.

– Nie waż się go dotykać, maniaku! – krzyknęła. Podniosła głowę i powiedziała głośno: – Ashley, nalegam, żebyś nam pozwoliła zabrać go do szpitala.

– Żyje, prawda?

– Tak... tak.

– Więc może przeżyć.

– Tak, może przeżyć nawet bez pomocy maszyny medycznej – powiedziała z rozpaczą Jan. – Więc nie ma to takiego znaczenia; pozwolisz nam włożyć go do jakiejś maszyny medycznej?

– Jeśli będzie żył, to na pewno nie tutaj – odparła Ashley. Podłoga zadrżała.

– Podłoga się obniża – zauważył Milo.

– Opuszczam go na ziemię – powiedziała Ashley.

Podeszły do nich mechaniczne pająki. Bezlitośnie odepchnęły Jan i Mila i schyliły się nad Robinem. Kiedy go podniosły, Jan natychmiast podjęła decyzję. Wiedziała, że nie ma wyboru.

– Jeśli opuszczasz go na ziemię, będziesz musiała to samo zrobić ze mną – powiedziała do Ashley.

– Co za świetny pomysł! – rzekła pogodnie Ashley. – Tym razem z przyjemnością usłucham...

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Książę du Lucent patrzył z niepokojem na szare niebo. Był ponury dzień z niskimi chmurami i stale mżącym deszczem. Z każdej chmury mogła się wynurzyć flota Anioła Niebios. Książę wiedział, że kiedy to się w końcu stanie, będzie zgubiony. Obok jego tronu stało dwóch ubranych na czarno żołnierzy El Rashada ze skrzyżowanymi mieczami. Następni dwaj żołnierze pilnowali głównego technika. Po napotkaniu floty mieli zawiadomić El Rashada, że książę i jego ludzie wykonali rozkaz i zaatakowali Anioła Niebios. Wiedzieli, że również zginą. El Rashad powiedział im, że to dla „chwały Allacha”. Książę bronił się rozpaczliwie w imię swojej religii, która wyraźnie zabrania samobójstw, El Rashad powiedział jednak, że religia księcia jest fałszywa i jej zasady nie mają żadnego znaczenia, więc du Lucent może je bez skrępowań złamać, a zresztą, jako „niewierny”, tak czy owak jest potępiony.

Argumentacja El Rashada nie przemawiała jednak do księcia.

Czuł się bardzo samotny. Tęsknił za swoim doradcą, baronem Spangiem. Baron wymyśliłby coś, żeby wydostać się z tej pułapki. Sam książę nie widział żadnego wyjścia.

Spojrzał na ziemię. Lecieli nisko – na wysokości zaledwie tysiąca pięciuset stóp. Widział ruiny budynków wśród nieubłaganie rozprzestrzeniającej się zarazy. Pomyślał, że to miasto istniało w czasie Wojen Genetycznych, a być może do dziś przetrwały jakieś jego części. I widział także śmierć...

Wzdrygnął się. Spróbował przywołać resztki swojego optymizmu. Zauważył niewyraźną sylwetkę jakiegoś

wychudzonego zwierzęcia i pomyślał, że przy tak słabej widoczności może nigdy nie spotkają floty Anioła Niebios. Natychmiast poczuł się trochę lepiej.

Jan przestała prosić Ashley, żeby zmieniła zdanie. Udało się jej uzyskać jedynie zgodę na to, by zabrali ze sobą dwa śpiwory, dwie racje żywnościowe, dwa pojemniki z wodą i trochę podstawowych środków medycznych. W tej chwili Jan i Robin znajdowali się na platformie przewozowej na jednym z wózków towarowych i właśnie mieli zostać opuszczeni na ziemię. Milo stał i patrzył na nich.

– Wygląda na to, że postawiłaś na swoim, dziecino – powiedział ze szczerym żalem w głosie. – Przykro mi, że to się tak skończyło. Spędziliśmy razem dużo czasu.

Przeżyliśmy wiele ciekawych chwil.

– Możliwe, że z twojego punktu widzenia tak to wygląda – odrzekła Jan. – Czy mogę cię prosić o przysługę? Natychmiast zrobił się ostrożny.

– Jaką przysługę? W tej chwili to już mnie nie dotyczy. Wskazała na swój pistolet, który Milo miał u paska.

– Pozwól mi to zabrać. Wiesz, że tam, na dotkniętej zarazą ziemi, nawet godziny nie przetrwamy bez broni.

Przez jakiś czas Milo rozważał jej prośbę, po czym skinął głową.

– Ja się zgadzam. Co ty na to, Ashley?

– Rób, jak chcesz – powiedziała znudzonym głosem Ashley. Milo oddał broń pajakowi i polecił mu oddać ją Jan, kiedy wózek towarowy znajdzie się na dole.

– Opuszczani was na dół – powiedziała Ashley i wózek szarpnął gwałtownie.

Trzymający broń pajak szybko zeskoczył na platformę.

Jan jedną ręką uchwyciła się prętów i uklękła przytrzymując odwrócone twarzą w dół ciało Robina. Nadał był półprzytomny i jak do tej pory nic nie zdołał powiedzieć.

Wózek minął kadłub i odgromniki. Zanim znaleźli się na ziemi, byli już przemoczeni do suchej nitki przez padający na zewnątrz deszcz.

Anioł Niebios unosił się na wysokości zaledwie około ośmiuset stóp i wózek towarowy z lekkim wstrząsem opadł na ziemię. Robin jęknął. Mechaniczny pajak oddał Jan broń i powiedział szorstko głosem Ashley: – Wyłaźcie!

– Musisz mi pomóc go wynieść – powiedziała Jan. Razem wynieśli Robina z wózka i położyli go na gąbczastej ziemi. Pajak szybko wszedł z powrotem do wózka towarowego.

– Ashley... – odezwała się Jan.

– Co znowu?

– To – powiedziała Jan i wypaliła.

Mechaniczny pajak pisnął i zatrzeszczał, po czym rozpadł się, wyrzucając we wszystkich kierunkach niebieskie iskry. Wózek zaczął się podnosić. Jan wiedziała, że była to głupota i zupełnie niepotrzebne marnowanie amunicji, ale była zadowolona, że to zrobiła.

Patrzyła, jak wózek towarowy znika w szerokim łuku Anioła Niebios, i czuła się tak mała i nic nie znacząca, jak wówczas, gdy jako mała dziewczynka po raz pierwszy w życiu zobaczyła nad Minervą *Władcę Panglotha* i ze strachu przytuliła się do swojej matki. Pozostałe sterówce floty, które trzymały się w pobliżu Anioła Niebios, rozciągnęły się długim sznurem na niebie, przesłonięte niskimi chmurami. Wyglądały złowieszczo i przerażająco.

Jan westchnęła i rozejrzała się. Cała ziemia wokół dotknięta

była zarazą.

Surrealistyczne grzybowate twory wyrastały z tego, co pozostało po drzewach i niskich budynkach. Kiedyś zapewne była to dzielnica willowa. Kiedyś... przed Wojnami Genetycznymi. W odległości około pół mili Jan zobaczyła dużą budowlę, która, w porównaniu ze wszystkim, co ich otaczało, wyglądała na stosunkowo nie zniszczoną. Może był to kiedyś budynek wojskowy, może nawet forteca. W każdym razie jest to jakieś schronienie. Uklękła przy Robinie.

– Robin, słyszysz mnie? To ja, Jan.

W odpowiedzi zamrugnął oczami, ale jego spojrzenie pozostało puste i nieprzytomne. Jan wyjęła z torby lekarstwa. Położyła na ranie Robina tabletkę przeciwbakteryjną i przeciwgrzybiczą, i zabandażowała mu głowę. Właściwie niewiele mogło mu to pomóc, ale lepsze to niż nic.

Pakując wszystko z powrotem, zauważyła kątem oka, że w pobliżu coś się porusza. Odwróciła się i zobaczyła podpełzające do Robina przerażające ruchome grzyby. Wstała i wypaliła najpierw w falujący dywan grzybów, a następnie w środkową wypukłość, znajdującą się nieco dalej. Biała, owalna masa, przypominająca duży, przewrócony do góry dnem talerz, rozpadła się na miazgę. Jan z niepokojem rozejrzała się dokoła. Dużo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni była na terenie dotkniętym zarazą. Stała się nieuważna. Uklęknęła przy Robinie i spróbowała jeszcze raz: – Robin, kochanie, będziesz musiał iść. Nie mogę cię nieść.

Pomogła mu usiąść i podniosła go. Zachwiał się, ale Jan jakoś go podtrzymała. Wymamrotał coś niewyraźnie; nie wiedziała, czy próbuje coś powiedzieć, czy tylko protestuje przeciwko wstawaniu.



– Chodź... musimy teraz iść... tak...

Początkowo było to bardzo trudne, ale powoli zdołała go nakłonić do mechanicznego, chwiejnego marszu, chociaż gdyby go nie podtrzymywała, na pewno by się przewrócił.

Prowadząc Robina w kierunku imponującej budowli, Jan zdała sobie sprawę, że jego szansę na przeżycie bez odpowiedniej opieki medycznej są niewielkie. Miał najwyraźniej uszkodzoną czaszkę i z pewnością wewnętrzny krwotok. Ucisk na mózg wzrastał i w każdej chwili mogła nastąpić katastrofa. Ale co może zrobić? Jedynie zabrać go do jakiegoś schronienia i postarać się, żeby mu było jak najwygodniej. A potem... czekać na nieuchronny koniec. Miała ochotę przeklinać Boginię Matkę. Jeszcze raz odchodził od niej ktoś, kogo kochała...

Z kępy drzew wynurzył się twór przypominający purchawkę i potoczył się po ziemi w ich kierunku. Musiało go przyciągnąć ciepło ich ciał. Mlecznobiały, gładki pęcherzyk był już w odległości około trzech stóp – zbyt mały, żeby pożreć ludzi, ale jego odór mógł ich sparaliżować. Jan zastrzeliła go. Łatwopalne gazy znajdujące się we wnętrzu pokrywającej go błony eksplodowały jasnym płomieniem, pozostawiając w powietrzu okropny smród. Jan z niepokojem sprawdziła, ile zostało jej pocisków. Wkrótce broń będzie bezużyteczna.

... A co się stanie, kiedy Robin umrze? Muszą się wydostać z terenów dotkniętych zarazą, a wtedy może natrafią na jakąś osadę. Szansę na dokonanie tego bez broni były znikome, ale Jan musiała próbować. Uśmiechnęła się krzywo. Co Milo mówił o ludziach, którzy zostali stworzeni przez naturę z „nastawieniem na optymizm”, bez względu na okoliczności? Ona była żywym potwierdzeniem tej teorii.

Milo, obserwując, jak Ashley wyrzuca Jan z pokładu Anioła

Niebios, poczuł ogromny, autentyczny żal. Teraz, idąc do pomieszczenia kontrolnego, próbował zanalizować swoje uczucia. Doszedł do wniosku, że potrzebował jej obecności nie tylko dlatego, iż po osiągnięciu dojrzałości płciowej zamierzał wznowić ich stosunki seksualne, ale także dlatego, że była czymś trwałym i znajomym jeszcze z jego poprzedniego życia. Była dlań pewnym oparciem w całym tym chaosie, jaki zapanował w jego umyśle, gdy odkrył, że znajduje się w ciele dziecka. Czasami czuł, że gdyby nie trzymał się ze wszystkich sił, jego tożsamość rozpadłaby się na kawałki.

Wszystkiemu było winne jego dziecięce ciało. Nie śladowe wspomnienia osobowości Simona, które nadal co jakiś czas przewijały się przez jego umysł, ale właśnie ciało. System hormonalny dziecka wypaczał umysł dorosłego, narzucony dziecięcemu mózgowi. Prześladowało go to niemal bez przerwy. Nawet teraz Milo miał ochotę rzucić się do ucieczki, gdy tylko słyszał jakieś szmery.

Jaka część prawdziwego Mila pozostanie do czasu, kiedy osiągnie dojrzałość? Jaka część Mila Haze zostanie wyparta przez potężne naturalne siły pulsujące w jego młodym ciele? Czy zdoła to powstrzymać do czasu, aż ciało i mózg jeszcze raz się połączą...

– Jezu Chryste! – wykrzyknął.

Uświadomił sobie nagle jeszcze jedną przyczynę żalu z powodu wygnania Jan – tęsknił za swoją matką.

Kiedy Milo wszedł do pomieszczenia kontrolnego, Carl powiedział: – Milo, radar wykrył pięć statków powietrznych zbliżających się z południowego zachodu.

Milo odruchowo spojrział w niebo, ale oczywiście nic jeszcze nie można było zobaczyć.

– Flota... flota z południa, o której mówił Robin. Kiedy tu będą?

– Poruszają się bardzo wolno – powiedział Carl. – Z prędkością zaledwie trzydziestu pięciu mil na godzinę. Przypuszczalny czas spotkania, jeśli pozostaniemy w bezruchu – 10:50.

Wtedy, ku irytacji Mila, Ashley przerwała: – Wyjdźmy im na spotkanie!

– Myślę, Ashley, że byłoby lepiej – powiedział spokojnie Milo – pozwolić im przyjść do nas. Nie mają radaru. Poczekajmy więc tutaj, w tej chmurze, dopóki nie znajdą się zupełnie blisko, i wtedy zrobimy im niespodziankę. Czy nie byłoby to o wiele zabawniejsze?

– Tak, myślę, że tak – odparła bez entuzjazmu.

Oboje stajemy się dziećmi – pomyślał Milo ponuro.

Ale ona cofała się szybciej niż on. Bez przerwy myślał o maszynie Robina tkwiącej bezużytecznie na górnym kadłubie. Kiedy bitwa się skończy, może Ashley pozwoli mu wejść do niej i spróbować ją uruchomić. Obawiał się jednak, że może mu nie pozwolić...

Budowla była coraz bliżej. I jak na razie, poza atakiem purchawki, zaraza nie sprawiała większych kłopotów. Jan zastanawiała się po drodze, co Robin miał na myśli, mówiąc, że odpowiedź na pytanie, w jaki sposób zdoła przywołać na pomost latającą maszynę, jest „w jej rękach”. Na przemian oglądała obie swoje dłonie. Nagle jej wzrok padł na pierścień, który dostała od Robina. Czy o to mu chodziło?

– Robin, czy o to chodziło? O ten pierścień? – zapytała nagle z nadzieją w głosie.

Zatrzymała się i spojrzała mu w twarz, podtrzymując go za ramiona, by nie upadł.

– Czy to pierścień? – spytała znowu, ale on tylko patrzył na nią nieprzytomnie.

Ostrożnie posadziła go na ziemi, po czym zdjęła pierścień i dokładnie mu się przyjrzała. Wyglądał po prostu jak zwykły pierścień. Spróbowała nacisnąć oczko. Z cichym trzaskiem kamień schował się w złotej obwódce. Przeszedł ją dreszcz podniecenia. Naprawdę chodziło o pierścień! Spojrzała wyczekująco w górę, gdzie z jakiegoś powodu Anioł Niebios pozostawał ukryty w chmurach. Miała nadzieję, że w każdej chwili zobaczy maszynę Robina, lądującą w pobliżu.

Minęły długie chwile, ale maszyna się nie pojawiła. Jan kilka razy naciskała diament, ale w końcu się poddała.

– To by było tyle, jeśli chodzi o cuda – mruknęła.

Znowu podniosła Robina na nogi. Pierścień najwyraźniej nie był niczym innym, jak tylko pierścieniem – pierścieniem z luźno osadzonym oczkiem.

Ruszyli w drogę. Jan na wszelki wypadek co jakiś czas spoglądała w górę, choć wiedziała, że to nie ma sensu. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego flota stoi w miejscu. Czy Ashley chce jej zrobić jakiś okrutny kawał? Czy ona i Robin o krok od bezpiecznego schronienia nie zostaną spaleni laserami? Nie zdziwiłaby się zbytnio.

Kiedy zbliżyli się do dużego, zniszczonego budynku, Jan z ulgą zauważyła, że deszcz przestaje padać. Spojrzała w górę. Chmury zaczęły się rozpraszać. Uświadomiła sobie, że gdy się przejaśni, ona i Robin będą stanowić jeszcze lepszy cel. Ponagliła go do szybszego marszu.

– To beznadziejne – powiedział książę wpatrując się w konsolę. – Najprawdopodobniej się rozminęliśmy, nawet o tym nie wiedząc. Anioł Niebios i jej flota mogą być teraz setki mil na południe.

– Jeśli są w ruchu – powiedział główny technik. – Ale mogą

nadal pozostawać nad miastem, tam, gdzie ich wtedy widzieliśmy. Jeśli tak, powinniśmy ich ujrzeć w ciągu siedmiu godzin.

– Och, wspaniale – mruknął książę. Wkrótce potem główny technik ogłosił: – Chmury się rozpraszają...

– Tego właśnie nam było trzeba – mruknął książę wstrzymując oddech.

Nagle krzyknął:

– O Boże!

Początkowo Jan myślała, że to buczenie urządzenia nośnego. W rozległej dolinie, w której leżała wymarła dzielnica willowa, rozległ się głuchy huk. Po chwili Jan usłyszała go znowu i teraz wiedziała już, że to nie urządzenie nośne. Był to huk wystrzałów...

Spojrzała w górę. Chociaż wędrowali już pół mili, wyszli dopiero poza dziób ukrytego w chmurach Anioła Niebios. Jan usłyszała warkot urządzeń nośnych. A więc zdecydowali się zmienić pozycję. Tak, Anioł Niebios ruszył, wznosząc się jednocześnie. Znowu strzały. Co się tam dzieje? Jan zatrzymała Robina i spojrzała w kierunku odległego pasma wzgórz, które stanowiły południową granicę szerokiej doliny. W rozpraszającej się chmurze zobaczyła zarys zbliżającego się szybko sterowca Władcy Niebios. Za nim podążał jeszcze jeden.

Żeby się przygotować na spotkanie z nimi, Anioł Niebios musiał wykonać zwrot... Robiły to także pozostałe sterowce floty. Turkusowe promienie laserów rozjaśniały już niebo. Jan wiedziała jednak z doświadczenia, że mają zbyt mały zasięg, by w tych warunkach pogodowych wyrządzić przeciwnikowi jakąś szkodę. Nagle zobaczyła, jak kolejny sterowiec Władcy Niebios wynurza się ponad linią horyzontu. To musi być cała flota.

Czyżby to o niej wspominał Robin?

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że stoją z Robinem na otwartej przestrzeni, i znowu zaczęła go ciągnąć w stronę wejścia do budynku. Znaleźli się na rozległym, pustym placu, zastawionym zżartymi przez grzyb szczątkami pojazdów. Jan przypuszczała, że są to pojazdy wojskowe.

Dotarli do czegoś, co nadal jeszcze mogło uchodzić za wejście do budynku. Jan posadziła Robina na ziemi, opierając go plecami o ścianę, po czym z bronią w ręku weszła do środka. Nieufnie rozejrzała się dookoła. Była w szerokim, ponurym korytarzu. Z zaskoczeniem stwierdziła, że nie ma tu żadnych niebezpiecznych grzybów, żadnych przyczajonych na suficie grzybów–mutantów z gatunku *oligospora*.

Zauważyła też dochodzące z góry przyćmione światło. Szła dalej. Pod jej stopami chrzęściło potłuczone szkło. Wyszła na korytarz i znalazła się na dużym balkonie. Wnętrze było znacznie obszerniejsze niż przypuszczała, przyglądając się budynkowi z zewnątrz, gdyż jego konstruktorzy wkopali się głęboko w ziemię. Część dachu zawaliła się i światło dochodzące przez dziurę oświetlało ogromną przestrzeń pośrodku. Balkon, na którym Jan stała, był jednym z wielu balkonów, wychodzących na tę ogromną salę. Niektóre, przeżarte przez grzyb, runęły w dół. W pokrytej gruzem podłodze były wykopane trzy duże, okrągłe i puste baseny. Po rurkach, które z nich wystawały, Jan poznała, że były to kiedyś fontanny. Wszystkie piętra powyżej i poniżej balkonu Jan były połączone cylindrycznie rurami, w których dawniej musiały chodzić windy, i długimi, stromymi schodami. Jan domyśliła się, że w czasach, gdy miejsce to jeszcze funkcjonowało, schody te musiały być ruchome. Z piętra na piętro można było się także dostać po

spiralnym chodniku, łagodnie wznoszącym się w górę przy ścianach. Jan zastanawiała się nad przeznaczeniem tego gmachu – najwyraźniej nie była to budowla wojskowa. Wróciła do Robina. Stwierdziła z ulgą, że, jak na razie, nic mu się nie stało, po czym wyszła na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje na niebie.

– Wszystkie szybowce są na zewnątrz – zameldował główny technik.

Księżę przyjął to do wiadomości krótkim skinieniem głowy. Marzył o tym, żeby być teraz w szybowcu.

Gdy tylko zauważyli Anioła Niebios między rozciągniętymi nad doliną sterowcami floty, niechętnie nakazał zmianę kursu. Nie miał wyboru. Po jego prawej stronie stał muzułmański żołnierz. Obnażył miecz i podniósł go gestem, który można było zinterpretować tylko w jeden sposób. Wysłano w ich kierunku kilka promieni laserowych, ale ochroniła ich cienka warstwa chmur. Kadłub został w kilku miejscach uszkodzony i były już ofiary w ludziach, ale nie ucierpiało żadne urządzenie nośne i nie było żadnego poważnego pożaru. Na razie.

Znajdowali się w tej chwili około półtorej mili od Anioła Niebios. Ludzie na jego pokładzie najwyraźniej się domyślili, że mają zamiar na nich uderzyć, ponieważ Anioł Niebios zaczął się szybko wznosić. Także pozostali członkowie floty Anioła Niebios skoncentrowali teraz swoje rakiety, działa i lasery na *Władcy Mordredzie*, ignorując resztę floty El Rashada, która leciała za nim.

– Uwaga! – krzyknął ktoś.

Zanim zrozumieli, co się dzieje, było już za późno. Promień laserowy o szerokości trzech lub czterech cali, rozproszony trochę przez krople wody z chmury, rozpoczął już swoje

niszczycielskie dzieło. Nie dosięgną! nikogo z ludzi, ale w tylnej części pomieszczenia kontrolnego eksplodował sprzęt elektroniczny. Powietrze wypełniło się dymem. Oczy księcia zaczęły łzawić. Zauważył, że teraz już tylko niecała mila dzieli ich od floty. Nawet przy prędkości, z jaką wznosił się Anioł Niebios, jego pociski były tak wycelowane, żeby na pewno trafić we *Władcę Mordreda*...

Nagle nastąpił tak gwałtowny wstrząs, że księżę o mało nie spadł z tronu. Z przyjemnością zauważył, że obaj pilnujący go żołnierze stracili równowagę.

– Komora gazowa numer cztery!... – krzyknął główny technik.  
– Jest już w płomieniach!

Numer cztery! Księżę usiłował sobie przypomnieć, czy wypełnione wodorem komory przylegają do komór z helem, czy z wodorem. Spostrzegł, że gwałtownie tracą wysokość. Nie było teraz szans na zaatakowanie Anioła Niebios.

– Nie atakuj! Ląduj! Szybko! – rozkazał.

– Nie! – powiedział żołnierz, stojący z prawej strony, ten, który mówił po francusku. – Naprzód! Naprzód! – wykrzyknął grożąc księciu mieczem.

Ale wtedy nastąpił jeszcze silniejszy wstrząs, co oznaczało, że została trafiona kolejna komora z wodorem. Żołnierze upadli na podłogę. Księżę nie wahał się ani chwili. Wyciągnął mały miecz, który miał ukryty pod ubraniem, żeby w ostatniej chwili móc popełnić samobójstwo, unikając śmierci w płomieniach – rzucił się na muzułmanina z prawej strony i poderżnął mu gardło, krzyząc do techników: – Zabijcie ich!

Przejęta grozą Jan patrzyła, jak w starego *Władcę Niebios*, który najwyraźniej próbował zaatakować Anioła Niebios, trafiają promienie laserów. Najpierw wybuchła przednia komora



gazowa. Po całym kadłubie szybko rozprzestrzenił się ogień. Jasne płomienie strzelały wysoko w niebo. Zapaliła się komora na śródkręciu. Płonący, umierający sterowiec znalazł się pod Aniołem Niebios, który nadal kierował lasery w jego rozpadające się ciało. Jan była tak sparaliżowana dramatem, który rozgrywał się na jej oczach, że dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, iż płonący Władca Niebios spada prosto na jej schronienie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nawet Milo był pod wrażeniem ogromu zniszczenia. Jak okiem sięgnąć widać było płonące wraki. Żaden sterowiec nieprzyjacielskiej floty nie zdołał uciec. Różne Ashley wytropiły je wszystkie i spaliły. Oprócz wraków sterowców dolinę zaścielały roztrzaskane szybowce. Wiele z nich także się paliło. Niektóre w zamieszaniu wylądowały na tyłach sterowców Ashley – Milo nie myślał już o nich jak o swoich sterowcach – i wysadziły desant, ale żołnierzy było za mało, by mogli stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Zostali szybko pokonani.

Milo spojrział na monitory, które ukazywały Ziemię. Wielu ludzi przeżyło. Pojedynczo i grupami wysypywali się z płonących sterowców Władców Niebios, które od urodzenia były ich domami. Jak dziwne musiało im się wydawać bycie na Ziemi, pomyślał Milo. I jak straszne w takich okolicznościach. Mieli popalone ubrania, niektórzy płonęli żywym ogniem. Ci nie pożyją długo, nawet jeśli Ashley pozwoli im żyć. Na razie nie strzelała do żadnej z uciekających postaci.

– Nie mów mi, że to litość, Ashley – powiedział. – Tam w dole nadal są ludzie.

– Lubię patrzeć, jak tak biegają tam i z powrotem, wszyscy przerażeni i szaleni.

Poza tym kończy się moja moc. Nie chcę używać laserów, dopóki się znów nie naładuję.

– Cóż, z pewnością miałaś dzisiaj bardzo pracowity dzień. Co teraz, jeśli mogę spytać?

– Chcę spuścić na dół naszych pasażerów. Są tylko pasożytami.

Nie potrzebujemy ich.

– Co? Wszystkich? – zapytał Milo z niepokojem. – Opróżnić całą flotę?

Ten pomysł wcale mu się nie podobał. Jaki sens będzie miało posiadanie władzy, jeśli Ashley pozbędzie się wszystkich poddanych?

– Tak, każdą cholerną sztukę.

– Zaczekaj, nie róbmy niczego pochopnie. Przemyślmy to.

– Przemyślałam to. Chcę ich wyrzucić – powiedziała Ashley stanowczo.

– Zrób mi tę przysługę i poczekaj chwilę, dobrze? – poprosił.

– Dlaczego? – zapytała podejrzliwie.

– Ashley, bądź rozsądna, co będzie zabawnego w pozbyciu się ich wszystkich?

Zostaw przynajmniej część. Dla zabawy.

– Dla zabawy?

– Tak, oni cię bawią, prawda? I możemy wynaleźć dla nich nowe zabawy. Poza tym, ja sam mam ważny powód, żeby kilkoro z nich tutaj zatrzymać.

– Jaki powód?

– Będę potrzebował żeńskiego towarzystwa.

– Ja jestem kobietą – zauważyła Ashley.

– Oczywiście, że jesteś – powiedział ostrożnie. – Ale mówię o kobiecym ciecie.

Wiedziałaś, jakie miałem plany w związku z Jan. Cóż, teraz, kiedy się jej pozbyłaś, będę potrzebował kogoś, kto ją zastąpi. Być może więcej niż jedną, trzeba o tym pomyśleć. Pozwól mi zrobić przegląd ludzi na statkach, zanim zaczniesz wyrzucać naszych pasażerów za burtę.

Po dłuższym czasie Ashley odpowiedziała: – W porządku...

Poczuł ogromną ulgę.

– Dobrze – powiedział. – Niech to się pali do jutra. Chciałbym być daleko stąd, zanim ktoś zacznie skakać ze sterowca.

– W porządku – powtórzyła Ashley.

Wkrótce potem flota wyruszyła na południe. Milo stał w pomieszczeniu kontrolnym i patrzył do tyłu, na dolinę, z której wzbijały się słupy dymu.

– Żegnaj, Jan – mruknął.

Nie była to żadna instytucja wojskowa, tylko coś w rodzaju ogromnego sklepu. A raczej cała sieć różnych sklepów zgromadzonych razem pod jednym ogromnym dachem. Jan stwierdziła to po wejściu do dalszych sal budynku, kiedy bitwa osiągnęła punkt kulminacyjny. Pierwszy płonący sterowiec minął budynek z prawej strony i w morzu ognia rozbił się parę mil dalej. Jan patrząc, jak ognista kula wzbija się w górę nad rozbitym kadłubem, pomyślała, że chyba nikt na pokładzie nie mógł przeżyć tak wysokiej temperatury. Zapalił się kolejny sterowiec, trafiony przez lasery, i Jan zobaczyła kilka szybowców i wiele spadochronów opadających na ziemię. Jeden z szybowców wylądował w pobliżu. Wtedy Jan postanowiła zabrać Robina w głąb budynku.

Poszli na dół, w stronę spiralnego chodnika. Jan zauważyła, że chociaż wszystkie szyby w sklepach zostały już dawno potłuczone, w środku nadal były towary, lub raczej resztki towarów. Zastanawiała się, dlaczego to miejsce nie zostało splądrowane.

Może było powszechnie znanym siedliskiem zarazy... Myśl ta sprawiła, że poczuła się trochę nieswojo, ale zaraz przypomniała sobie, że udało się jej przeżyć w mieście Niebiańskiej Wieży, które naprawdę było dotknięte zarazą.

Idąc dalej znalazła pierwsze ciało. Wyglądało jak leżąca na chodniku kupka łachmanów, ale kiedy podeszli bliżej, zobaczyła białe kości. Zmarszczyła brwi i zatrzymała się. To nie mógł być nikt z rdzennych mieszkańców – ich szkielety rozsypałyby się w proch już dawno temu. Nie, kości musiały należeć do znacznie późniejszego gościa. I rozglądając się w pobliżu za czymś, co mogłoby posłużyć jako broń, Jan pomyślała, że był to wędrowny rabuś. Ale co zabiło ją lub jego? Głód?

Zaraza...?

Posadziła Robina na chodniku. Zauważyła, że z ust cieknie mu ślina. Potem podeszła do zwłok i kopnęła czubkiem buta okrywające je szmaty. Zobaczyła, że ciało leży twarzą w dół. Kolejne kopnięcie odrzuciło kaptur i odsłoniło czaszkę. Jan pochyliła się i obejrzała ją dokładnie w przyćmionym świetle. To, co zobaczyła, uspokoiło ją. Z tyłu czaszki znajdowało się małe pęknięcie, a z drugiej strony, z przodu, tuż nad oczami, okrągły otwór. Nie była to ofiara zarazy; on lub ona została zabita laserem.

Ruszyła z Robinem dalej i wkrótce natrafiła na trzy kupki szmat i kości. Te szczątki także leżały twarzą do ziemi. Podobnie, jak pierwszy zamordowany, ludzie ci wchodzili na górę po schodach, kiedy zostali wszyscy zastrzeleni. Kłótnia między różnymi frakcjami lub bandami? Ale rabusie nie mieli laserów...

Szli dalej, Jan rozglądała się uważnie. Jeśli rabusie nie zostali zabici przez innych rabusiów, to co ich zabiło?

Głębokie, głucho dudnienie przetoczyło się po dolinie, docierając przez dziurawy dach do przepaścistej budowli. W jej wnętrzu rozległo się echo. Jan domyśliła się, że spadł kolejny sterowiec Władcy Niebios.

– Hej! Witaj! Wejdz i zobacz, co mamy do zaoferowania.

Jan podskoczyła z przerażenia. Odwróciła się szybko, niemal puszczając Robina. Głos dobiegał ze sklepu, który właśnie mijali. Zauważyła postać poruszającą się w jego mrocznym wnętrzu, potem w drzwiach stanęła naga kobieta i uśmiechnęła się do Jan. Za nią pojawiły się cztery następne, także nagie. Pierwsza, wciąż uśmiechnięta, obróciła się wkoło.

– Piękne, prawda? To część nowej kolekcji ze stolicy mody Melbourne z Australii.

Są wyprodukowane zgodnie z najnowszymi wzorcami w fabryce biologicznej, podobnie, jak nasze wszystkie kreacje z Melbourne.

Odsunęła się, żeby pokazać cztery pozostałe kobiety.

Jan stała jak wryta, patrząc na pięć nagich kobiet. Myślała gorączkowo. Kim one są? Co tutaj robią? Dlaczego są nagie? I o czym, na Boginię Matkę, mówią?

Proszę, wejdź i przymierz którąś. Może tę, którą mam na sobie? Jak na pojedynczy model, cena jest całkiem do przyjęcia – tylko dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Dostaniesz także bezpłatnie kieliszek najlepszego japońskiego szampana...

– Tak, prosimy, wejdź! – zawtórowały z entuzjazmem pozostałe kobiety.

Jan w końcu odzyskała głos.

– Kim... kim jesteście?

Kobiety nie zwróciły uwagi na jej pytanie.

– Dopóki tych kreacji nie włoży prawdziwa, żyjąca osoba, nie dostrzeżesz ich prawdziwego piękna. Bakterie pod wpływem temperatury ciała dopasują się do niego i rezultat będzie naprawdę rewelacyjny.

Jan zauważyła w kobietach coś dziwnego – nawet bardzo dziwnego. Nie miały pępeków. Zrozumiała, że nie są prawdziwe.

To roboty. Bardzo trwałe roboty. Działające jeszcze teraz, po tylu latach. Uaktywnione automatycznie przez jej obecność. Zasilane prawdopodobnie przez jakieś konwertory energii słonecznej, umieszczone na dachu. Jeśli tak, znaczyło to, że inne części budynku będą mogły powracać do życia...

– ...Produkty fabryki biologicznej dostosowują się także do temperatury otoczenia, zmieniając się nieznacznie, tak, żebyś przez cały czas czuła się w nich dobrze...

Jan podeszła bliżej do pierwszej kobiety i zobaczyła, że na jej „ciele” widać już trochę działanie czasu. Zajrzała w piękne oczy robota i spytała: – Słyszysz mnie?

– Konserwacja produktu nie jest skomplikowana. Po prostu regularnie co tydzień należy go zanurzać w wodzie destylowanej...

Żadnej reakcji. Zwyczajny, prosty, podstawowy program, stwierdziła Jan. Ostrożnie dotknęła palcem ramienia robota. Palec nie napotkał żadnego oporu i z cichym puknięciem zagłębił się w imitację ciała. Jan z odrazą cofnęła rękę. W ramieniu robota pozostała mała dziurka.

– ...Oczywiście produkt nigdy się nie brudzi. Nieorganiczny brud zostaje odrzucony; organiczny – pochłonięty.

Jan domyśliła się, że robot mówi o jakiejś sukni czy innej części ubrania, która już dawno wyszła z mody. Roboty były manekinami. Chodzącymi, mówiącymi manekinami. Z jakiegoś powodu poczuła na tę myśl niewypowiedziany smutek i zapragnęła uciec. Odwróciła się i szybko wyszła ze sklepu. Manekiny powiedziały: – Przykro nam, że nie możesz zostać dłużej. Prosimy, wstąp, kiedy będziesz miała więcej czasu. Zawsze tutaj jesteśmy.

Jan znowu podniosła Robina, zauważając z niepokojem, że gdy

była w sklepie, oddał mocz. Zrozumiała, że stał się dzieckiem. Uderzenie w głowę zmieniło go natychmiast z inteligentnego, silnego mężczyzny w bezbronno noworodka. Jakże jesteśmy słabi, pomyślała, zastanawiając się, czy mózg Robina został już na stałe uszkodzony, czy jeszcze istnieje jakaś szansa, że powróci do normy. To znaczy, czy można go jeszcze wyleczyć; obawiała się, że to niemożliwe.

Schodzili dalej. Jan niespokojnie przyglądała się każdemu mijanemu sklepowi na wypadek, gdyby na ich obecność miało zareagować więcej automatów. Ale chociaż z kilku pomieszczeń dobiegały nagrane głosy, zapraszając ich do środka, nic nigdzie się nie poruszyło. Minęli jednak trupy jeszcze dwóch rabusiów i znowu Jan próbowała sobie wyobrazić, co się tutaj działo wiele lat temu.

W jednym ze sklepów natrafiła wreszcie na coś znajomego. Jeszcze raz zatrzymała Robina i zajrzała do środka. Kusze. Całe rzędy kusz. Znacznie nowocześniejsze od tych, do jakich przywykła w Minervie, ale z pewnością były to kusze. Posadziła Robina na chodniku, weszła i wzięła jedną ze stojaków. Kusza była w dobrym stanie i wyglądała na sprawną. Jan zadała sobie pytanie, do czego ludziom Starej Nauki potrzebna była tak prymitywna broń, skoro mieli karabiny i lasery. Rozejrzała się po sklepie. Wśród innych towarów znajdowały się stojaki na wędki i rzędy długich, wąskich desek, zrobionych z czegoś podobnego do plastyku, z przyczepionymi do nich metalowymi butami, które zadziwiły ją nawet jeszcze bardziej.

Na zniszczonej wystawie znalazła także bełty; kilka włożyła do plecaka, dwa wsunęła za pasek, po czym wróciła na chodnik, gdzie z trudem naciągnęła kuszę. Mechanizm chodził ciężko, ale nie był uszkodzony.



– Zobaczymy, czy to nadal działa – powiedziała do Robina.

Cieszyła się, że znowu ma kuszę. Znaczyło to, że kiedy amunicja w pistolecie się wyczerpie, nie będą całkowicie bezbronni. Założyła bełt na „siodełko”, wycelowała wysoko ponad balustradę chodnika i przyciskając mocno kuszę do ramienia, zwolniła cięciwę. Kusza wypuściła strzałę z lekkim odrzutem. Jan odwróciła się i uśmiechnęła do Robina.

– Działa!

On jednak tylko siedział i patrzył nieprzytomnie przed siebie.

– Uwaga! Ty tam! Ani kroku dalej!

To był męski głos. Donośny, szorstki głos, dobiegający z dolnej części chodnika. Jan spojrzała w tamtym kierunku. W ich stronę spieszyła gruchocząca, metalowa kula o średnicy około dwóch stóp. Podskakiwała w powietrzu trzy czy cztery stopy ponad chodnikiem. Jan zobaczyła błyszczące sensory i laser zamontowany z boku.

– Połóż na ziemi ukradziony towar i podnieś ręce. Bądź posłuszny, a nic ci się nie stanie. Jeśli będziesz próbować ucieczki, zostaniesz zatrzymany.

Kula była około czternastu jardów od niej. Jan zrozumiała, że jest to coś w rodzaju urządzenia bezpieczeństwa, które nadal działa, podobnie jak manekiny. Pośpiesznie przykucnęła, żeby położyć przed sobą na chodniku kuszę, tak jak jej kazano. Nagle z kuli wytrysnął promień lasera i przeleciał o stopę ponad głową Jan. Teraz już wiedziała, co spotkało tamtych rabusiów.

Książę du Lucent zaklął, gdy zraniona noga ugięła się pod nim. Upadł na śliską, ohydnie cuchnącą, pokrytą grzybem ziemię.

– Nic ci się nie stało, panie? – zapytał główny technik, pomagając mu wstać.

– Czuję się lepiej, Lamont – powiedział książę. – Jak myślisz,

daleko jeszcze?

– Nie może być więcej niż pół mili – odpowiedział główny technik.

Mówili o dużej, widocznej z daleka budowli, w której mogliby się schronić. Mieli ją na oku od kiedy wylądowali, ale teraz znaleźli się w małym lasku, gdzie grzyb, porastający także pnie drzew, był tak bujny, że przyprawiał o mdłości.

Było ich tylko sześciu: księżę, dwóch techników i trzech żołnierzy. Księżę przypuszczał, że przeżyło o wiele więcej ludzi z *Władcy Mordreda*, ale, jak do tej pory, nikogo nie spotkali. Wiedział także, że bardzo wielu musiało zginąć, kiedy Władca Niebios się rozpadł. Wszyscy niewolnicy byli pozbawieni przywileju posiadania spadochronów. Wielu wolnych ludzi i szlachty musiało także zginąć wraz z *Władcą Mordredem*. Od dłuższego czasu wśród obywateli obydwu klas panowała moda na odrzucanie z pogardą możliwości posiadania spadochronu, co uważali za oznakę moralnej słabości. Wiele spadochronów wieki temu przerobiono na ubrania. Księżę du Lucent nie hołdował tej modzie i miał spadochrony zmagazynowane w różnych punktach *Władcy Mordreda*, między innymi pod swoim tronem w pomieszczeniu kontrolnym.

Ale nawet tym, którzy mieli sprawne spadochrony, trudno byłoby się wydostać z płonącego i gwałtownie spadającego sterowca. Księżę miał tę przewagę, że znajdował się w pomieszczeniu kontrolnym, które umożliwiało szybką ucieczkę, gdyż funkcjonowały jeszcze stare luki bezpieczeństwa. Sam skok był przerażający. Po krótkiej chwili ulgi, kiedy spadochron otworzył się nad nim (jak to dobrze, że regularnie sprawdzał wszystkie swoje spadochrony), nadeszły długie chwile grozy, gdy wszędzie dookoła niego spadały płonące części sterowca. Był

pewien, że spadochron stanie w ogniu. Widział, co się działo dookoła; widział, jak ludzie spadają na ziemię ze swoimi bezużytecznymi, płonącymi spadochronami... słyszał ich krzyki.

Wreszcie wylądował na paskudnej, zarażonej ziemi. Prawa noga ugięła mu się i poczuł ostry ból. Główny technik, który skoczył natychmiast po nim, wylądował w pobliżu i obaj patrzyli, jak *Władca Mordred* umiera i w powolnej agonii osiada na ziemi.

Kiedy ogromny kadłub w płomieniach od dzioba po rufę rozpadał się kawałek po kawałku, książę zdał sobie sprawę, że patrzy na śmierć wszystkiego, co było mu drogie. W tej okropnej pożodze stracił swoje bogactwo, rodzinę, poddanych, cały swój świat. I to wszystko z winy El Rashada... i tego zdradzieckiego młodzieńca, Robina.

Teraz brnąc przez bagno grzybów w kierunku czegoś, co wydawało się jedynym możliwym schronieniem na tym pustkowiu, poprzysiągł sobie, że jeśli kiedyś jeszcze spotka któregoś z nich, jego zemsta będzie straszna.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jan rzuciła się rozpaczliwie na chodnik, wyciągając jednocześnie zza paska broń. Podskakująca kula była teraz bardzo blisko. Znowu wystrzeliła swoje lasery; Jan poczuła w powietrzu zapach spalenizny. Omal jej nie trafiło. Nie miała czasu, żeby zobaczyć, czy Robinowi nic się nie stało. Wycelowwała broń w nadziei, że amunicja się jeszcze nie skończyła.

– Uwaga! Uwaga! Ten system źle funkcjonuje... proszę opuścić ten obszar... Strumień ognia z broni Jan dosięgnął! kuli. Rozległ się trzask laserów i kula zatrzymała się o jakieś sześć stóp od Jan, chwiejąc się gwałtownie. Jan jeszcze raz nacisnęła spust, ale tym razem na próżno. Ładunek się wyczerpał.

– Uwaga! – powiedziała kula bardzo głośno. – Awaria głównego systemu.

Nagle gwałtownie opadła – była najwyraźniej bardzo ciężka – wbijając się na kilka cali w powierzchnię chodnika. Wydała kilka niewyraźnych dźwięków, po czym powiedziała o wiele miłszym tonem: – Ten system bezpieczeństwa został bezpłatnie dostarczony przez Coca-Cola Company. Jednakże Coca-Cola Company nie uwzględnia żadnych reklamacji, dotyczących działania systemu, który zgodnie z programem będzie wykonywał swoje obowiązki. Dziękujemy. Pamiętaj – wszystko idzie lepiej z Coca-Cola!

Kula zatrzymała się, zachwiała i umilkła.

Jan ostrożnie usiadła. Kula ani drgnęła, Jan odwróciła się i szybko spojrzała na Robina. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało, nadal patrzył wprost przed siebie. Powoli wstała,

obserwując uważnie kulę, czujna na najmniejsze drgnienie. Potem, żeby się upewnić, podeszła i wzięła kuszę. Kula nie zareagowała. Teraz Jan była już pewna, że ją zniszczyła.

– To miejsce nie wydaje mi się już takie bezpieczne – powiedziała do Robina, znowu naciągnawszy kuszę. – Tutaj może być więcej tych zwariowanych robotów. Najlepiej byłoby odłożyć kuszę z powrotem do sklepu, ale teraz to jest jedyna broń, jaką mam. Co o tym myślisz?

Robin oczywiście nie odpowiedział. Westchnęła, czując się bardzo samotnie. Zatknęła za pasek jeszcze jeden bełt, zabezpieczyła kuszę i schowała pistolet do plecaka.

– Chodź – powiedziała podnosząc Robina. – Myślę, że lepiej będzie, jak wrócimy na górę i rozbijemy obóz przy wejściu. Na wypadek, gdybyśmy mieli się stąd w pośpiechu wynosić.

Rozglądając się nerwowo, czy nie ma w pobliżu żadnych innych morderczych kuł, Jan poprowadziła Robina chodnikiem z powrotem na górę. Nie pojawiła się żadna kula i najgorszą częścią podróży było minięcie sklepu z sukienkami, gdzie Jan znowu zaczepiło pięć nagich manekinów. Tym razem spotkanie to dziwnie odebrało jej odwagę.

Poczuła ulgę, kiedy doszli do wyjścia, ale nie trwało to zbyt długo. Z ciemnego wnętrza sklepu wyskoczyło nagle dwóch ludzi z karabinami. Jeden uderzył ją kolbą w brzuch.

Kiedy padała z trudem łapiąc oddech, zobaczyła, jak drugi mężczyzna zamierza się kolbą karabinu w głowę Robina. Próbowwała krzyknąć, ale nie mogła.

Bogini Matko, teraz już na pewno go zabili.

Upadła na ręce i kolana, na próżno usiłując złapać oddech. Słyszała, jak Robin pada obok niej, potem poczuła, że zabierają jej kuszę. Czyjś but kopnął ją w żebra i odwrócił na plecy. Leżała

tak, przyciskając kolana do brzucha. Wydawało jej się, że ma tam ciężką ołowianą kulę. Nadal jeszcze nie mogła oddychać, wszystko dookoła chwiała się i było zamazane. Wtedy jakaś postać wypełniła jej pole widzenia. Mężczyzna był ubrany w czarną skórę i miał na sobie czarny płaszcz. Uśmiechnął się do niej, po czym spojrział na Robina i wyraz jego twarzy się zmienił. Najpierw patrzył z niedowierzaniem, potem z wściekłością i Jan zobaczyła, że wyciąga zza paska poplamiony krwią lśniący miecz.

Książę du Lucent pomyślał, że dziewczyna jest piękna, mimo że krzywiła się z bólu i z trudem próbowała oddychać. Przeniósł wzrok na jej towarzysza, którego jeden z mężczyzn ciągnął po ziemi, i osłupiał. Pomimo bandaża nie można go było nie rozpoznać. Książę wyciągnął miecz.

– A więc, po tych wszystkich próbach, jakie Bóg na mnie zesłał, w końcu jeden ze sprawców mego nieszczęścia trafił w moje ręce.

Kopnął Robina w nogę. Młodzieniec poruszył się, ale nie otworzył oczu. Krew sączyła się z bandaża, którym miał owiniętą głowę.

– Obudź się, do cholery! – krzyknął książę. – Obudź się, żebym mógł poderżnąć ci gardło!

– Nie! – wysapała z trudem dziewczyna w języku americano. – Zostaw go w spokoju... jest ranny... umrze.

– Z pewnością umrze, moja droga – powiedział książę w swoim własnym języku. – Ponieważ ja go zabiję.

– Nie... nie dotykaj go!

Dziewczyna doczołgała się do Robina i zasłoniła go własnym ciałem. Rąbek jej tuniki się poddarł i książę zauważył, że ma zachwycające ciało. Poczuł, że jego gniew ustępuje nagłemu

przyływowy pożądania.

– Zejdź z niego natychmiast – powiedział. – Mam pewne porachunki z twoim... przyjacielem.

Nagle młodzieniec jęknął i otworzył oczy.

– Pić... pić...

Dziewczyna odsunęła się zaskoczona.

– Robin! Ty mówisz! Och, dzięki Bogini Matce!...

Księżę pochylił się, złapał dziewczynę za ramię i odepchnął od młodzieńca. Uśmiechnął się z okrucieństwem.

– Witaj znowu, Robinie. Pamiętasz mnie?

Robin skrzywił się i dotknął głowy w miejscu, gdzie krew lała się spod bandaża.

– Moja głowa... boli.

– Wcale się nie dziwię – powiedział księżę i machnął mieczem przed jego twarzą.

Dziewczyna znowu próbowała go bronić, ale przytrzymał ją jeden z mężczyzn.

– Pytam. Robin, czy mnie poznajesz?

– Tak, ty jesteś księżę. Księżę du Lucent. – Zmarszczył brwi i rozejrzał się. – Co się ze mną stało? Gdzie jesteśmy?

Jego wzrok padł na dziewczynę, szamocącą się w rękach ludzi księcia.

– Kim jesteś? Wydajesz się znajoma, ale... Boże, tak bardzo chce mi się pić...

– Robin, nie pamiętasz mnie? – krzyknęła z bólem w głosie dziewczyna.

Nie odpowiedział. Dotknął swojej głowy i jęknął.

– Czy masz trochę wody? – zapytał księżę. Skinęła głową.

– Daj mu trochę. Nie chcę, żeby umarł z pragnienia, zanim go zabiję.

Gestem nakazał swojemu człowiekowi, żeby ją puścił, i obserwował podejrzliwie, jak wyciąga z plecaka pojemnik z wodą. Kiedy uklękła obok Robina i przytknęła mu pojemnik do ust, książę powiedział: – Wystarczy... kim jesteś?

Dziewczyna rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Mam na imię... Melissa.

– Melissa? – powtórzył książę dostrzegłszy wahanie. Przyjrzał się jej dokładnie.

– A więc, w jaki sposób znalazłaś się tutaj, Melisso? A, co ważniejsze, jak on się tutaj dostał? Kiedy go widziałem po raz ostatni, lądował swoją diabelską latającą maszyną na kadłubie Anioła Niebios. Co się stało? Czy Władczyni Niebios nie przyjęła jego usług? I co się stało z jego maszyną? Czy jest w pobliżu?

Dziewczyna odjęła pojemnik od ust Robina, chociaż najwyraźniej chciał jeszcze pić, i spojrzała na księcia.

– Maszyna jest nadal na Aniele Niebios. Władczyni Niebios nie żyje. Została zabita przez mechanicznego pająka... tego samego robota, który omal nie zabił Robina. Anioł Niebios i mechaniczne pająki, i reszta floty są teraz pod kontrolą komputera.

Komputer jest szalony... zły.

Książę pogładził w zamyśleniu brodę, zastanawiając się, ile w tym wszystkich jest prawdy. Rzeczywiście, z tego, co słyszał o wcześniejszych działaniach Władczyni Niebios, ta dzisiejsza rzecz nie była w jej stylu.

– A jak to się stało, że wy oboje znaleźliście się tutaj? – zapytał.

– Komputer wyrzucił nas razem na Ziemię. Niedaleko stąd. Doszliśmy tutaj. To jest jedyne miejsce, w którym można się schronić.

Pomyślał, że druga część jej odpowiedzi jest chyba prawdziwa. On i jego ludzie też instynktownie kierowali się do tej masywnej



fortecy. Wtedy przyszło mu do głowy, że inni, którzy przeżyli, zrobią to samo. Nie tylko jego ludzie, ale także mieszkańcy czterech pozostałych sterowców Władców Niebios, włączając w to El Rashada.

Odwrócił się i powiedział do jednego z trzech żołnierzy: – Wyjdź na zewnątrz i z ukrycia obserwuj otoczenie. Obawiam się, że inni mogą też tutaj przyjść.

Mężczyzna skłonił się i szybko wyszedł. Książę znów zwrócił się do dziewczyny, która teraz stała twarzą do niego. Ich oczy się spotkały.

– A więc, ten szalony komputer, który zabił Władczynię Niebios i omal nie zabił Robina, wyrzucił was tutaj, na Ziemię? Litościwie postąpił w porównaniu z tysiącami, które wysłał dzisiaj na śmierć.

– Komputer zachowuje się kapryśnie – odparła dziewczyna. – Powiedziałam ci, że jest szalony.

– Czyżby? A co ty robiłaś na Aniele Niebios?

– Co ja robiłam?... – zawahała się przez chwilę – Byłam... eee... osobistą służącą Władczyni Niebios, od kiedy zostałam porwana z Minervy.

– Jesteś Minervianką?

– Tak. I jestem z tego dumna.

Książę spojrział znowu na Robina. Młodzieniec wyglądał na chorego i przerażonego. Nie był to już beztroski, pewny siebie, młody kogucik, który wylądował na *Władcy Mordredzie*. Zabicie tego ludzkiego wraka nie byłoby zabawne. Zdecydował, że pozwoli młodzieńcowi choć trochę powrócić do zdrowia – jeśli będzie mógł – zanim mu się zrewanżuje. Zapytał dziewczynę: – Jak nazywa się twoja zmarła Władczyni Niebios?

– Jan Dorvin – powiedziała szybko, krzywiąc się z bólu.

Młodzieniec jęknął, co przyciągnęło uwagę księcia. Książę zauważył, że marszczy brwi, próbując sobie coś przypomnieć.

– Robin, czy pamiętasz Jan Dorvin?

– Nie pamiętam... nic. Głowa mnie tak bardzo boli. Jego głos był teraz silniejszy.

Woda dodała mu sił.

– Pamiętasz mnie. Pamiętasz, że byłeś na sterowcu *Władca Mordred*. Pamiętasz Andreę.

– Tak... Andrea. Gdzie ona jest?

Książę nie chciał o tym myśleć.

– Pamiętasz, jak leciałeś swoją maszyną do Anioła Niebios. Musiałeś spotkać tę Władczynię Niebios, tę Jan Dorvin. Zaoferowałeś jej swoje usługi, tak jak mnie.

– Pamiętam Andreę... Sterowiec *Władca Mordred*... twojego syna... pojedynek, Andreę... ale nic więcej...

– Cóż, Robinie, z wielką przyjemnością odświeżę twoją pamięć... kiedy poczujesz się lepiej.

Dały się słyszeć kroki. Książę odwrócił się. Był to główny technik, który oszedł, żeby zbadać budynek.

– Panie, myślę, że to miejsce nie jest jednak fortecą.

– Nie jest – powiedziała stanowczo dziewczyna. – To jest, a raczej było, coś w rodzaju ogromnego domu towarowego. Znajdują się tutaj tysiące różnego rodzaju sklepów.

– Jesteś pewna? – zapytał rozczarowany książę.

– Byłam na dole. Jestem pewna.

– Żadnej broni?

Wskazała kuszę, którą trzymał jeden z jego ludzi.

– Dużo tego. Nic więcej. Ale nie doszłam do końca. Tylko kawałek w dół. Nie byłam na górze.

– Zapewne nie ma tam pożywienia?

– W kilku sklepach widziałam puszkę, ale teraz wolę nie myśleć o tym, co po tych wszystkich latach może znajdować się w środku – stwierdziła dziewczyna.

Książę w zamyśleniu pokiwał głową.

– Dziwne, że to miejsce nie zostało nigdy splądrowane. Czy myślisz, że to było siedlisko zarazy?

– Myślałam o tym samym. Być może tak, kiedyś. Ta dziura w dachu wygląda, jakby zrobił ją pocisk. A z tego, co ja wiem o Wojnach Genetycznych, wynika, że jedynymi pociskami, jakie rzucano, były pociski pełne wirusów.

– Tak – zgodził się książę. Prawdopodobnie budynek był teraz bezpieczny.

– Ale odkryłam inny powód, dla którego to miejsce zostało nietknięte – powiedziała dziewczyna. – Kiedy wzięłam kuszę, uruchomiłam urządzenie ochronne. O mało mnie nie zabiło. Myślę, że je zniszczyłam, ale może ich być więcej. To dlatego wróciliśmy tutaj.

Ktoś biegł w ich kierunku. Mężczyzna, którego książę wysłał na zewnątrz, pędził z powrotem szerokim tunelem wejściowym.

– Co się dzieje? – zapytał książę.

– Idzie tędy grupa ludzi, panie. Właśnie teraz wychodzą z zarażonego terenu.

Powinni tu być za dziesięć minut. Naliczyłem dwudziestu. Może ich być więcej. Mają broń. Karabiny... miecze... topory...

– Widzieli cię?

– Przysięgam, że nie, panie.

– Miejmy nadzieję. Jediną przewagą, jaką mamy, jest element zaskoczenia. – Rozejrzał się dookoła, po czym powiedział do swoich trzech żołnierzy: – Schowajcie się, ale tak, żebyście mieli duży zasięg strzału. – Pochylił się i wziął do ręki kuszę

dziewczyny, sprawdził, że jest gotowa do strzału, i zapytał: – Masz więcej strzał?

Skinęła głową i wskazała na plecak. Książę zajrzał do środka, wyciągnął garść bełtów i wcisnął je sobie za pas. Następnie polecił głównemu technikowi i dwóm młodym technikom, z których żaden nie był uzbrojony: – Weźcie Robina i dziewczynę tam do środka. – Wskazał mroczne wejście do pobliskiego sklepu. – Ukryjcie się i bądźcie cicho.

Kiedy wykonali jego rozkaz, książę ukrył się za ozdobną kolumną. Jeszcze raz sprawdził kuszę i czekał, oparty plecami o słup. Nie miał zbyt dużej nadziei na wygraną. Trzy karabiny i kusza przeciwko grupie dwudziestu uzbrojonych mężczyzn. Czy to ludzie El Rashada? Możliwe. Może jest wśród nich sam El Rashad. Książę z całego serca pragnął umieścić strzałę w aroganckiej głowie tego głupca. Ale Bóg dzisiaj oddał już w jego ręce jednego z wrogów. Nawet od Boga nie mógł oczekiwać, że dostanie obu.

Usłyszał tupot nóg, dobiegający z wejścia do tunelu. Czekając, aż kroki staną się wyraźniejsze, co będzie oznaczało, że intruzi wychodzą z tunelu, upewnił się, że jego palec spoczywa na spuście. Czekaj. Jeszcze nie... czekaj... teraz.

Obrócił się. Przyklęknął na jedno kolano i podniósł kuszę do ramienia.

– Ognia! – krzyknął do swoich ludzi.

Już miał nacisnąć spust, gdy rozpoznał kilka twarzy w zaskoczonych grupie.

– Nie... wstrzymać ogień! – krzyknął desperacko. Nie padł żaden strzał. Jego ludzie na pewno poznali ich także. Książę wstał i ruszył powoli w kierunku dwojga ludzi, idących na czele grupy, która jeszcze wychodziła z tunelu.

– Witajcie, moje kochane dzieci – powiedział zmienionym głosem.

Książę Darcy i księżniczka Andrea, z twarzami i ubraniami pokrytymi śmierdzącym grzybem, patrzyli na niego niedowierzająco.

– Słodka Maryjo... to książę!

– Ojciec... – powiedział Darcy i zachwał się.

Andrea patrzyła na niego swoim jedynym zdrowym okiem. Książę podniósł rękę.

– Nie, proszę, powstrzymajcie swoje łyzy radości i zadowolenia. Nie musicie mi mówić, jak szczęśliwi jesteście, że mnie widzicie całego i zdrowego; moje serce to czuje.

Darcy przełknął ślinę i powiedział: – Oczywiście. Ja... my... cieszymy się, że widzimy cię żywego, ojciec... ale jak uciekłeś? Byliśmy pewni, że zginąłeś na pokładzie *Władcy Mordreda*.

– Niewiele brakowało, a tak by się stało. Ale zdołaliśmy pokonać tych cholernych ludzi El Rashada i uciec przez luk w pomieszczeniu kontrolnym. Ale w jaki sposób wy oboje zdołaliście przetrwać? I ci wszyscy?

– Prowadziliśmy wojskowy szybowiec. Odlecieliśmy, kiedy tylko lasery zaczęły dosięgać *Władcy Mordreda* – powiedział Darcy.

Książę przyglądał się ludziom stojącym za jego synem i córką. Sami mężczyźni, na pierwszy rzut oka żołnierze.

– A moja kochana żona... czy też wam towarzyszy?

– Mama odmówiła opuszczenia sterowca – powiedziała zimno Andrea. – Powiedziała, że woli umrzeć na *Władcy Mordredzie*, niż znosić hańbę bycia ziemską glistą.

– Och – powiedział książę. – Jaka szkoda. – Wziął głęboki oddech. – Ale życie musi się toczyć dalej, nawet w tych

przygnębiających okolicznościach. – Spojrzał na Darcy’ego. – Skoro lecieliście szybowcem i jesteście wszyscy tutaj, przypuszczani, że zestrzelił was Anioł Niebios lub jakiś inny sterowiec przeklętej floty Władczyni Niebios?

– Dosięgną! nas laser – powiedział Darcy. – W kabinie zaczęło się palić. Było dużo dymu, ale zdołaliśmy go stłumić. Chcieliśmy dolecieć poza obszar dotknięty zarazą i niemal nam się to udało. Flota Władczyni Niebios kierowała się na południe, więc my skierowaliśmy się na północ i... i wpadliśmy prosto na siły El Rashada. – Potrząsnął głową.

– Siły El Rashada? – zapytał zdumiony książę. – Ale z pewnością niewielu ludzi z *Miecza Islamu* przeżyło. Musiał spaść na dół w płomieniach tak jak *Władca Mordred* i inne.

– Nie. Zszedł na dół w całości i nie było prawie wcale ognia. Leży roztrzaskany u stóp pasma wzgórz, które stanowi północną granicę tej doliny. Niewielka część się spaliła. *Miecz Islamu* musiał nadal mieć hel w komorach gazowych. Widzieliśmy wielu ludzi, chodzących dokoła wraka. A nad nimi latało mnóstwo szybowców. Otworzyli do nas ogień. Jeden z nich puścił się za nami w pogoń i zmusił nas do zawrócenia. W końcu nie mogliśmy utrzymać odpowiedniej wysokości i wylądowaliśmy w pobliżu... dokładnie w środku dużej kępy tego ohydneho grzyba. Andrea zatrzęsała się.

– To było straszne. I były tam takie różne...

– Wiem – powiedział książę, który pamiętał swoje bliskie spotkanie z czymś, co przypominało ruchomą kulę, zrobioną z płątaniny wijących się białych robaków.

– I będzie jeszcze gorzej – dodał Darcy. – Widzieliśmy w pobliżu kilka dziwnych stworzeń. Dużych stworzeń, wlatujących do doliny. Przyciągniętych zapachem śmierci. Widzieliśmy

jednego gada, który musiał mierzyć pięćdziesiąt stóp od głowy do ogona. Planowaliśmy schronić się tutaj, dopóki ta biesiada się nie skończy.

– To najmądrzejsze, co można było zrobić – zgodził się książę.  
– Musimy zabarykadować wejście, na ile się tylko da, i szukać innych. Nie możecie być jedyną ocalałą grupą. Na szczęście masz ze sobą wielu mężczyzn. Teraz mamy jakieś szansę... Zważywszy na to, że... – Wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się do nich. – Ale najpierw pozwólcie mi pokazać coś, co złagodzi trochę ból tego najczarniejszego ze wszystkich dni. – Odwrócił się i skinął na głównego technika, który wyszedł ze sklepu.

– Idź i przyprowadź naszych więźniów.

Darcy spojrzał ze zdziwieniem na księcia.

– Więźniów? Jakich więźniów...?

– Zobaczysz – odpowiedział książę z wymuszonym uśmiechem. Kiedy Andrea rozpoznała Robina, którego podtrzymywali dwaj technicy, aż syknęła z zaskoczenia. Darcy był zdziwiony.

– Ten zdrajca... tutaj? Jak to możliwe...?

– Och, mam swoje sposoby – powiedział książę, delektując się tą chwilą.

– Andrea? To ty?

Robin rozpoznał Andreę. Uśmiech powoli wypłynął na jego twarz. Cieszył się, że ją widzi. Pomimo całego gniewu na młodzieńca, książę w środku płonął ze wstydu za niego. Andrea podeszła szybko i zamierzyła się. Miała właśnie uderzyć Robina, gdy dziewczyna uwolniła się z ramion głównego technika i złapała księżniczkę za rękę.

– Nie rób tego! – krzyknęła. – Nie widzisz, że jest ranny? Andrea wyrwała rękę i spojrzała na dziewczynę. Widziała ją po

raz pierwszy.

– Kim, do diabła, jesteś?

Książę szybko zrobił krok do przodu.

– Ona jest z Anioła Niebios, kotku. Dawna służąca Jan Dorvin, Władczyni Niebios, która podobno nie żyje.

– Czyżby? To dobra nowina. Warto by tę służącą wychłostać za bezczelność... ale to potem.

Odwróciła się znów do Robina, który mrugając oczami, patrzył na nią z zakłopotaniem.

– A więc, obcięto ptaszкови skrzydła, prawda? Cóż, nie jest to jedyna rzecz, którą będziesz miał obciętą.

– Andrea – powiedział słabym głosem Robin. – Nie rozumiem, co się dzieje... dlaczego tutaj jesteśmy? I co się stało z twoim okiem?

Odwróciła się do niego plecami.

– Balcombe! – krzyknęła.

Ubrany w ciężką zbroję żołnierz wystąpił do przodu.

– Tak, wasza wysokość?

– Rozbierz tego łajdaka. Następnie przywiąż go za nadgarstki do prętów tego balkonu...

– Nie! – krzyknęła dziewczyna.

Podbiegła do Andrei, ale główny technik złapał ją i odciągnął do tyłu. Książę mętnie sobie przypominał Balcombe'a jako sierżanta swojej armii, którego spotkał kiedyś raz czy dwa. Teraz Balcombe patrzył na niego wyczekująco. Po chwili książę skinął głową.

– Rób, co ona mówi.

Balcombe przywołał dwóch innych żołnierzy.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna, szarpiąc się gwałtownie.

Andrea spojrzała na nią, potem na Balcombe'a.



– Zwiążcie ją i zakneblujcie.

– Tak jest, wasza wysokość – powiedział niepewnie Balcombe.

– Ale czym mamy ją związać?

– O Boże! Nie wiem! – krzyknęła Andrea. – Chociażby swoimi pasami, jeśli nie możecie znaleźć nic lepszego!

Zdjęli pasy. Teraz już książę domyślił się, co zamierza uczynić Andrea.

– Kochanie – powiedział. – Wiem, co czujesz, i sam chciałem wymierzyć karę tej zdradzieckiej kreaturze. Ale spójrz na niego: jest ranny w głowę i stracił zmysły. Jeśli zabijemy go w tym stanie, nie będziemy mieli żadnej satysfakcji. Poczekaj, aż trochę dojdzie do siebie, tak, jak ja to zamierzałem zrobić.

Andrea nie zwróciła na niego uwagi. Wyciągnęła miecz i badała jego ostrze.

– Niezbyt ostre, ale nie szkodzi.

Robin siedział, oparty plecami o balkon, z rękami przywiązanymi do prętów nad jego głową. Nadal rozglądał się zdezorientowany i najwyraźniej nie mógł zrozumieć sensu ani przyczyny tego, co się z nim dzieje. Dziewczyna, chociaż mocno związana, szarpała się dziko w rękach dwóch techników. Szorstki knebel tłumił jej głos, ale książę wiedział, że krzyczy.

Andrea podeszła i stanęła nad Robinem. Przez jakiś czas patrzyła na niego, po czym poleciała żołnierzom: – Rozsuńcie mu nogi i trzymajcie go za stopy. Żołnierze wykonali rozkaz.

Andrea uklękła między nogami Robina.

– Andrea...? – powiedział Robin, nadal nie wiedząc, o co chodzi.

Lewą ręką podniosła jego mosznę i z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu rozpoczęła swoje krwawe dzieło.

Ostrze było rzeczywiście tępe i robiła to powoli... Po jakimś

czasie książę, czując mdłości, odwrócił wzrok. Krzyk Robina  
dźwięczał mu w uszach, gdy zapatrzył się w ciemny sufit i dziurę  
w nim. Zastanawiał się nad charakterem swojej córki.

Aż tak jest mściwa, pomyślał. Zupełnie jak matka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mężczyzna odłączył się od idącego powoli rzędu ludzi i przeszedł przez platformę wózka towarowego w kierunku Mila. Milo zauważył, że wyciągnął ze swoich łańchmanów krótki metalowy pręt z tępym ostrzem. Żaden z mechanicznych pajaków, które popychały wąż niechętnych ludzi – wszyscy kurczowo ściskali żalosne zawiniątka ze swym dobytkiem – nie poszedł za nim do wózka towarowego. Również oba mechaniczne pajaki, które miały chronić Mila, nie zrobiły nic, żeby przeszkodzić mężczyźnie.

– Zatrzymaj go! – krzyknął Milo, ale mechaniczne pajaki pozostały w bezruchu.

Mężczyzna był teraz o kilka jardów od niego. Biegł krzycząc, a jego oczy były pełne nienawiści. Ludzie zatrzymali się i patrzyli z satysfakcją. Niektórzy nawet go dopingowali.

– Zatrzymaj go! – krzyknął znowu Milo załamującym się głosem.

Zaczął się cofać, ale nie bardzo miał gdzie...

Mężczyzna był już coraz bliżej. Czas płynął wolno, po to, by Milo mógł się dokładnie przyjrzeć każdemu rysowi czerwonej z wściekłości twarzy. Milo podniósł rękę, by odparować uderzenie prowizorycznej broni, ale wiedział, że dobrze zbudowany mężczyzna ma nad nim zdecydowaną przewagę. Wiedział też, że umrze. Po raz drugi.

W ostatniej chwili jeden z pajaków nagle rzucił się do przodu wyciągając jedno ze swych ramion, zakończone ostrzem.

Mężczyzna nie zdążył zareagować. Biegł prosto na pająka i sam się nadział na jego ramię. Wpadł na nie z takim impetem, że przeszło go na wylot. Krzyknął i zatrzymał się. Koniec zaostrego pręta, który trzymał, znalazł się zaledwie parę cali od podniesionego ramienia Mila. Powleczone już mgiełką śmierci oczy mężczyzny utkwione były w Milu. Nadal wypełniała je nienawiść. Spróbował rzucić prętem, ale był już za słaby i pręt upadł na ziemię. Krew trysnęła mężczyźnie z ust. Umarł. Głowa opadła mu do przodu. Mechaniczny pająk cofnął ramię i ciało upadło.

– Przestraszyłam cię, co? – zapytał mechaniczny pająk głosem Ashley.

– Oczywiście, że tak, ty suko – powiedział Milo z trudem łapiąc oddech.

Serce biło mu w szaleńczym tempie. Z grupy patrzących ludzi rozległy się krzyki przerażenia i rozczarowania. Kilku mężczyzn usiłowało opuścić szereg, ale tym razem mechaniczny pająk zareagował natychmiast, odpychając ich z powrotem do tyłu.

Pewność siebie Mila szybko powróciła. Zawołał do tłumu: – No, prędzej! Do wózka towarowego! Czeka na was wasz nowy dom!

Kiedy mechaniczne pająki znowu popędzały ludzi, jakaś kobieta krzyknęła: – Jesteś mordercą! Mordujesz nas wszystkich! Nie możemy żyć na Ziemi! Umrzemy!

– Nie wiń mnie, pani. To nie jest mój pomysł. Tak samo jak wy jestem uzależniony od kaprysów programu komputerowego. Pomyślcie, jakie macie szczęście, że nie zostaliście zrzućeni do tamtej dotkniętej zarazą doliny, tak jak wcześniej zamierzano. Poniżej znajduje się czysta ziemia i kilka osad o parę dni marszu. Zorganizujcie się i podbijcie je. Dzięki Bogu jest was wielu.

Podjeżdżał jednak, że wygnańcy z różnych Władców Niebios prędzej będą walczyć między sobą, niż zjednoczą się po to, żeby przetrwać na Ziemi. Taka jest natura ludzka.

Wózek towarowy był pełen. Mechaniczny pajak zamknął wrota i wózek zaczął się opuszczać w dół. Milo wiedział, że podobne sceny odbywają się na *Pachnącym Wietrzyku* i innych sterowcach Władców Niebios. Z wyjątkiem *Władcy Montcalma*.

To było kolejne niepokojące wydarzenie. Program Ashley, kierujący *Władcą Montcalmem*, nie zgodził się z decyzją programu Ashley I, żeby zrzucić wszystkich niebiańskich ludzi. Ashley ze sterowca *Władcy Montcalma* chciała pozostawić swoje społeczeństwo – i to z powodu, który Milo zasugerował Ashley I; gdyż byli źródłem rozrywki. Dwie Ashley rzeczywiście kłóciły się o to przez jakiś czas. Milo się bał, że ta kłótnia skończy się bitwą pomiędzy Aniołem Niebios i *Władcą Montcalmem*, której wynikiem byłoby zapewne całkowite wzajemne zniszczenie. Przekonał jakoś Ashley, żeby się uspokoiła, i nie doszło do konfliktu. Ale katastrofa wisiała na włosku.

To zły znak. Bardzo zły znak. Znaczyło to, że psują się następne programy Ashley. Ashley ze sterowca *Władca Montcalm* była ostatnią kopią. Milo z rozkoszą wypaliłby ją z biologicznego software, ale był bezradny. Więc co będzie dalej? Czy osobowości Ashley po prostu całkowicie się rozpadną? Miał nadzieję, że tak. Wtedy będzie mógł rozmawiać bezpośrednio z Carlem. Ale niebezpieczeństwo polegało na tym, że zanim programy Ashley staną się nieszkodliwymi elektronicznymi i chemicznymi wzorami, mogą w swoim śmiertelnym szaleństwie zrobić coś nieodwracalnego i zabrać go ze sobą w zapomnienie...

Te przygnębiające myśli zostały nagle przerwane. Milo rozpoznał kogoś w oczekującym tłumie. W towarzystwie dwóch

mechanicznych pajaków podszedł bliżej, zachowując jednak bezpieczną odległość, i zawołał: – Cześć, Benny! Pamiętasz mnie?

Mężczyzna zaskoczony spojrzał na Mila.

– Znasz mnie? – zapytał.

– O tak, i to bardzo dobrze, Benny. Pracowaliśmy razem. Lub raczej, ja pracowałem, a ty mnie nadzorowałaś. Mnie i innych niewolników. Czyściliśmy konwertory energii słonecznej. Na sterowcu *Władca Pangloth*. A jak tam Mistrz Cechu Bannion?

– Umarł rok temu – powiedział Benny, patrząc na niego podejrzliwie. – Nie zniósł zmiany diety. Ale skąd o nim wiesz?

– Powiedziałem ci. Tak się składa, że cię znam. Byłem niewolnikiem z grupy czyścicieli.

– Nie pamiętam cię. Jesteś za młody, by być niewolnikiem, który czyścił konwertory.

Milo roześmiał się i powiedział: – Jestem Milo, Benny.

– Milo? Nie jesteś Milo, jesteś czymś... dzieckiem. Poza tym słyszałem, że Milo zginął na Ziemi.

– Rzeczywiście zginął, ale nadal jestem mniej więcej Milem. Jestem jego... cóż, najbliższe prawdy określenie, to reprodukcja... Wiesz, co to jest reprodukcja, prawda?

Benny najwyraźniej wiedział, ponieważ wyglądał teraz na zaniepokojonego.

– Musisz widzieć podobieństwo, Benny, nawet kiedy jestem w tym wieku. – Dotknął swojej łysiejącej głowy. – Aha, widzę że zaczynasz poznawać. Byliśmy przez jakiś czas razem, nieprawdaż, Benny? Pamiętasz, jak przeciąłeś linę asekuracyjną Jan?

Benny zrobił krok do tyłu i z trudem przełknął ślinę.

– Chryste, ty jesteś Milem – powiedział.

– Nie bój się, nie zamierzam cię skrzywdzić. Poza tym, gdyby

nie ty, nigdy nie spotkałbym Jan. Pamiętasz dzień, kiedy przyprowadziłeś ją do naszej zagrody i dałeś biednemu, staremu Buncherowi?

– Tak... zawsze to będę pamiętał. Ta suka przyniosła mi pecha. Jej przybycie na pokład... od tego momentu wszystko się zmieniło, i to na gorsze. Kiedy myślę teraz, jak bliski byłem zabicia jej... jestem całkowicie pewien, że gdybym to zrobił, wszystko byłoby jak za dawnych czasów.

– Proszę cię, Benny, mówisz o mojej matce – powiedział Milo z uśmiechem.

– Twojej matce?...

– Mojej matce. Tak, Jan posłużyła mi jako coś w rodzaju katalizatora, ale podejrzewam, że *Władcę Panglotha* i tak spotkałby smutny koniec. Rozkład zaczął się jeszcze zanim pojawiła się Jan...

Rozległ się trzask, opróżniony wózek towarowy wrócił na górę. Kiedy wrota się otworzyły, mechaniczne pająki znowu zaczęły popychać do przodu ustawiony w kolejkę tłum. Milo uśmiechnął się do Benny'ego.

– Cóż, teraz musisz iść. Powodzenia na Ziemi.

Benny spojrzał na niego dziwnie i poszedł, ociągając się. Milo pozostał na miejscu, obserwując mijających go ludzi. Minutę później powiedział głośno: – Teraz widzę obiecującą kandydatkę.

– Którą? – zapytał mechaniczny pająk głosem Ashley.

Milo pokazał.

– Ta z długimi czarnymi włosami.

– Ona? Jest chuda.

– To ją podkarmimy. Mogę ją mieć, prawda?

– Tak, tak mi się wydaje...

Mechaniczny pająk podszedł do tłumy, złapał dziewczynę za

ramię i wyciągnął ją z kolejki. Przestraszona dziewczyna pisnęła i upuściła swoje zawiniątko. Dwoje ludzi – mężczyzna i kobieta – próbowali pójść za nią, ale zostali odciągnięci przez inne pająki.

– Hej! Gdzie ją zabierasz? – krzyknął głośno mężczyzna. – Pozwól jej iść!

Mechaniczny pająk przyprowadził dziewczynę do Milo, który zlustrował ją szybkim spojrzeniem. Ładna cera, długie nogi, bardzo małe piersi, ale nie można mieć wszystkiego. Tak, była za szczupła, ale taka była większość niebiańskich ludzi. Już od wieków ściśle racjonowano żywność.

– Jak ci na imię? – zapytał Milo.

Popatrzyła na niego ze strachem. Oceniał ją na szesnaście lat. Powiedziała drżącym głosem: – Tyra.

– To twoi rodzice?

Spojrzała do tyłu na parę, która nadal gwałtownie próbowała się wydostać poza zasięg mechanicznych pająków, i skinęła głową. Milo podszedł do nich.

– Cóż, to jest wasz szczęśliwy dzień – powiedział. – Postanowiłem, że uratuję waszą córkę.

Patrzyli na niego nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz? – krzyknęła kobieta. – Proszę, pozwól jej iść.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? Zdecydowałem, że ją uratuję. Zostanie na górze, ze mną. Nie uważasz, że jest to lepsze niż wątpliwy los z wami tam, na Ziemi? Wymienili między sobą zaniepokojone spojrzenia, po czym mężczyzna powiedział: – Pójdzie z nami. Spróbuje swoich szans na Ziemi tak jak my. Z nami.

Milo potrząsnął głową.

– Ja was o to nie proszę. Ja wam o tym mówię. Zostanie ze



mną. Teraz pożegnajcie się i idźcie do wózka.

– Nie! – krzyknęła kobieta i spróbowała obejść mechanicznego pająka, znajdującego się przed nią. Odepchnął ją do tyłu.

– Dlaczego? Dlaczego ją chcesz?

– Myślałem, że to całkowicie jasne – odparł Milo z uśmiechem. Patrzyli na niego.

– Ale... jesteś tylko chłopcem – powiedziała kobieta.

– Teraz tak, ale szybko się rozwijam – zapewnił ją Milo i roześmiał się. – No, pożegnajcie się z Tyra i idźcie.

Znowu próbowali odsunąć pająki. Tym razem pająki chwyciły ich i odepchnęły. Odeszli, wykrzykując imię córki. Tyra także zaczęła krzyczeć. Milo podszedł do niej.

– Uspokój się, Tyra – powiedział z uśmiechem. – Wszystko będzie dobrze. Kiedy mnie poznasz, dojdiesz do wniosku, że da się mnie lubić. Ashley, zabierz ją do helikoptera. Wracam na Anioła Niebios. Im wcześniej zacznę ją szkolić, tym lepiej.

Bestia zaczęła istnieć jako męski zarodek słonia afrykańskiego. Kiedy miała zaledwie kilka godzin, inżynier genetyk rozpoczął nad nią pracę, zmieniając jej DNA. Inżynier genetyk, kobieta, pracowała zgodnie ze ścisłymi wskazówkami swojego pracodawcy, bilionera Olivera Hutsona Juniora, zaopatrując jego rozrastające się dobra w potworne i bardzo niebezpieczne stworzenia, które miały szokować i przerażać przyjaciół, biorących udział w jego wyprawach łowieckich. Hutson Junior był przekonany, że ten szczególny stwór będzie najdzikszym pomysłem... i najbardziej niebezpiecznym.

Kobieta pracowała nad zarodkiem dobre czterdzieści osiem godzin, po czym efekt jej pracy został umieszczony w sztucznej macicy, która znacznie przyspieszała okres ciąży. Dziesięć dni później bestia się narodziła. Ważyła trzysta funtów. Hutson

Junior obejrzał ją w zagrodzie i był zadowolony. Nawet w tym młodym wieku robiła wrażenie. A kiedy osiągnie swoją ostateczną wagę czterech ton, będzie niewiarygodna! Kiedy zobaczył, jak bestia atakuje młodego kozła, postanowił dać premię odpowiedzialnemu za nią inżynierowi genetykowi.

Żołnierze, którzy tworzyli małą i przemoczoną armię El Rashada, nie byli szczęśliwymi ludźmi. Większość od czasu zniszczenia *Miecza Islamu* była nadal w stanie szoku. Stracili jedyny dom, jaki kiedykolwiek mieli. Nawet gorzej, wielu straciło żony, dzieci, krewnych i przyjaciół. A teraz, zupełnie zdezorientowani, musieli oczyszczać drogę przez dotkniętą zarazą dolinę, żeby ich przywódca mógł się zemścić na niewiernych. Od dwudziestu czterech godzin, od kiedy opuścili wrak *Miecza Islamu*, ich liczba stale malała. Rozproszona kolumna żołnierzy kilka razy została zaatakowana przez stwory, które mieszkały na zarażonej ziemi. Kilku ludzi dotknęła właśnie zaraza; paru zadusiły węże, które spadały na nich z góry; inni zostali poparzeni na śmierć przez grzyby, które wdarły się im pod ubrania, nadziani na kolce przerażających drzew batowych, które przybierały niezliczoną ilość kształtów.

Hazrad As-Awhan, ostatni w kolumnie, był jednym z dwóch żołnierzy El Rashada, którzy napotkali najbardziej przerażającą z wszystkich postaci plagi. Tym pierwszym był Masal Gashiya. Był już martwy, zanim Hazrad As-Awhan zdołał cokolwiek usłyszeć. Zatrzymał się i patrzył niespokojnie na płataninę grzybów i gnijących drzew.

– Masal?... – zawołał.

Usłyszał jakieś dźwięki. Coś bardzo ciężkiego szło przez zarażony teren w ich kierunku. Było zbyt ciężkie, żeby to mógł być Masal. Hazrad spojrział na koniec kolumny, ale stwór już

połknął idącego przed nim mężczyznę.

– Hej! – krzyknął Hazrad. – Pomocy! Zatrzymajcie się! Coś mnie goni!

Rozległo się głucho trzaśnięcie. Pień martwego drzewa złamał się na pół. Hazrad obejrzał się przez ramię i krzyknął...

Goniła go ręka. Po prostu ręka – nic więcej. Oddzielona od ciała ręka, która kiedyś musiała należeć do olbrzyma. Miała dziesięć stóp wysokości i co najmniej piętnaście szerokości. Jej skóra była szara i mocno pomarszczona. Miała czarne paznokcie wielkości dużych talerzy.

Hazrad krzyknął jeszcze raz i zaczął biec szybciej. Ale nie miał szans. Ręka rzuciła się na niego, zwinęła się w pięść i zgmiotła go gigantycznymi palcami. Zanim jeszcze jego krew została wyciśnięta z ciała, Hazrad zdążył poczuć ból pękających żeber.

Jego krzyk przyciągnął kilku członków kolumny. Patrzyli w osłupieniu na monstrualną dłoń. Dwaj odwrócili się i odbiegli z krzykiem na zarażony teren, myśląc, że ręka jest zwiastunem jakichś strasznych nadprzyrodzonych sił. Ale inni zostali na miejscu i, pomimo szoku, wycelowali w rękę swoje karabiny i wystrzelili. Kule i groty strzał utkwily w grubej, podobnej do zbroi skórze.

Ręka podniosła się na palce, upuszczając patetycznie wyglądające zwłoki Hazrada na ziemię i ruszyła naprzód jak ogromny pająk. Kolejni żołnierze El Rashada padali pod jej ciężarem. Inni, widząc, że ich kule nie odnoszą skutku, odwrócili się i pobiegli za kolumną. Ręka zabiła jeszcze dwóch, a reszcie pozwoliła odejść. Teraz nie musiała się spieszyć. Wróciła do ciała Hazrada. Linie ogromnej dłoni zmieniły się w liczne usta, które zaczęły chciwie pożerać ciało Hazrada i pić jego krew. Kiedy z Hazrada nie zostało nic oprócz kości, ręka wróciła do następnego

powalonego żołnierza. Nie, teraz nie musiała się spieszyć. Miała dużo pożywienia.

Kiedy Jan się ocknęła, była zaskoczona, że Robin jeszcze żyje. Był ranek trzeciego dnia od chwili, gdy jednooka dziewczyna go wykastrowała. Żałośnie umierał, zanim jeszcze skończyła swe rzeźnicze dzieło, i od tego momentu ciągle był półprzytomny.

Drugiego dnia dostał gorączki. Lamont powiedział Jan, że Robin może umrzeć przed zapadnięciem nocy.

Lamont był znany także jako główny technik, ale kiedyś powiedział do niej smutno: – Teraz to jest tytuł bez znaczenia. Nie istnieje już nic, czego głównym technikiem mógłbym być, więc po prostu mów do mnie Lamont.

Po tym przerażającym zdarzeniu okazał gburowatą uprzejmość, najpierw przyżegając ranę Robina, potem pomagając Jan założyć opatrunek. Pomógł jej także przenieść Robina na prowizoryczne nosze, a potem, na rozkaz księcia, na dół, na niższy poziom gmachu.

Jan wyczołgała się ze śpiwora i przeciągając się wyszła przed sklep. Małe ognisko, jakie rozpałała tam poprzedniej nocy, zgasło. Będzie musiała znaleźć więcej rzeczy do spalenia, ale najpierw poda Robinowi wody. Poszła w kierunku głównej fontanny, z której czerpano wodę, używając ogromnych lejków, zrobionych z jedwabnych części spadochronu, rozciągniętych pomiędzy drewnianymi ramkami, żeby łapały wodę, spływającą często z dziury w dachu.

W przepaścistym wnętrzu paliło się już wiele ognisk. Grupa zgromadzona w starym domu towarowym rozrastała się. Przez kilka ostatnich dni ciągle przybywali nowi ludzie. Jeśli nie byli z *Władcy Mordreda*, lecz z jakiegoś innego Władcy Niebios, ludzie księcia zabierali im broń i wysyłali na niższe poziomy. Straże,

stojące na chodniku, nie pozwalały im wychodzić na wyższe poziomy.

Jan zatrzymała się i wstrzymała oddech. Pomiedzy dwoma dużymi kawałkami betonu leżało ciało nagiej kobiety. Leżała na plecach z nogami szeroko rozrzuconymi. Między nimi tkwił kawałek drewna. Jan niechętnie podeszła bliżej i odetchnęła z ulgą. Był to jeden z robotów–manekinów, które spotkała pierwszego dnia. Głowę miał odrzuconą na bok i zamiast ludzkiego mózgu Jan zobaczyła plątaninę kolorowych przewodów. Spojrzała na kawałek drewna, zastanawiając się, po co ktoś zrobił coś takiego. Rozglądając się nerwowo poszła do fontanny.

Przy fontannie dwie kobiety napełniały wodą plastikowe pojemniki. Kiedy Jan podeszła, popatrzyły na nią podejrzliwie. Miały szerokie twarze i wąskie oczy, które przypominały jej japońskich mieszkańców *Pachnącego Wietrzyka*, ale najwyraźniej nie były Japonkami. Uśmiechnęła się do nich, ale one spojrzały na nią twardo i napełniwszy swoje pojemniki szybko odeszły.

Jan również napełniła swoje dwa pojemniki i poszła powoli do sklepu, próbując nie myśleć o przyszłości. A myślenie o przeszłości nie było wcale lepsze. Zbyt dużo straciła. A oprócz ważnych rzeczy, za którymi tęskniła, brakowało jej także drobnych życiowych udogodnień. Na przykład kąpeli. Bogini Matko, jakże tęskniła za kąpielą. Skóra ją swędziała i była pewna, że śmierdzi. Robin też śmierdział. Spojrzała na swoją brudną tunikę. Nie było także wody, żeby wyprać ubranie. A jeśli przybędzie jeszcze więcej ludzi i przestanie padać, nie będzie także wody do picia.

Ktoś był w sklepie. Mężczyzna. Kiedy podeszła bliżej i

zobaczyła, że to był Lamont, odetchnęła z ulgą.

– Dzień dobry, Melisso – powitał ją i pokazał głową na Robina.

– Widzę, że się myliłem. On nadal trzyma się życia.

– Właśnie – powiedziała Jan. – Ma wyższą gorączkę.

Uklękła obok Robina i podtrzymała mu głowę. Mruknął coś i poruszył brwiami, ale nie otworzył oczu. Jan przyłożyła mu pojemnik z wodą do ust i ucieszyła się, że chory połyka wodę bez zachłyśnięcia.

– Obawiam się, że jego... rana... pomimo moich niezdarnych wysiłków, została zakażona – powiedział Lamont. – Czy zmieniałaś dzisiaj opatrunek?

– Jeszcze nie – odrzekła Jan. – Odwlekała to zajęcie. – Zaczyna mi brakować opatrunków. – Wstała i strzepnęła kurz ze swojej tuniki.

– Lepiej by było, gdyby już umarł, prawda?

Popatrzyła na Lamonta. Ich oczy się spotkały. Jan skinęła głową.

– Być może dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybyśmy umarli. Nie widzę żadnych szans na przeżycie w tej dolinie.

– Czy książę ma jakieś plany?

– Ha! – powiedział Lamont – Książę nigdy w swoim życiu nie robił żadnych planów.

O ile wiem, po prostu chce tutaj siedzieć i czekać.

– Czekać na co?

– Dobre pytanie. Być może na przeznaczenie, które przyjdzie i go ocali, lub na Boga.

– Wkrótce zaczniemy głodować. Kończy się żywność.

– Pod tym względem książę zrobił coś rzeczywiście sensownego. Dzisiaj rano wysłał grupę myśliwych i udało im się coś upolować. – Trącił torbę, stojącą na podłodze. – Przyniosłem

ci to w prezencie.

Jan pochyliła się i otworzyła torbę.

– Uhh!

W torbie było martwe zwierzątko podobne do królika. Patrzyło na nią szklistymi oczami. Jego pyszczek był pokryty krwią. Jan szybko zamknęła torbę.

– To jest jedzenie – powiedział Lamont, któremu zrobiło się przykro.

– Jestem wegetarianką – odparła. – Doceniam ten gest, ale nie mogę tego jeść.

– On by mógł – powiedział Lamont, wskazując na Robina. – Możesz z tego zrobić rosół. Może by mu pomógł.

Jan zmarszczyła brwi. Miał rację, ale myśl o przygotowywaniu posiłku z martwego zwierzątka przyprawiała ją o mdłości. A było tu dużo naczyń, których można by użyć do gotowania. Sklep był ich pełen.

– Myślę, że masz rację – rzekła niechętnie. – Dziękuję.

– Wiesz, nie musisz tutaj zostawać – powiedział Lamont.

– Ależ muszę. Książę mi kazał.

– Udało mi się go przekonać, żeby zmienił zdanie w twojej sprawie, chociaż on – Lamont wskazał na Robina – oczywiście będzie musiał tutaj pozostać.

– Nie mogłabym go zostawić.

– Nie, nie myślałem, że mogłabyś, ale kiedy on umrze, nie będziesz miała powodu, żeby nie przyjąć mojej propozycji.

– Propozycji? – posiała mu twarde spojrzenie. Poczul się nieswojo.

– Uważam, że jesteś bardzo... pociągająca, Melisso.

– Rozumiem – odrzekła poważnie.

Seks w zamian za ochronę i pożywienie. Kolejny mężczyzna

składa jej taką propozycję, a ona reaguje tak, jak nie zareagowałaby żadna Minervianka; ale to było już dawno temu. Zmieniła się. Może stała się twarda? Ale teraz przeżycie znaczyło dla niej więcej niż minerviański honor. A poza tym Lamont nie był Milem.

– Ty mi się także podobasz, Lamont – powiedziała. – Kiedy i jeżeli Robin umrze, przyjmę twoją propozycję.

– Cieszę się.

Podszedł do niej bliżej, objął ją i pocałował w usta. Chciała mu odpłacić tym samym, ale nie mogła. Była zbyt świadoma obecności Robina i poczuła się okropnie.

Mężczyzna, którego kochała, leżał umierający u jej stóp, a ona sprzedawała się innemu.

Lamont najwyraźniej wyczuł to i puścił ją. Odsunął się i powiedział: – Pójdę teraz i wrócę wieczorem, żeby zobaczyć, jak on się czuje.

– Dobrze – odrzekła. – Przykro mi, Lamont, ale kiedy Robin jeszcze żyje, ja nie mogę...

– Rozumiem. Zanim odejdę, jeśli chcesz, przygotuję i oskubię dla ciebie to zwierzątko.

Spojrzała na torbę i powiedziała niechętnie: – Gdybyś mógł. Wydaje mi się, że kiedyś będę się musiała tego nauczyć. Równie dobrze może się to stać teraz.

Było późne popołudnie. Jan znowu wracała od fontanny. Był ponury dzień. Po wstrętnej, rzeźnickiej lekcji Lamonta, musiała się trochę odprężyć, by móc spokojnie opatrzyć ranę Robina. Kiedy wreszcie usunęła stary opatrunek, widok rany wstrząsnął nią głęboko. Rana była okropnie zaogniona i żółta ropa sączyła się spomiędzy nieporadnych szwów Lamonta. Infekcja się powiększała. Zupełnie bezradna, Jan mogła co najwyżej przemyć



ranę ostatnim biologicznym środkiem dezynfekcyjnym z małej i prawie pustej buteleczki i nałożyć nowy opatrunek. Była pewna, że Robin umrze tej nocy. Kiedy znowu przechodziła obok sklepu, zauważyła w środku postać mężczyzny. Przypuszczając, że to Lamont, weszła do środka. Kiedy spostrzegła swą omyłkę, było już za późno. Rzuciło się na nią dwóch mężczyzn.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dwaj mężczyźni chwycili ją za ramiona. Trzeci podszedł do niej z długim nożem w ręce. Wszyscy trzej mieli takie same twarze, jakie widziała wcześniej tego samego dnia u kobiet przy fontannie – szerokie kości policzkowe i wąskie oczy. Byli niscy – niżsi niż ona – ale dobrze zbudowani. Mężczyzna z nożem krzychał coś do niej szorstkim głosem, ale nie rozumiała, co. Wbił czubek noża poniżej jej lewej piersi. Kiedy na nią wrzeszczał, Jan poczuła jego dziwnie słodki oddech. Zastanawiała się, dlaczego jest taki wściekły i czego od niej chce. Na to drugie pytanie szybko sobie odpowiedziała, gdy mężczyzna z nożem wolną ręką szarpnął za jej tunikę i rozerwał ją aż do pasa.

Mam dzisiaj spore powodzenie – pomyślała Jan krzyząc i próbując się uwolnić.

Mężczyzna z nożem próbował zedrzeć z niej tunikę. Jan z całej siły uderzyła go kolanem w krocze. Upuścił nóż i najwyraźniej porzucił wszystkie myśli o gwałcie, ściskając kurczowo obolałe miejsce.

Z łatwością uwolniła ręce z uścisku dwóch zaskoczonych mężczyzn. Obróciła się szybko i uderzyła jednego łokciem w tchawicę, po czym zwróciła się do drugiego. Ten wyciągnął nóż i zamierzył się.

Odskoczyła w bok, złapała jego wyciągnięte ramię i zablokowała je. Przycisnęła. Nadgarstek pękł z chrzęstem. Mężczyzna krzychał teraz z bólu, podobnie jak jego towarzysz.

Jan zrobiła krok do tyłu i popatrzyła na trzech potencjalnych

gwałcicieli. Pierwszy zwinął się w kłębek, drugi z siną twarzą stał na czworakach, kurczowo łapiąc oddech, trzeci nadal stał, przytrzymując swoją złamaną rękę i gapił się na nią z posępną wściekłością. Jan podniosła rękę i pokazała drzwi.

– Wynoście się! – krzyknęła.

Mężczyzna ze złamaną ręką nie zrobił żadnego ruchu ani nie próbował pomóc swoim towarzyszom. Nadal się na nią gapił. Wtedy Jan zauważyła kątem oka jakiś ruch. Obejrzała się. Jakaś kobieta – była pewna, że to jedna z tych, które widziała przy fontannie – zamierzała się na nią, trzymając oburącz dużą patelnię. Zapewne ukrywała się na zapleczu czekając, aż mężczyźni zadowolą się Jan.

Jan w ostatniej chwili się uchyliła, gdy kobieta rzuciła w nią patelnię, która musnęła zaledwie jej skroń, ale i tak przed oczami Jan pojawiły się wirujące mroczki. Mimo oszołomienia zareagowała szybko. Zanim kobieta się zorientowała, Jan skoczyła i uderzyła ją w nos. Kobieta zatoczyła się i, ku przerażeniu Jan, upadła na nieprzytomnego Robina. Robin poruszył się i jęknął. W tej samej chwili mężczyzna ze złamanym ramieniem zdrową ręką podniósł swój upuszczony nóż. Jan rzuciła się na leżącą kobietę, chwyciła ciężką patelnię, odwróciła się i w ostatniej chwili odbiła pchnięcie mężczyzny. Ostrze uderzyło w dno patelni. Mężczyzna przesunął się w lewo, chcąc zmylić Jan, i kiedy szykował się do skoku, by z zaskoczenia uderzyć ją w brzuch, Jan cisnęła mu patelnię w twarz. Uderzenie odrzuciło go na ladę. Z nosa i potylicy trysnęła mu krew. Jan skoczyła i złamała mu drugą rękę. Oparła się o ladę, oddychając z trudem.

– Jeśli to jest przykład minerviańskiej gościnności, mam nadzieję, że nie zostaniemy potraktowani w ten sam sposób –

odezwał się za nią męski głos.

Jan podniosła głowę i odwróciła się. W drzwiach sklepu tłoczyli się ludzie. Jan zeszywniała. Przed nią stał młody mężczyzna, syn księcia, którego nazywała w myślach Czarnym Księciem. Za nim jego obrzydliwa jednooka siostra. Gapiła się na Robina. Dalej z obojętnym wyrazem twarzy stało pięciu żołnierzy.

Jan popatrzyła na księcia i powiedziała: – Napadli na mnie. Chcieli mnie zgwałcić. Usiłowała się okryć podartą tuniką, ale na próżno. Zrezygnowała i pozwoliła im patrzeć.

– Mam nadzieję, że tylko mężczyźni – powiedział sucho książę i rozkazał swoim ludziom: – Pozbądźcie się tych szumowin.

Czterej żołnierze zaczęli podnosić i wyprowadzać na zewnątrz ludzi, którzy zaatakowali Jan. Piąty pozostał za księciem i księżniczką, patrząc na Jan. Księżniczka podeszła do Robina i przyjrzała mu się.

– On jeszcze żyje – powiedziała bezbarwnym tonem.

– Jeszcze – warknęła Jan. – Odejdź od niego. Zrobiłaś wystarczająco dużo.

Księżniczka odwróciła się i spojrzała na Jan.

– Wiesz, kochałam go. Bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę, którego kiedykolwiek znałam.

– Masz dziwny sposób okazywania uczuć – powiedziała gorzko Jan.

– Wykorzystywał mnie. Udawał, że mnie kocha. Przez cały czas naśmiewał się ze mnie. Wiedział, że nie chce ze mną zostać. Ani na *Władcy Mordredzie*. Zamierzał się przyłączyć do Władczyni Niebios, tej suki, Jan Dorvin. Twojej poprzedniej pani.

Jan milczała. Księżniczka podeszła bliżej, przyglądając się jej uważnie.

– Kim on dla ciebie jest, Minervianko?

– Kocham go.

– I, oczywiście, powiedział ci, że on także cię kocha. Jestem pewna, że zabrzmiało to bardzo poważnie, tak jak wtedy, kiedy mówił to do mnie. Kochał się z tobą? – Roześmiała się gorzko. – Dziewczyno, robiąc mu to, wyświadczyłam ci przysługę.

– Wybacz, ale nie będę ci dziękować.

Księżniczka uderzyła ją w twarz. Chociaż policzek zaczął ją parzyć i przed oczami jęły tańczyć światełka, nie był to mocny cios; raczej gest niż prawdziwe uderzenie.

– Taka bezczelność nie popłaca, szczególnie jeśli masz nadzieję dołączyć do nas tam, na górze.

– Na górze? – zapytała Jan zaskoczona.

– Nasz główny technik, Lamont, wstawił się za tobą u naszego ojca. Chce, żebyś była jego gospodynią. Przypuszczam, że za twoją zgodą? Jan zrozumiała teraz, o co chodzi, i powiedziała: – Tak... tak, to prawda. Ale tylko, kiedy Robin... kiedy Robin...

– Ojciec zamierza się przychylić do jego prośby; lubi Lamonta. Ale mój brat i ja mamy pewne wątpliwości i dlatego właśnie dzisiaj wieczorem zeszliśmy tutaj. A demonstracja twojej fizycznej siły, której właśnie byliśmy świadkami, dowodzi, że jesteś naprawdę niebezpieczna.

– Nie obawiaj się. Nie wymorduję was wszystkich w nocy.

– A więc, mówiąc bez ogródek – powiedział jej brat – nie ufamy ci. Jeśli ojciec wyrazi zgodę na prośbę Lamonta, ostrzegamy cię, że będziesz bardzo starannie obserwowana. Jeśli dasz nam najmniejszy powód do podejrzeń, znajdziemy sposób, żeby cię wysłać na tamten świat.

– Doceniam to ostrzeżenie – zaczęła Jan, ale przerwał jej jęk Robina.

Uklęła przy nim szybko. Oczy miał otwarte. Popatrzył jej w twarz. Jan zauważyła, że ją poznaje. Ucieszyła się z tego, ale widząc, że Robin chce wymówić jej imię, położyła mu delikatnie palce na ustach.

– ...Szszz... nie próbuj mówić. Oszczędzaj siły. Ale on próbował nadal.

– J... a... n.

Był to cichy szept i Jan miała nadzieję, że ani księżniczka, ani książę go nie usłyszeli.

– Ból... okropny ból... – Jego głos stawał się coraz silniejszy. – Co się ze mną stało?

– Nie pytaj – powiedziała Jan z rozpaczliwym uśmiechem. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy księżniczka podeszła bliżej.

– Nie pamiętasz, co z tobą zrobiłam? – zapytała zimno.

– Przestań – szepnęła Jan.

Robin zmarszczył brwi i przyglądał się księżniczce.

– Andrea... ty także jesteś tutaj? Jesteśmy na *Władcy Mordredzie*?

– Sterowiec *Władca Mordred* już nie istnieje; dzięki tobie – syknęła Andrea.

Robin najwyraźniej nie rozumiał. Spojrzał znowu na Jan.

– Jan... – powiedział ochryple. – Pierścień... gdzie jest pierścień, który ci dałem?

Podniosła rękę, tak, żeby mógł widzieć, iż nadal ma pierścień. Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Przez jakiś czas myślałam, że to może być coś więcej niż pierścień, ale nie.

Próbowałam, ale nic się nie stało. Robin, krzywiąc się, podniósł rękę.

– Jan... pierścień... daj...

Nagle Jan została szarpnięciem podniesiona do góry. Księżę przyglądał się jej uważnie.

– On nazwał cię Jan.

Z rezygnacją kiwnęła głową. Wiedziała, że słyszeli, jak Robin wymówił jej imię.

– Jan Dorvin. Sama Władczyni Niebios! – wykrzyknęła księżniczka Andrea.

– Cóż, to przekona ojca, chociaż biedny Lamont będzie rozczarowany – powiedział księżę. Odwrócił się do swoich ludzi.

– Zwiążcie ją. Ona idzie z nami. Dwóch żołnierzy szybko odciągnęło Jan. Krzyknęła.

– Poczekajcie! Co z Robinem? Nie możecie go tu zostawić samego. On umrze!

– Jeśli chcesz, specjalnie dla ciebie poderżnę mu gardło – powiedział księżę wyciągając miecz.

– Nie... nie... Nie rób tego. Uśmiechnął się i schował miecz.

– Tak, pozwólmy tej świni umierać powoli. Chodźcie.

Księżę spojrzał na nich zaskoczony, gdy weszli do sklepu, w którym miał jednocześnie swoją bazę i mieszkanie. Póллеżał na stercie jedwabiu ze spadochronów. Obok niego coś bulgotało w garnku, zawieszonym nad małym ogniem. Widząc, że Jan jest półnaga, podniósł brew i zwrócił się do syna i córki: – O, kochani, jakież to kawał jej zrobiliście?

Księżę Darcy powiedział ojcu, kim Jan naprawdę jest. Księżę wstał ze swojego legowiska i popatrzył na nią z wielkim zdziwieniem.

– No, cóż... Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem, miałem pewne podejrzenia, ale wydawało mi się to tak nieprawdopodobne... Myślałem, że Władczyni Niebios jest kimś więcej, na przykład królową.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – zapytała księżniczka. Książę westchnął.

– Zabić ją, oczywiście. Chociaż to wydaje się marnowaniem takiej piękności. A Lamont będzie bardzo rozczarowany. – Uśmiechnął się do niej ponuro. – Wiedziałaś, że już miałem się zgodzić na jego prośbę? Jaka szkoda.

Próbując robić dobrą minę, Jan powiedziała szorstko: – Jeśli zamierzasz mnie zabić, to pośpieszcie się i skończcie z tym.

– Ale w jaki sposób ją zabijemy, ojcze? – zapytał książę.

– Myślę, że biorąc pod uwagę okoliczności, odpowiednią śmiercią będzie ścięcie głowy – odpowiedział książę, gładząc brodę.

– To za szybko – wtrąciła się księżniczka.

– A co proponujesz, mój kotku? – zapytał surowo książę. – Zagrzebać ją po szyję w mrowisku? Nabić ją na rożen i podsmażyć powoli na wolnym ogniu? Wiesz, że nie jesteśmy barbarzyńcami. Jako nasz wielki przeciwnik zasługuje ona na honorową śmierć.

– Na moje szczęście – powiedziała Jan. Księżniczka popatrzyła na nią i powiedziała: – W porządku, obetniemy jej głowę, ale nadal uważam, że to zbyt łagodna śmierć.

– Masz tyle samo współczucia dla ludzi, co twoja matka, kochanie – powiedział książę. Po chwili dodał, zwracając się do Jan: – A więc, tak właśnie będzie. Wielka szkoda, kochanie, ale muszę być posłuszny naszym tradycjom. – Popatrzył na jej obnażone piersi i rzekł: – Gdyby los nie uczynił nas wrogami, z przyjemnością poznałbym cię lepiej.

– Jestem tego pewna – powiedziała Jan.

– No, cóż... Zabierz ją stąd i wykonaj ten nieszczęsny wyrok. I dopilnuj, żeby siekiera była ostra.



Jan poczuła, że kolana zaczynają się pod nią uginać. Wyprowadzano ją na zewnątrz. Opuściły ją resztki odwagi. Nie mogła sobie wyobrazić, że odrąbią jej głowę. Nie wyobrażała sobie swojej własnej egzekucji, ale było to doświadczenie, którego chętnie by się wyrzekła. Jakie to uczucie? Jak długo to będzie trwało? Co będzie, jeśli pozostanie świadoma, nawet przez krótką chwilę po tym, gdy jej głowa zostanie odłączona od ciała? Poczuła, że robi jej się słabo.

Na zewnątrz spotkali Lamonta, spojrział zaskoczony na Jan, a potem na jego twarzy odbił się niepokój. Jan przez chwilę poczuła nikłą nadzieję, ale zaraz zrozumiała, że on nie będzie jej w stanie pomóc.

– Co się dzieje? – zapytał, zastępując drogę prowadzącym ją żołnierzom.

– Zejdź z drogi, panie. Zabieramy tę kobietę na zewnątrz, żeby wykonać egzekucję.

Rozkaz księcia.

– Egzekucję? Ale dlaczego? Nie rozumiem... co ona zrobiła? – krzyknął Lamont.

– Twoja przyjaciółka – powiedział Darcy, który wraz z siostrą wyszedł za nimi – to nikt inny, jak Jan Dorvin, sama Władczyni Niebios. Lamont był wstrząśnięty.

– Czy to prawda? – zapytał Jan.

– Tak. Przykro mi, Lamont... Ja nie... – urwała.

Na zewnątrz budynku było słycać strzały.

Minęła długa chwila, zanim zareagowali. Darcy krzyknął: – Do głównego wyjścia, szybko!

Pięciu żołnierzy popędziło chodnikiem do wyjścia.

– Co się dzieje? – zapytał książę du Lucent, wychodząc ze swojego sklepu i zapinając pas z mieczem. Kuszę Jan miał

przewieszoną przez ramię.

– Oczywiście atak – wysapał jego syn. – A sądząc po odgłosach, sprawa jest poważna.

– Lepiej wyjdźmy i zobaczmy – powiedział niechętnie książę. Popatrzył na Jan. – Co z nią?

– Przypilnuję jej – zaproponował Lamont.

– Nie, ja jej przypilnuję – powiedziała księżniczka Andrea. Wyciągnęła miecz i uśmiechnęła się do Jan.

Jedyną rzeczą, jakiej El Rashad bał się w swoim życiu, był Allach. Aż do tej chwili. Teraz bał się Allacha i monstrum, które go ścigało. Monstrum pożarło ponad dwie trzecie jego armii i teraz było tuż za nim, miażdżąc jego ludzi, kiedy próbowali uciekać. To było dzieło Szatana i El Rashad wiedział, że jest już blisko.

Nareszcie, po koszmarnej wędrówce pod górę przez zarażoną dolinę, znaleźli się na czystym, płaskim terenie. Ale to coś ich goniło. El Rashad zobaczył kilku ludzi, stojących przed wejściem do budowli, zobaczył smugi dymu z ich karabinów, słyszał świst kul, słyszał huk wystrzałów... i nie wahał się nawet przez ułamek sekundy. To zagrożenie było niczym w porównaniu ze ścigającym ich potworem.

– Do ataku! – krzyknął.

Nie potrzebował ich ponaglać. Byli tak samo przerażeni jak on. Walka wręcz z ludzkim przeciwnikiem będzie przyjemnością.

Ubrani na czarno żołnierze ruszyli wrzeszczącą falą na stary parking samochodowy. Kilku z nich, trafionych kulami upadło, ale fala potoczyła się dalej. Ludzie księcia zaczęli się cofać, nadal strzelając. Wreszcie, widząc, że sytuacja jest beznadziejna, rzucili się do ucieczki.

W poprzek wejścia wzniesiono prowizoryczną barykadę i

ludzie księcia schronili się za nią. Dołączyły do nich posiłki z wnętrza budynku. Ludzie El Rashada, krzycząc, wpadli do tunelu...

Gdy książę i Darcy pobiegli do wejścia, stanęli jak wryci na widok tego, co zostało z ich niewielkich sił, wypieranych przez walczących mieczami żołnierzy w czerni.

– Ludzie El Rashada – powiedział książę i serce w nim zamarło.

– To ten przeklęty szybowiec, który leciał za nami – jęknął książę Darcy. – Musieli wrócić po rozkazy...

Wtedy książę zobaczył samego El Rashada – natychmiast rozpoznał znajomy profil o jastrzębim nosie. Gdy El Rashad odwrócił się w jego stronę, książę spostrzegł w jego twarzy coś, czego nie widział nigdy przedtem – była zeszywniała ze strachu.

El Rashad obejrzał się przez ramię, po czym rzucił się w kierunku księcia i jego syna. Miecz El Rashada i jego tunika były poplamione krwią. Książę chwycił kuszę; Darcy wyciągnął swój miecz...

– Poczekaj! – krzyknął El Rashad. – Wstrzymaj się! Musimy przestać walczyć między sobą; w pobliżu znajduje się większe niebezpieczeństwo. Teraz musimy się zjednoczyć do walki!

– Co to za sztuczka? – mruknął Darcy, ale książę zobaczył takie samo przerażenie na twarzach ludzi El Rashada.

– Opuścić broń! – krzyknął do swoich żołnierzy. Usłuchali, patrząc na niego ze zdziwieniem i niepokojem.

– Ściga nas Ręka Szatana! – krzyknął El Rashad. – Musimy ją w jakiś sposób zniszczyć. Rozpalić ognisko, które by ją zniszczyło...!

Księżciu wydawało się, że El Rashad zupełnie zwariował, chociaż nie wątpił, że to, co mówi o jakimś niebezpiecznym stworze, który znajduje się tam, na zewnątrz, jest prawdą. Ale

nazywając go Ręką Szatana, posuwał się zdecydowanie za daleko. Przesądny głupiec, pomyślał książę. Był to prawdopodobnie jeden z olbrzymich gadów, które Darcy zauważył na niebie.

– Uspokój się – powiedział do El Rashada. – Mamy wystarczająco dużo broni, żeby sobie poradzić z bestią. Ale twój pomysł z ogniem jest dobry. Ułożymy przy wejściu stos ze wszystkich łatwopalnych rzeczy, jakie znajdziemy i być może bestia zawróci na sam widok płomieni. Jak daleko znajduje się ten potwór...?

Odpowiedź na to pytanie otrzymał natychmiast. Człowiek El Rashada z ogromną siłą został wyrzucony z otworu wejściowego. Krzycząc, przeleciał ponad głowami ludzi i upadł na chodnik. Jednocześnie ludzie El Rashada zaczęli uciekać jak najdalej od wejścia. W rezultacie powstała plątanina szamoczących się ciał. Z tunelu dał się słyszeć trzask miażdżonej barykady i sapanie. Książę poczuł, że podłoga zaczyna drżeć.

Nagle z paszczy tunelu wynurzył się potwór.

– Jezu Chryste – szepnął książę. – To jest ręka.

Ogarnął go zwierzęcy strach. Odwrócił się i zaczął biec, upuszczając po drodze kuszę. Książę Darcy był już przed nim. El Rashad biegł zaraz za nimi.

Na górze zrobiło się cicho. Jan miała nadzieję, że atakujący, kimkolwiek są, pokonali księcia i jego ludzi. Jeśli tak, nie znaczyło to wcale, że jej szansę na przeżycie są teraz większe, ale w każdym razie uniknęłyby natychmiastowej egzekucji.

– Co tam się dzieje? – mruknęła do siebie księżniczka Andrea.

Stała tuż za Jan, wbijając koniec miecza w jej żebra.

Lamont, stojący przy balkonie i najwyraźniej ponury, po prostu wzruszył ramionami. Nie powiedział ani słowa od chwili,

gdy wyszli księżę du Lucent i księżę Darcy. Jan przez cały czas bawiła się bezmyślnie pierścieniem Robina, wciskając i wyciskając kamień. Zastanawiała się znowu, dlaczego Robin tak bardzo się nim interesuje. Wyciągnął po niego rękę, najwyraźniej chciał go wziąć. Dlaczego? Przecież pierścień nic nie działał. Nie dla niej.

Tak, nie dla niej!

Na tę myśl aż drgnęła. Księżniczka mocniej dźgnęła ją mieczem.

– Ostrożnie! – warknęła Jan.

Cały czas z niepokojem nasłuchiwała odgłosów bitwy.

Strzały, krzyki... potem nie było już strzałów, tylko krzyki.

Jan zmarszczyła brwi. To nie były krzyki bólu, to były krzyki strachu. Usłyszała tupot stóp, biegnących po chodniku nad nimi. Wyczuła nieuwagę Andrei, odwróciła się i chwyciła ją mocno za nadgarstek. Z radością usłyszała jęk księżniczki i brzęk upadającego na podłogę miecza. Kiedy podbiegł do nich Lamont, popchnęła księżniczkę na niego. Oboje upadli.

Jan rzuciła się do ucieczki. Jeśli ma rację, znajdą z Robinem sposób, żeby uciec z tego ponurego miejsca.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tyra leżała skulona i płakała. Milo popatrzył na nią ubierając się. Poczł wyrzuty sumienia. Nie powinien był tracić równowagi... nie powinien być tak niecierpliwy. To była wina jego cholernego ciała, z jego niedojrzałym pożądaniem seksualnym, bez możliwości osiągnięcia zaspokożenia. Im wcześniej osiągnie dojrzałość, tym lepiej. Najwyraźniej brakowało mu teraz tylko paru tygodni.

Wyszedł zamyślony na korytarz i o mało nie wpadł na mechanicznego pająka.

– Jesteś odrażającym typem, Milo – powiedział pająk rozbawionym głosem Ashley. – Coś ty zrobił tej biednej dziewczynie?

– Jak zwykle mnie szpiegujesz – odparł Milo.

– A co innego mam robić?

– Cóż, to ty wyrzuciłaś naszych pasażerów, a nie ja. – Poszedł szybko korytarzem w dół. Pająk pobiegł za nim.

– Dokąd idziesz? – zapytała Ashley. Milo zawahał się chwilę.

– Na górę – powiedział w końcu. – Chcę jeszcze raz popatrzeć na tę latającą maszynę.

– Zawsze się tym bawisz – powiedziała nadąsanym głosem Ashley. – Ale to beznadziejne. Nigdy jej nie uruchomisz.

– Wiem... wiem, ale tak czy owak, fascynuje mnie.

I żyję tą nadzieją – dodał w myślach.

Na górze było gorąco i wiał silny, ciepły wiatr, choć Ashley, tak jak ją prosił, zmniejszyła prędkość. Ściskając linę asekuracyjną,

Milo wspiał się do latającej maszyny. Wzdłuż jej boku leżał bezużyteczny kabel zasilający, który pająki położyły zgodnie ze wskazówkami Robina.

– Gdzie jesteście? – zapytał Milo pająka, który, co go niepokoiło, nadal szedł za nim.

– Nie wiem. Zapytam Carla... mówi, że to stan Tehuantepec. Przed rozpadem był częścią Meksyku, jeśli cię to interesuje.

– Jestem zafascynowany – odpowiedział, rozglądając się.

Reszta floty podążała za Aniołem Niebios, z wyjątkiem sterowca *Władca Montcalm*. Ashley, która go kontrolowała, postanowiła się odłączyć.

Luk latającej maszyny był częściowo otwarty. Pająk, sterowany przez Carla, zdołał go otworzyć, ale nie był w stanie uruchomić samej maszyny. Albo tak mówił, gdyż Milo podejrzewał, że Ashley sprzeciwia się nawet tym próbom.

Milo wszedł do maszyny i zasiadł w wygodnym fotelu. Przyglądał się tęsknie ciemnej konsoli i pustym ekranom. Wyczuwał ogromną moc tej maszyny; moc, która była uśpiona i której on nie był w stanie obudzić. Westchnął i zaczął kolejno naciskać guziki na konsoli...

– Tracisz czas – powiedziała Ashley poprzez pająka, który usadowił się w wejściu do maszyny.

Milo usiłował ją ignorować. Przez z górą kwadrans siedział tam, bawiąc się konsolą w nadziei, że może w końcu uda mu się wymyślić prawidłową kombinację, która uruchomiłaby maszynę. Ale nic się nie stało.

– To bez sensu – powiedział w końcu pająk. – Idziemy.

Niechętnie wyszedł za mechanicznym pająkiem przez podwójny luk. Kiedyś znajdzie sposób, żeby ożywić maszynę. Ale najpierw będzie musiał przechytrzyć Ashley...

Robin wyglądał, jakby był martwy.

Z trudem łapiąc oddech, Jan uklękła przy nim i dotknęła jego szyi. Poczowała puls i znów nabrała nadziei.

– Moje biedne kochanie – powiedział dysząc ciężko. – Nadal możemy z tego wyjść. – Zdjęła pierścień i wsunęła go na środkowy palec lewej ręki Robina. Odmawiając szybko modlitwę do Bogini Matki, nacisnęła kamień. I przytrzymała. To musiało być tak.

Pierścień musiał być w bezpośrednim kontakcie z Robinem po to, żeby mechanizm zadziałał. Być może rozpoznawał go odczytując jego kod genetyczny. Kiedy Jan próbowała naciskać pierścień na swoim palcu, „odczytywał” jej kod i, nie rozpoznając w niej Robina, odmawiał działania. Jan miała nadzieję, że właśnie o to chodzi...

Milo sprawdzał druty, przytrzymujące maszynę na kadłubie, gdy nagle usłyszał buczenie. To maszyna! Coś się z nią działo! Musiał przez przypadek odkryć właściwą kombinację na konsoli. Podbiegł z powrotem do luku. Tak! Zobaczył, że konsola się świeci. Chciał wejść do środka, ale mechaniczny pajak złapał go za koszulę i odciągnął do tyłu.

– Nie wchodź tam! – krzyknęła przeraźliwie Ashley. – Nigdzie nie pójdziesz!

Milo wyrwał się, rozdzierając koszulę i skoczył. Pajak był ciężki, szarpnięcie wyrzuciło go w powietrze daleko od Mila.

– Głupia szalona suka! Rozwalę twój hardware na kawałki! – wrzasnął.

Zanim mechaniczny pajak zdołał wylądować z powrotem na kadłubie, był już z powrotem przy luku... W tej właśnie chwili zobaczył, że luk się zamyka.

– Nie! – krzyknął.



Buczenie dochodzące z maszyny stawało się coraz głośniejsze. Przytrzymujące ją druty zaczęły opadać z głośnym plaśnięciem.

– Nie! – krzyknął znowu Milo.

Opadający drut o mało go nie uderzył, kiedy maszyna uniosła się ponad kadłubem. Odchylił się do tyłu. Maszyna wznosiła się coraz szybciej. Milo zadarł głowę.

– Wróć... – krzyknął słabo.

Znalazłszy się na wysokości ponad dwustu stóp ponad kadłubem, maszyna ruszyła do przodu z ogromną prędkością. Po trzydziestu sekundach zniknęła z pola widzenia.

Milo gapił się na malejący punkcik na niebie. Miał nieprzyjemną świadomość, że za nim stoi w ciszy mechaniczny pajak. Wydawało mu się, że słyszy nie wypowiedziane słowa Ashley: – Będiesz ż-a-ł-o-w-a-ć...

– Jakież to wzruszające... ostatnie pożegnanie.

Jan obejrzała się. To była księżniczka, rozczochrana i z trudem łapiąca oddech po niezwykłym dla niej wysiłku, jakim było bieganie. Oparła się o słup. Znowu miała miecz. Lamont, też zasapany, stanął za nią.

Księżniczka chwiejnie weszła do sklepu. Podniosła miecz. Jan puściła rękę Robina i stanęła twarzą do niej. Czy naciskała pierścień wystarczająco długo? Może latająca maszyna jest zbyt daleko, żeby odebrać sygnał, wysyłany przez pierścień. A może ona niepotrzebnie się łudziła i pierścień jest tylko zwykłym pierścieniem.

– Księżniczko... nie rób tego! – krzyknął Lamont, wchodząc za Andream do sklepu.

Odwróciła się do niego.

– Mój ojciec skazał ją na śmierć i zamierzam dopilnować, by wyrok został wykonany. Teraz. A ty mi pomożesz albo podzielisz

jej los.

– Pomóc ci...?

– Przytrzymaj ją. Dla mnie jest za silna. Złap ją i trzymaj, póki jej nie zabiję.

Lamont spojrzał bezradnie na Jan.

– Zrób to Lamont! To królewski rozkaz! – krzyknęła księżniczka. Jan powiedziała spokojnie: – Lamont, już nie musisz być sługą ani jej, ani jej ojca. Nie są już teraz rodziną królewską, są po prostu żałosnymi uciekinierami, tak jak i cała reszta. Ich świat przeminął. Przeminęło nawet to małe królestwo, które tutaj założyli. Popatrz...

Wskazała na ogromną budowlę. Ludzie uciekali na dół; najwięcej było ubranych na czarno żołnierzy El Rashada, ale między nimi znajdowało się sporo ludzi księcia. Wszyscy byli panicznie przerażeni.

Wtedy Jan zobaczyła przyczynę ich przerażenia. W pierwszej chwili myślała, że to ogromny pająk...

– O Maryjo, Matko Boska! – wysapała księżniczka.

– To ludzka ręka! – powiedział z niedowierzaniem Lamont. – Ale to nie może być ludzka ręka! To niemożliwe!

Kiedy ręka dogoniła i zgmiotła dwóch uciekających mężczyzn, Jan przypomniała sobie opowieści Mila o tym, co bogacze rządzący Korporacjami Genetycznymi, przywozili do swoich prywatnych posiadłości; potwory, które tworzyli dla własnej rozrywki. Były to między innymi ogromne gady. Spotkała już na zarażonych terenach wiele potworów stworzonych przez człowieka, ale żaden z nich nie był tak monstrualny jak ten...

Ryn znowu zdryfował do królestwa świadomości, z powrotem do sfery bólu, gorączki i choroby. Poczł straszliwe pragnienie. Otworzył oczy i spróbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć

z siebie głosu. Spróbował znowu.

– Jan...

Poczuł ulgę, gdy Jan przykucnęła przy nim. Z zaskoczeniem zobaczył obok Andreę. I jakiegoś mężczyznę. Siedzieli za ladą. Wszyscy wyglądali na ciężko przerażonych. Z Andreą stało się coś, o czym próbował zapomnieć... ale to powróciło. Co ona mu zrobiła? Jęknął.

– Szszsz... – powiedziała Jan, kładąc mu swoją zimną dłoń na rozpalonym czole. – Bądź cicho.

– Woda... chcę pić... – powiedział.

– Przykro mi, kochanie. Nie mamy wody.

Czy ona nie rozumie? On musi mieć wodę. Umierał z pragnienia. Umierał. Tak, umierał. Wiedział o tym. Ale też nie chciał żyć; nie po tym, co zrobiła mu Andrea. Boże, wszystko poszło tak źle, ale jak to się stało? Miał właśnie *Maskotkę* uciec z Jan, kiedy... kiedy co? I jak zamierzał wezwać *Maskotkę*? Odpowiedź była bardzo blisko.

Coś z pierścieniem. Spróbował się skupić, ale nie mógł...

Usłyszał krzyki. Ktoś gdzieś w pobliżu krzyczał. Chyba mężczyzna. Robin zastanawiał się, co to za miejsce. Nagle pomyślał, że może jest już martwy i znajduje się w piekle. Ale nie, to nie mogło być piekło, ponieważ była z nim Jan. W piekle nie byłoby mu tak wygodnie.

– Jan... – powiedział, po czym znów zemdlał.

Księżę obserwował bestię zza niskiego muru. Potwór najwyraźniej wachał powietrze... ale za pomocą swojego palca wskazującego. Szukał zdobyczy, którą zgubił.

Potem nagle ruszył do przodu i zniknął przed wejściem do sklepu około pięćdziesiąt jardów od księcia. Z wnętrza rozległy się krzyki. Księżę spojrział na El Rashada, który schronił się obok

niego za ścianą. El Rashad miał zamknięte oczy i powtarzał w kółko tę samą modlitwę. Powtarzało się w niej imię Allacha. Księżę także mruczał coś w rodzaju modlitwy. Nie widział wyjścia z tej sytuacji. Byli w pułapce. Prędzej czy później potwór – czymkolwiek był – znajdzie ich, zabije, a potem bez pośpiechu pożre ich ciała.

– Idzie tutaj – jęknęła księżniczka.

Jan wstrzymała oddech, gdy bestia zatrzymała się przed jedną z fontann i odwróciła w ich kierunku z podniesionym palcem, który wskazywał prosto na nich. Przeszedł ją zimny dreszcz. Cały czas wmawiała sobie, że to tylko stworzone przez człowieka paskudztwo, ale ogromna ręka mimo to wywoływała w niej uczucie nadprzyrodzonego lęku.

Ręka odwróciła się gwałtownie, i zaczęła się od nich oddalać.

Jan odetchnęła.

– Ja tutaj nie zostanę – powiedziała księżniczka, kiedy potwór zniknął w innym sklepie. – Pobiegnę chodnikiem z powrotem na górę.

– Nie zdążysz tego zrobić – przytrzymał ją Lamont. – Zanim się obejrzysz, to coś cię połknie.

Ale księżniczka nie zwracała na niego uwagi. Wstała, powoli wyszła ze sklepu i puściła się biegiem. Jan patrzyła to na księżniczkę, to na sklep, do którego wszedł potwór. Nagle coś się stało. Coś wspaniałego.

Nad podłogą pojawił się cień. Jan spojrzała w górę. Coś zasłoniło światło, wpadające przez dziurę w dachu. Obiekt powoli się obniżał. Serce Jan zaczęło bić jeszcze szybciej. To była latająca maszyna Robina.

Księżniczka Andream zauważyła ją także. I rozpoznała. Zatrzymała się patrząc w górę.

– Latająca maszyna! – krzyknął Lamont.

Maszyna obróciła się i leciała w ich stronę. Jan słyszała głośnie buczenie. Zobaczyła, jak księżniczka, widząc, gdzie maszyna wylądaje, rzuca się z powrotem. I zobaczyła także, że ze sklepu wylazi przyciągnięta hałasem bestia.

– Nie wierzę w to. Maszyna zdrajcy tutaj! – wysapał książę.

– Ale co ona tutaj robi? – zapytał Darcy.

– To jasne, idioto. Przyleciała tutaj po niego! Chodź, musimy się do niej dostać – książę zerwał się i wybiegł ze sklepu.

Obejrzał się i zobaczył, że Darcy robi to samo. El Rashad pozostał skulony za murkiem.

Bestia zatrzymała się i zawahała, badając powietrze czubkiem wskazującego palca. Była najwyraźniej zaniepokojona hałasem, jaki robiła latająca maszyna. Książę miał nadzieję, że dostanie się do maszyny, zanim bestia go złapie. Poza tym, pomiędzy nim a bestią była Andrea...

Maszyna delikatnie opadła przed wejściem do sklepu. Zanim wylądowała, odwróciła się tak, że luki były po ich stronie. Teraz zaczynały się otwierać. Jan podeszła do Robina i spróbowała podnieść go za ramiona. Jęknął. Maszyna blokowała wejście i Jan nie miała pojęcia, jak daleko jest bestia. Była pewna, że będzie szła w ich kierunku. Popatrzyła rozpaczliwie na Lamonta.

– Proszę! – krzyknęła.

Natychmiast podbiegł do niej i podniósł Robina. Razem nieśli go do maszyny.

– Ryn? Ryn? Czy wszystko w porządku?

Z wnętrza maszyny wydobywał się głos. Kobięcy głos. Jan zmieszła się na chwilę, ale odpowiedziała szybko: – Robin jest ranny. Jest nieprzytomny.

Dotarli do boku maszyny. Kiedy Lamom podniósł Robina, Jan

wsunęła głowę i ramiona do wnętrza i zobaczyła, że statek jest pusty. Zrozumiała, że to jeszcze jeden komputer. Miała nadzieję, że ten komputer o kobiecym głosie jest rozsądniejszy niż Ashley.

– Robin potrzebuje natychmiastowej opieki medycznej – powiedziała. Musisz z nim lecieć do domu tak szybko, jak możesz.

– Oczywiście. Wnieście go. Nawiasem mówiąc, ma na imię Ryn, a nie Robin.

– Biegnij, Andreo, biegnij! – krzyknął książę Darcy.

Książę du Lucent rozejrzał się dookoła. Bestia była już bardzo blisko jego córki. Andrea, widząc grożące jej niebezpieczeństwo, wykonała gwałtowny zwrot. Dobrze, pomyślał. Teraz już nie biegła w kierunku maszyny. Ale Darcy także zmienił kierunek, krzycząc i machając ramieniem. Wielki Boże, pomyślał książę. Darcy usiłuje odciągnąć potwora od swojej siostry! Spośród wszystkich ludzi, po swoim synu najmniej się spodziewał takiego poświęcenia. Jakże mało wiemy o swoich dzieciach, dumął, koncentrując się na tym, żeby biec jeszcze szybciej.

Kłęcząc na fotelu, Jan wciągnęła Robina za ramiona. Lamont jej pomógł. Potem z trudem ułożyła Robina w pozycji pólężącej. W małej, jednoosobowej kabinie maszyny było bardzo ciasno. Robin mamrotał coś nieprzytomnie i Jan zobaczyła, że z bandaża na ranie pomiędzy jego nogami sączy się krew. Usłyszała z zewnątrz krzyk. Podniosła głowę i zobaczyła w luku twarz księcia. Próbował się wspiąć, ale Lamont go odciągał.

– Pozwól mi wejść, człowieku! Muszę się tam dostać! – krzyczał książę.

– Ależ, panie, nie możesz, tam nie ma miejsca!

– Będzie, durniu! Kiedy tylko wywlokę stamtąd tę parkę! Jan powiedziała szybko: – Maszyno, zamknij luk!

Kobięcy głos odpowiedział chłodno: – Zrobię to, jeśli stąd wyjdiesz. Nie mogę cię zabrać do Shangri La. To nie jest dozwolone.

Ta odpowiedź nie była zaskoczeniem dla Jan. W głębi duszy przypuszczała, że tak będzie. Spojrzała na luk. Nie widziała teraz ani księcia, ani Lamonta. Dotarły do niej odgłosy gwałtownej bójki. Westchnęła. Jeśli jest szansa na ocalenie Robina, ona nie ma wyboru, musi wyjść. Klótnia z tym cholernym komputerem zabrałaby tylko cenny czas, a jego szansę na przeżycie są i tak niewielkie. Przygotowała się na to, że będzie musiała wyjść...

Krzyk i machanie ręką w końcu poskutkowały. Bestia stanęła; Andrea miała czas, żeby schować się za słupem, do którego biegła. Gdyby bestia się nie zatrzymała, w tej chwili księżniczka już by nie żyła. Ręka odwróciła się w kierunku księcia Darcy, po czym najwyraźniej postanawiając zaatakować najpierw najbliższą ofiarę, skierowała się znowu w stronę słupa, za którym kryła się Andrea. Przyciskając swój ogromny nadgarstek do podłogi, wyciągnęła palce. Wszystkie pięć palców zacisnęła na słupie i skruszyła go. Darcy słyszał krzyk siostry, który zatonął w huku walących się kawałków muru, gdy rozpadło się kilka balkonów. Zanim chmura kurzu przesłoniła widok, księżę Darcy zobaczył, jak bestia przewraca się pod ciężarem dużych bloków starego kamiennego muru. Wykrzykując imię Andrei i wyciągając miecz, runął w chmurę pyłu.

Miał nadzieję, że betonowy gruz zabił potwora, ale bestia, chociaż była unieruchomiona, szarpała się z wściekłością. Wkrótce znowu się uwolni. Nie widział Andrei. Podszedł do wijącego się monstrum i poczuł, że bestia okropnie śmierdzi. Siłą woli zmusił się do podejścia na tyle blisko, żeby móc zatopić miecz w boku małego palca – który był rozmiarów pnia drzewa.

Ostrze przecięło zaledwie na kilka cali grubą, szarą skórę. Nie, nie było nadziei na zabicie potwora. Wykrzykując imię Andrei, Darcy zaczął szaleńczo przeszukiwać gruzy. Nagle zobaczył zagrzebaną w rumowisku siostrę.

Schował miecz do pochwy i wyciągnął do niej pokryte kurzem zdrowe ramię. Jęknęła. Wyciągnął ją z rumowiska, podniósł.

– Andrea! – krzyknął, usiłując ją podtrzymać. – Ocknij się! Musimy się stąd wydostać! Andrea...!

Słyszał, jak za nim bestia szarpie się coraz gwałtowniej. Teraz na pewno nie potrwa to długo.

Jan miała właśnie wyskoczyć na zewnątrz, ale się zawahała. Książę i Lamont walczyli nadal. Lamont leżał na ziemi, książę stał nad nim, nieubłagane zbliżając miecz do jego gardła. Lamont nie miał już siły i Jan wiedziała, że wkrótce zginie, jeśli ona mu nie pomoże. Ale kiedy miała to zrobić, usłyszała za sobą słaby jęk.

– Jan...

Wróciła do kabiny. Robin znowu odzyskał przytomność.

– Jan... sprowadziłaś *Maskotkę* – powiedział z niedowierzaniem w głosie.

– Jeśli tak nazywasz tę maszynę, to tak, z twoją pomocą, ale muszę odejść. Nie zabierze cię w bezpieczne miejsce, jeśli zostanę.

– Nie!... – krzyknął i skrzywił się.

Zamknął oczy i Jan myślała, że znowu stracił przytomność, ale wtedy podniósł powieki i powiedział stanowczo: – Maskotko, czy mnie słyszysz?

– Tak, Ryn. Naprawdę musimy ruszać. Według moich czujników mamy przed sobą daleką podróż. Ty jesteś bardzo chory.



– Maskotko, od kiedy zmieniłem twój program, musisz słuchać każdego mojego rozkazu, tak?

– Tak, Ryn.

– Więc rozkazuję ci wykonywać także wszystkie rozkazy tej kobiety. Utrwal jej głos... – przerwał. – Jan, powiedz coś *Maskotce*.

– Hmm, witaj, Maskotko... Mam na imię Jan.

– Imię i głos zostały utrwalone – powiedział energicznym głosem komputer. – Ryn, oni nie będą zadowoleni, jeśli zabierzesz ją do Shangri La.

Robin nie odpowiedział. Jan zauważyła, że tym razem naprawdę stracił przytomność.

– Maskotko! – krzyknęła, kuląc się w kabinie. – Zamknij luki, rozkazuję ci.

– Tak jest – powiedziała *Maskotka*, zamykając jednocześnie luki.

Jan przesunęła Robina najdalej jak mogła na jedną stronę fotela i skuliła się obok niego. Fotel był niewygodnie wąski i musiała leżeć na boku...

– Pokaż mi, co się dzieje na zewnątrz.

Ekrany monitora zamigotały. Jeden z nich pokazał księcia i Lamonta. Lamont leżał na ziemi. Pierś miał zbroczoną krwią. Jan była pewna, że już nie żyje. Księżę wstawał. Odwrócił się i, widząc, że luk został już zamknięty, rzucił się naprzód, wykrzykując przekleństwa. Pogroził jej, po czym zniknął z pola widzenia. Jan usłyszała niewyraźne dudnienie. Na pewno walił pięściami w luki.

– Podnieś nas do góry i zatrzymaj się.

Kiedy maszyna się wznosiła, Jan wpatrywała się uważnie w inne monitory. Na jednym z nich zobaczyła bestię. Szła w

kierunku dwojga ludzi, w których rozpoznała księcia i księżniczkę. Księżę podtrzymywał księżniczkę. Bestia jeden ze swoich palców, ten środkowy, trzymała wyprostowany sztywno do góry. Najwyraźniej był zraniony. Poruszała się teraz ciężko, ale mimo to i tak złapie za chwilę powoli idącą parę.

Przez chwilę Jan patrzyła w ekran, po czym powiedziała: – Czy masz także broń?

– Tak.

– Więc, proszę, zniszcz tego potwora tam, na dole.

– Którego? Widzę trzy.

– Największego z tych trzech.

– Tak jest.

Nos *Maskotki* obrócił się i pochylił. Jan poczuła delikatną wibrację i zobaczyła na ekranie, że coś uderzyło bestię, pozostawiając chmurę pary. Bestia zatrzęsła się i zatrzymała. Podniosła pytająco wskazujący palec, jakby bała się zobaczyć, co ją uderzyło. Potem rozpadła się, rozrzucając po podłodze dużego starego sklepu kawały dymiącego mięsa.

Podmuch gorącego powietrza przewrócił księcia i księżniczkę. Nie patrząc na nich, Jan rozkazała *Maskotce* unieść się poprzez dziurę w dachu. Patrzyła, jak budynek zmniejsza się pod nimi. Nie obchodziło ją teraz, co się stanie z księciem, jego okropnymi dziećmi i innymi ludźmi, którzy przeżyli. Powiedziała do *Maskotki*: – Zabierz nas do Shangri La.

## EPILOG

Milo obudził się z niezwykle wstrętnym kacem. Głowa mu pulsowała i miał dziwny smak w ustach. Był zaskoczony. Ostatniego wieczora nie pił dużo wina. Jęknął i wyciągnął rękę do Tyry. Przynajmniej ona poprawi na jakiś czas jego samopoczucie.

Jego ręka natrafiła na pustkę. Otworzył zaspane oczy i zobaczył, że jest sam w łóżku. Usiadł zaniepokojony. Nie było śladu Tyry. A przecież wiedziała, że musi prosić go o zgodę na opuszczenie pokoju.

– Tyra! Gdzie jesteś? – wrzasnął.

Znowu będzie ją musiał ukarać. Na tę myśl natychmiast się rozpogodził.

Wyszedł z łóżka i stanął, trzymając się za głowę i czekając, aż minie niepokojące pulsowanie.

– Tyra! – zawołał jeszcze raz z wściekłością.

Żadnej odpowiedzi. Poszedł do łazienki i gwałtownie otworzył drzwi. Tam też było pusto. Podobnie jak w kuchni i w salonie. Ta suka ośmieliła się opuścić mieszkanie! Za to spierze ją na kwaśne jabłko!

Poszedł w kierunku głównych drzwi i stanął jak wryty. Opadła mu szczeka. Normalne drzwi z lekkiego plastyku zniknęły. Na ich miejscu znajdowały się drzwi zrobione z metalu. Nie miały klamki.

Milo podszedł i pchnął je. Ani drgnęły. Wyglądały na bardzo solidne.

– Ashley! – krzyknął. – Co tu się do diabła dzieje?

Ashley nie odezwała się. Wykrzykiwał imiona jej i Carla, ale nie było odpowiedzi. Zaczął kopać metalowe drzwi i walić w nie pięściami.

Znieruchomiał zaskoczony, gdy drzwi nagle się uchyliły. Przez szparę uśmiechnęła się do niego łagodna twarz minerviańskiego mężczyzny, Shana. Był jednym z niewielu ludzi, którym pozwolono zostać na Aniele Niebios.

– To się na nic nie zda – powiedział do Milo. – Ona ci nie pozwoli wyjść.

– O czym ty mówisz? Co się dzieje? – zapytał Milo.

– Zostałeś ukarany – powiedział Shan. – Ashley już cię nie lubi. Po tym, jak groziłeś, że ją zniszczysz. Zostaniesz tutaj. Tylko ja będę się mógł z tobą kontaktować. Usunęła wszystkie wzrokowe i słuchowe połączenia z twoim mieszkaniem. Jesteś odcięty od niej i od Carla. Przyniosę ci pożywienie, kiedy będzie dostawa do twojej kuchni.

– O Boże! – pomyślał Milo.

Powinien był się spodziewać czegoś takiego. Ale przynajmniej go nie zabiła ani nie zrzuciła na Ziemię. Boże, ta głupia, szalona, elektroniczna krowa! Wczoraj wieczorem musiała kazać Shanowi zatruć jego wino i kiedy był nieprzytomny, zamieniła drzwi.

– Gdzie jest dziewczyna? – zapytał Milo. – Gdzie jest Tyra? Czy mogę ją przynajmniej mieć do towarzystwa?

Shan potrząsnął głową.

– Ashley zabrała ją i oddała pod moją opiekę. Traktowałeś ją bardzo źle. Wiele czasu minie, zanim się z tego wyleczy.

Milo patrzył na niego z wściekłością. Jego kobieta została oddana temu pogodnemu minerviańskiemu mięczakowi! Jak Ashley mogła mu zrobić coś takiego!

Usiłował nie tracić panowania nad sobą. Nie powinien jeszcze pogarszać sytuacji.

Najspokojniej jak mógł powiedział: – W porządku. Jak długo będzie trwała ta głupia historia? Kiedy będę mógł się stąd wydostać?

– Nigdy – powiedział Shan i zamknął drzwi.